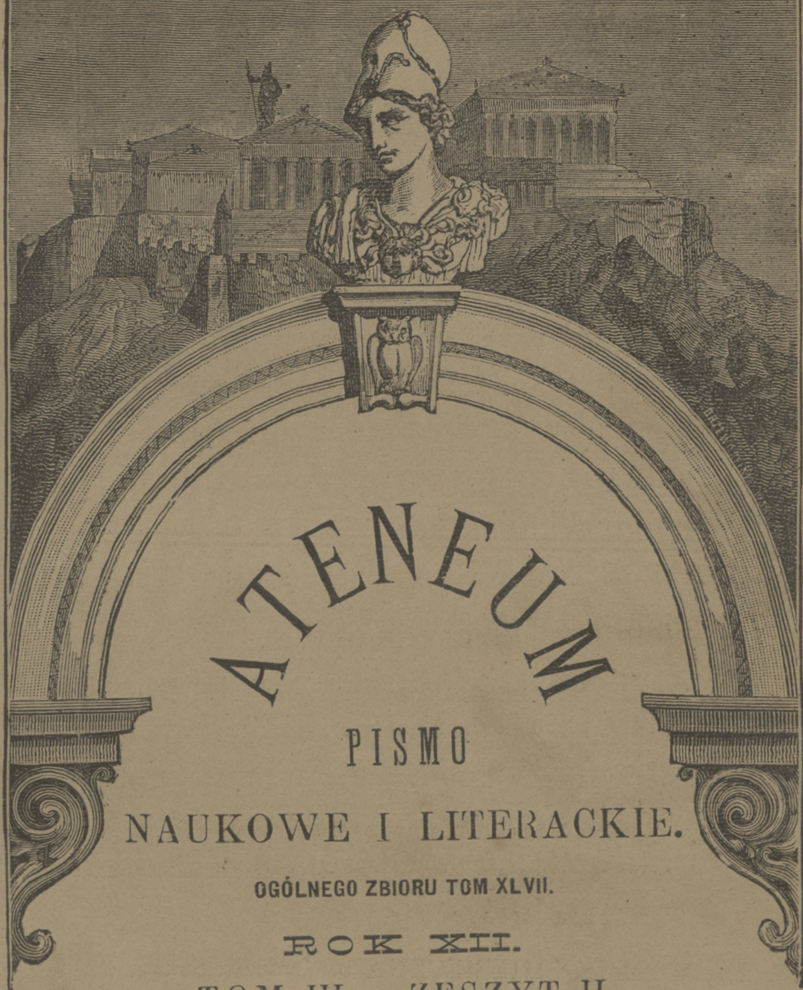


ATENEUM

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVII.

ROK XII.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Sierpnia 1887 r.



WSPÓŁCZESNY SOCYALIZM FRANCUSKI.

CHARAKTERYSTYKA WODZÓW, PARTYI I WYDARZEŃ.

W końcu roku zeszłego niewiadomy autor, ukryty pod pseudonimem Mermeixa, wydał w Paryżu nadzwyczaj ciekawą książkę, p. t. „*La France socialiste. Notes d'histoire contemporaine*". Jest to niezwykle żywa i barwna charakterystyka ludzi, stronnictw i wydarzeń, mających na celu przewrót społeczny. Obfituje ona w takie mnóstwo interesujących i w znacznéj części nieznanych dotąd szczegółów, że obszerniejsze jéj zużytkowanie będzie bezwątpienia pożądane dla czytelników. Elegancya i świetna forma stylu, odznaczającego się prawdziwie francuską werwą w opowiadaniu i subtelnym, swobodnym dowcipem w rzucanych mimochodem uwagach, nakazują się domyślać, że autor musi być jednym z pierwszorzędnych publicystów paryskich. Sądząc zaś z dokładnéj jego znajomości stosunków wewnętrznych wszystkich partyi rewolucyjnych, z przytoczonych przez niego takich szczegółów, które zazwyczaj bywają ukrywane przed ludźmi, stojącymi po za stronnictwem, możnaby przypuszczać, iż jest on nawróconym socyalistą. Przypuszczenie to zdaje się potwierdzać jego sympatya dla doktryn socyalistycznych z którą tai się zręcznie, kreśląc działalność rewolucyonistów, w ciągu całéj książki, lecz która wyraźnie się przejawia w ostatnim jéj rozdziale przy wyprowadzaniu ogólnych wniosków co do przyszłości socyalizmu i ustępstw, jakie warstwy uprzywilejowane dzisiejszego społeczeństwa mogły i powinnyby mu uczynić dla uniknienia gwałtownego przewrotu i niepotrzebnego krwi rozlewu. Wreszcie, jakkolwiek p. Mermeix nie osłania ujemnych stron charakteru i działalności przedstawianych czytelnikowi osób i partyi (z wyjątkiem Rocheforta, którego, zdaniem naszém, odmalował zbyt sympatycz-

nie), a niekiedy dowcipném słówkiem, lub wyraźném potępieniem karci postępki naganne, to jednakże w całéj książce nie dostrzegliśmy nic takiego, coby z wypisaną na jéj tytułowéj karcie dewizą: *écrit de bonne foi*, stało w sprzeczności. W charakterystyce ludzi i wypadków będziemy się starali odtworzyć jak najwierniéj oryginał, zachowując nawet, o ile możności, styl autora. Wszystkie zaś uwagi ogólne, nie chcąc się krępować w wypowiadaniu swego zdania, bierzemy na własną odpowiedzialność, o ile nie zaznaczymy wyraźnie, że ona spada na autora książki.

We Francyi partya socyalistyczna prowadzi propagandę, którą, przy nieistnieniu ograniczeń wyjątkowych, trybunały, starają się osłabić przez zastosowanie praw zwykłych. W innych krajach ogłoszono przeciw socyalistom specyalne ustawy. W r. 1878 kanclerz państwa niemieckiego otrzymał od parlamentu wotum na prawo proskrypcyi socyalistów. Prawa tego żądano tylko na pięciolecie. Bismark sądził, że zastosowanie rozpalonego żelaza w przeciągu tego czasu wypali ranę i wyleczy zło. Dziś jednak więcéj jest deputowanych socyalistycznych w parlamencie niemieckim, niż w r. 1878, tak że kanclerz został zmuszony przedłużyć istnienie prawa z r. 1878. Idee socyalistyczne tak dalece odpowiadają dążeniom niektórych okręgów wyborczych, że kandydaci na deputowanych w celu pozyskania głosów nazywają się niekiedy socyalistami, chociaż programy ich polityczne i poglądy społeczne dalekie są od myśli o zasadniczéj zmianie ustroju społecznego, o zastąpieniu własności osobistéj własnością zbiorową. Zwracamy na to uwagę czytelnika, iż stronnictwo radykalne, pomimo że idzie ręka w rękę z socyalistami, pomimo że niekiedy zapożycza od nich nawet miana, nie jest rewolucyjném. Obywatele ci chętnie by widzieli kasy emerytalne dla robotników, popieraliby stowarzyszenia robotnicze, ograniczali długość dnia roboczego, cofnęli by się jednak ze zgrozą przed zniesieniem własności osobistéj. A jednak słowo socyalizm nie ma innego znaczenia. Wszystkie reformy, jakie mogą mieć miejsce w istniejącym ustroju społecznym, jeżeli nie dotkną głównéj jego zasady t. j. własności osobistéj, są jedynie reformami filantropijnemi, ekonomicznemi, nie zaś dziełem socyalistyczném.

Jasne i dokładne pojęcie socyalizmu nie jest dotychczas rozpowszechnioném we Francyi, podobnie jak u nas, nawet wśród ludności oświeconéj. Anarchistów, komunistów, kolektywistów, etc. biorą tam za jedno. Socyalizm miał tam teoretyków, ale nie popularyzatorów. Godzina popularyzacyi dopiero teraz wybiła. Romansopisarze, pierwszorzędni autorowie opisują straszne zdarzenia z walki robotników z ich chlebodawcami, dzienniki rewolucyjne nęcą czy-

telnika sensacyjnemi opowieściami, kandydaci mienią się socyalistami na listach wyborczych, reporterya rzuca się na wszelką nowość w tym kierunku, aby ją w jaskrawych barwach podsunąć przed oczy wrażliwego czytelnika. Publiczność więc wié, że socyalizm istnieje; czyta ona gazety, sprawozdania z meeting'ów rewolucyjnych, opisy występnych zamachów, spełnionych w imię idei rewolucyi, widzi manifestacye, zajmuje się sprawą, a jednak jéj nie zna, znaczenia wyrazu „socyalizm“ nie rozumié, a tém mniéj jeszcze wié coś dokładniejszego o doktrynach każdéj z poszczególnych, niekiedy wrogich sobie wzajemnie partyi, chociaż z ich nazwami, takiemi jak guesdyści, posybiliści, blanquiści i anarchiści, często się w druku spotyka.

Początków współczesnego socyalizmu francuskiego należy szukać w dziejach *Międzynarodówki*. Historya „Stowarzyszenia międzynarodowego robotników“ sama przez się nie przedstawia wielkiego interesu, ponieważ stowarzyszenie to już nie istnieje, a i za życia swego nie wywierało wielkiego wpływu na politykę rewolucyjną. Międzynarodówka nie stworzyła nic—nawet komuny paryzkiéj z r. 1871. Posiała ona tylko idee socyalistyczne. Rewolucyjne partye robotnicze we Francyi, Niemczech, Belgii, Włoszech i Hiszpanii są jéj pogrobowemi dziećmi. Przyjęły one jéj hasła, utworzyły się na podstawie jego programu komunistycznego.

Życie Międzynarodówki wiązało się ściśle z imionami dwóch ludzi, którzy ją w sobie uosabiali: z Karolem Marxem i Michałem Bakuninem. Dzieje tego głośnego stowarzyszenia robotników są historyą współzawodnictwa tych dwóch ambitnych osobistości.

Pierwszy z nich, Karol Marx, był jedną ze znakomitych postaci naszego stulecia, człowiekiem potężnym, który stworzył doktrynę, przyjętą przez tysiące ludzi, i którego idea ożywia stronnictwa bardzo czynne i ciągle rosnące we wszystkich krajach świata. Urodził się on w Niemczech w r. 1818 ze staromieszczańskiéj rodziny. W młodym wieku wszedł na drogę, którą postępował do śmierci. W dwudziestym czwartym roku został naczelnym redaktorem *Gazety reńskiéj*, wydawanéj w Kolonii. Idee socyalistyczne już w nim naówczas nurtowały i wychodziły na jaw w piśmie, w skutek czego zaczęto go prześladować, że w końcu musiał opuścić Niemcy. Wtedy to przybył Marx do Paryża. Mówił on językiem francuskim, angielskim, hiszpańskim i włoskim (1). Wskutek żądania rządu pru-

(1) Marx miał trzy córki. Jedna wyszła za Pawła Lafargue'a, druga za Longuet'a i ta wkrótce umarła; trzecia, Eleonora Marx, pozostała w Londynie, gdzie stoi na czele propagandy socyalistycznéj w Anglii. Wszystkie trzy były wychowywane przez ojca, który je wysoko wykształcił. Pani Lafargue i p. Eleonora Marx-Eveling mówią i piszą prawie we wszystkich europejskich językach i są cennemi doradczyniami dla swych przyjaciół.

skiego został wygnany z Francyi i schronił się do Belgii. W Paryżu spotkał się z utopiami komunistycznemi Cabet'a, Fourier'a, Saint-Simon'a. Poznał tam także praktyczniejszych komunistów, zgrupowanych w tajemne towarzystwo, zwane *Związkiem komunistycznym*, posiadające swe rozgałęzienia za granicą, a zwłaszcza w Anglii. Było to pierwsze usiłowanie międzynarodowéj federacyi rewolucyjnéj. Marx zespolił się ze *Związkiem komunistycznym*, gdzie wraz z przyjacielem swym, Fryderykiem Engelsem, zajął wkrótce miejsce naczelne. W czasie tym oddał się on polemice i ogłosił pamflet przeciwko Prudhon'owi p. t. „Nędza filozofii" (*Misère de la philosophie* 1847), którego nikt prawie nie znał we Francyi, pomimo że był napisany po francusku; dzieło bardzo ciekawe, mocno zabarwione gryzącą ironią. Proudhon w swéj „Filozofii nędzy" (*Philosophie de la misère*) silnie napadł na utopistów komunistycznych. Marx, pomimo że nie podzielał czułostkowości tych ideologów, wystąpił jednak w ich obronie. *Nędza filozofii* jest dziś książką zupełnie wyczerpaną we Francyi. Istnieje jéj zaledwie kilka egzemplarzy w bibliotekach socyalistycznych. Trzeba zasłużyć na szczególne zaufanie ze strony posiadaczy, aby zechcieli jéj udzielić.

W r. 1847 zwołał Marx do Londynu kongres związku komunistycznego. Było to pierwsze międzynarodowe zebranie rewolucyjne. Kongres przyjął manifest programowy, zredagowany wspólnie przez Marxa i Engelsa. Pierwszy to dokument, kładący podwalinę do antagonizmu klasowego. Baboeuf i jego przyjaciele mieli już pojęcie o tym antagonizmie między właścicielami a nie posiadającymi majątku. Zbrakło im jednak czasu na wyjaśnienie téj idei. Zresztą w roku 1796 nie znaleźli by echa; po tylu burzach zapanowało powszechne znużenie. Komuniści, współcześni Marxowi, byli przedewszystkiém filantropami, idealistami, marzycielami pełnymi współczucia dla nędzy i cierpienia. Chcieli wytłómaczyć bogatym, że komunizm lepszym jest od indywidualizmu. Wiedzieli możność nadejścia nocy 4 sierpnia dla właścicieli. Odzywali się do szlachetnych uczuć ogółu. Żądali od kapitalistów pieniędzy dla zastosowania swych teoryi. Anglik Owen zapragnął zebrać monarchów europejskich na kongres w Akwizgranie, aby ich zjednać dla swych idei!

Pojęcia Marxa były mniéj chimeryczne, praktyczniejsze. „Chodzi o uogólnienie bogactwa nagromadzonego przez niektórych — mówił on — chodzi więc o zdobycie. Ażeby być zdobywcą, trzeba być najsilniejszym. Siła jest akuszerem społeczeństw." On pierwszy powziął ideę zgrupowania w jednę *partyą klasową* wszystkich, którzy nic nie posiadają, przeciwko klasie posiadaczy. Sądził on, że w dniu, w którym wszyscy wydziedziczeni zjednoczą się przeciw

ulubieńcom fortuny, uogólnienie własności nastąpi bez trudu, wierzył, że to, czego chce tłum, ziszcza się zawsze. Utworzenie stronnictwa klasowego biednych przeciw klasie bogaczy jest pierwszym zręcznym manewrem socyalistów, jaki wiek nasz ujrzał. Stronnictwo robotnicze francuskie, jak wszystkie zresztą partye socyalistyczne w Europie, wykluczając ze swych szeregów ludzi, nie należących do klasy robotniczéj, idzie za hasłem, rzuconém z Londynu w r. 1847 na kongresie komunistycznym przez Marxa i Engelsa.

Należy się tu jednak kilka słów wzmianki o Engelsie. Był to nierozdzielny przyjaciel i współpracownik Marxa. Łączyła ich myśl wspólna, wspólna ojczyzna. Dzieło ich było wspólne, więc mówiąc o jednym, nie można pominąć drugiego. Fryderyk Engels urodził się w r. 1820 w prowincyi nadreńskiéj. Dał się on poznać w r. 1844 swą *Krytyką ekonomii politycznéj*, a w 1845 dziełem o *Położeniu klas roboczych w Anglii.* Z Marxem poznał się w bardzo młodym wieku. Od 1846 znajdujemy ich już obok siebie w Brukselli. Po powstaniu rewolucyjném w południowych Niemczech 1849 roku Engels, który brał udział w ruchu, schronił się do Anglii, gdzie prowadził daléj prace nad krytyką społeczną. Równie jak Marx, władał on prawie wszystkimi językami europejskiemi i posiadał rozległą wiedzę. Należał też Engels razem z Marxem do naczelnego komitetu Międzynarodówki, zwanego radą główną, lecz zajęty własnemi sprawami pieniężnemi, jako wspólnik pewnego domu handlowego w Manchester, usuwał się nieco na plan drugi, zostawiając przyjacielowi cały blask sławy przewodniczącego, chociaż jako dzielniejszy w czynie, śmielszy i energiczniejszy, mógł był łatwo zająć pierwsze miejsce. Marx zbyt był ostrożny, aby dać poznać po sobie, że marzenie o potędze, o panowaniu bez tronu i korony nad wszystkimi biedakami, o moralném rozczłonkowaniu wszystkich państw (co w rzeczy saméj mogłoby się ziścić, gdyby stowarzyszenie było czyniło szybkie postępy) rozpaliło mu mózg i kierowało jego czynami. Że jednak ambicya osobista odgrywała ważną rolę w jego czynach, dowodzi jego zachowanie się względem Mazziniego. Rewolucyonista włoski, wszedłszy do Międzynarodówki, żądał ażeby władza naczelnego komitetu była bardzo silna tak, żeby mu przysługiwało w stowarzyszeniu panowanie absolutne. Marx obawiając się, ażeby ta władza nie wpadła w ręce Mazziniego, sprzeciwił się jego żądaniu w imię zasad liberalnych. A jednak kiedy znakomity Włoch usunął się ze stowarzyszenia, władza Marxa zamiast się zatrzymać w liberalnych ramach, coraz bardziéj się wzmacniała i rosła. Rada główna bowiem ześrodkowała w swych rękach wszystkie władze: ona przyjmowała nowych członków, ona zwoływała kongresy, ona rozstrzy-

gała o stosowności, lub niestosowności wzięcia udziału sekcyi stowarzyszenia w bezrobociach i innych wypadkach. W radzie zaś owéj, dzięki powadze swych imion, położonym dla stowarzyszenia zasługom i wyższości umysłowéj nad kolegami, panowali niepodzielnie—Marx i oddany mu całkowicie Engels. Pierwszy był korespondentem dla Niemiec i Holandyi, drugi dla Włoch, Hiszpanii i Portugalii.

Ambicya Marxa znalazła jednak przeszkodę w ambicyi ojca współczesnego anarchizmu, Michała Bakunina. Rosyanin ten był hojnie obdarowany przez naturę. Posiadał on przyjemną powierzchowność, energią, brawurę, dumę, wszystkie przymioty człowieka czynu. Umiał przemawiać do tłumów. Wymowny, dzielny, występny, namiętny i niemoralny przypominał wszystkiemi temi rysami Dantona. Taki to człowiek wystąpił przeciwko dyktaturze Marxa. W Międzynarodówce doprowadził jego dzieło do upadku. W roku 1868 Bakunin, jako członek komitetu szwajcarskiéj *Ligi pokoju i wolności*, zaproponował jéj na kongresie w Bernie przyjęcie zredagowanego przez siebie programu komunistycznego. Propozycya pozyskała sobie tylko $1/_3$ część zebrania i mniejszość ta zawiązała nowe stowarzyszenie pod nazwą *Związku demokracyi socyalistycznéj*. Stanąwszy na czele tego związku, Bakunin począł się starać, by Międzynarodówka uznała go za swoję sekcyą. Marx długo się temu opierał, lecz w końcu uległ. Na kongresie w Bazylei r. 1869 Związek demokracyi socyalistycznéj miał już swoich przedstawicieli, a jego wódz nie omieszkał natychmiast wprowadzić do Międzynarodówki zamieszek i rozdwojenia. Nie mamy tu miejsca na opowiadanie tych drobnych intryg i kłótni osobistych, które rozdział wywołały. Dość zaznaczyć, że wkrótce potém Międzynarodówka rozpadła się na dwa wrogie sobie odłamy, z których mniejszy został przy Marxie, większy poszedł za Bakuninem, a następnie oba straciły znaczenie i zeszły z widowni świata. Zasady ich jednak zostały przyjęte przez nowo utworzone partye: dzisiejsi kolektywiści — to duchowi synowie Marxa, anarchiści — to dzieci Bakunina.

Podczas gdy Międzynarodówka, zwyciężona wraz z komuną paryską, z którą się zsolidaryzowała, pomimo że większość powstańców z r. 1871 nie znała wszystkich jéj zasad, zużywała swe siły na współzawodnictwo osobiste i wyczerpywała się w walce o wpływy jednostkowe, socyalistyczny posiew nanowo wschodził we Francyi. Odrodzenie się partyi socyalistycznéj we Francyi było samodzielne, instynktowne. Nie było ono dziełem żadnego myśliciela, założyciela szkoły, lub kierownika. W fabrykach i warsztatach bezzwłocznie po zdruzgotaniu komuny zaczęto mówić o ulepszeniach społecz-

nych. Doktrynerzy socyalizmu znajdowali się na wygnaniu, w całéj Francyi nie wychodziło żadne pismo socyalistyczne. Robotnicy byli zbyt biedni, aby mogli kupować książki, przytém było o nie bardzo trudno, gdyż wszelka łączność z zagranicznymi nowatorami została zerwana. Wrócili więc do starych systematów, o jakich mówiono im za cesarstwa. Marzyli o reformach, nie o rewolucyi. Żądali praw, jakie może dać społeczeństwo, nie naruszając swéj zasadniczéj podstawy, własności osobistéj. Od 1872 do 1876 propaganda tych pojęć odbywała się cicho, nieśmiało, gdyż rząd był podejrzliwy i obawiał się najlżejszego ruchu robotniczego. Przytém ówczesna Francya zbyt zajęta była polityką. Zagrożona partyą demokratyczna domagała się przedewszystkiém od socyalistów pomocy w polityce, obiecując im w zamian z czasem pomoc w przeprowadzeniu reform społecznych i ekonomicznych. Rozwiązanie zadania politycznego było najpilniejszém, stanęło więc na pierwszym planie; wszelkie inne interesy należało mu poświęcić.

Na osłabienie propagandy wpływała też okoliczność, że partya pozbawiona przewodników i myślicieli, została bez kierownictwa. Robotnik paryski, zostawiony sam sobie, nie jest rewolucyonistą. W polityce ma on pojęcia najradykalniejsze; w sprawach społecznych jednak, wzięty w masie, jest konserwatystą. Z temperamentu swego jest on indywidualistą, nigdy kolektywistą. Historya Międzynarodówki daje nam tego dowody. Na czwartym kongresie międzynarodowym w Bazylei roztrząsano kwestyą własności ziemskiéj, postawioną na poprzedzającym kongresie w Brukselli. Większością 58 głosów przeciwko 8 kongres postanowił: „że potrzeba, aby ziemia przeszła na własność zbiorową.“ Mniejszość przeciwna temu postanowieniu składała się z 7 *delegowanych francuskich* i jednego innéj narodowości; nadto wśród 10 delegowanych, którzy powstrzymali się od głosowania, nie chcąc się wypowiedzieć ani *za*, ani *przeciw*, znajdowało się 6 Francuzów, pomiędzy zaś 58-ma głosującymi za własnością kolektywną, było ich tylko czterech. Za drugi dowód wstrętu Francuzów do kolektywizmu może posłużyć to, iż jak na dziesięć lat ostatnich propagandy, prowadzonéj we Francyi przez utalentowanych mówców i pisarzów, doktryna Marxa nie uczyniła znacznych podbojów, pomimo że słowo i pismo korzystało tu w tym czasie z wielkéj swobody.

Robotnicy, którzy w pierwszych latach rzeczypospolitéj zajmowali się kwestyą ulepszeń społecznych nie byli rewolucyonistami. Nie byli nimi również w r. 1876, ani nawet w 1878 (kongres paryski pod przewodnictwem Guesde'a); zostali nimi dopiéro w 1879 na kongresie w Marsylii.

Rzućmy okiem na bieg wypadków, a ujrzymy pod jakim wpływem odbył się zwrot w pojęciach masy robotniczéj.

Dnia 11-go lutego 1876 r. pojawił się w Paryżu pierwszy numer dziennika *Les droits de l'homme*. Był to najskrajniejszy organ demokracyi republikańskiéj, jaki się pojawił od maja 1871. Wydawał go bogaty przemysłowiec Ménier, a redagował Zygmunt Lacroix. Współpracownikami dziennika byli najgłośniejsi uczestnicy komuny. Obok autorów dawniéj znanych, debiutowało nadto w tym dzienniku wielu ludzi młodych, którzy dziś już wyrobili sobie imię i rozproszyli się po wszystkich obozach republikańskich i rewolucyjnych. W pierwszym już numerze pojawił się artykuł Rochefort'a „Oportuniści", który nadał stale używaną odtąd nazwę panującemu stronnictwu republikańskiemu. Ten sam numer *Praw człowieka* zawierał jeszcze rzecz inną, wielce ciekawą. Był to program wyborczy, przedstawiony przez komitet republikański radykalno-socyalistyczny, który podtrzymywał w VI okręgu paryskim kandydaturę socyalisty Acollasa, przeciwko pułkownikowi Denfert-Rochereau, walecznemu obrońcy Belfortu. Program ten był nadzwyczaj zuchwały i wywołał wielki skandal w prasie konserwatywnéj. Dziwiono się, skąd za rządów marszałka Mac-Mahona ośmielono się z taką arogancyą żądać amnestyi dla skazanych z czasów komuny i rzucić idee kolektywistyczne, skrajniejsze od programu Międzynarodówki. Podczas gdy ta ostatnia głosiła tylko konieczność uspołecznienia własności ziemskiéj, program Acollas'a żądał uspołecznienia nietylko kapitału rolnego, ale nadto kapitału przemysłowego. Jest-to pierwszy manifest kolektywistyczny. Autorami jego było grono młodych ludzi, studentów, towarzyszy z *quartier Latin*, złączonych wspólnemi dążeniami demokratycznemi i socyalistycznemi, związanych w partyą jeszcze w r. 1873 i 74.

Podczas gdy robotnicy dążyli do systematu kooperacyjnego i żądali nowych praw nie zaś rewolucyi, młodzi zapaleńcy zwracali oczy ku hasłom Międzynarodówki, jako ku temu, co jedynie znali z tak zwanego „socyalizmu naukowego." Nazwa „socyalistów naukowych" mile pieściła ich ucho i dodawała im powagi w własnych oczach. Międzynarodówka nęciła ich urokiem uczoności, a nadto urokiem prześladowania i czarem czegoś nieznanego, gdyż treść jéj programów nie była im jeszcze dokładnie znaną. Porwała ich ku sobie jéj legenda.

Partya nie posiadała jednak dotąd doktryny. Znalazła ją dopiéro wtedy, gdy wszedł do niéj Juliusz Guesde.

Jeszcze w 1870 i 71 redagował Guesde w Montpellier dziennik p. t. *les Droits de l'Homme*, w którym ogłaszał się stronnikiem pary-

skiéj komuny, za co został skazany na pięć lat więzienia i zamknięcie dziennika. Młody redaktor uciekł przed wykonaniem wyroku do Genewy, gdzie założył sekcyą Międzynarodówki. Nie przyłączył się jednak ani do anarchistów Bakunina, ani nie uznał absolutyzmu rady ogólnéj i dyktatury Marxa, lecz ogłosił się stronnikiem zwierzchnictwa Międzynarodówki, zebranéj na kongresie, t. j. rządu większości.

Ciekawy to widok tego zawziętego rewolucyonisty na trybunie! Gdy Guesde mówi nawet o rzeczach obojętnych, wargi mu się poruszają, jakby drżały z wściekłości. Usta jego są straszne. Głos potężny, daleko unoszący okropny zgrzyt. Nie wychodzi on z piersi, lecz z głowy; jest ostry i cierpki. A jednak mówca ów przy tak wadliwych środkach fizycznych narzuca się słuchaczom, panuje nad nimi. Nie przemawia on nigdy do szlachetnych uczuć zgromadzenia, nie wzrusza go. To surowy dyalektyk, przeciwnik gwałtowny, kazuista pełen gorzkiéj ironii. Maluje on przerażające obrazy, wydaje krzyki zapamiętałéj namiętności. Kto go słyszy, może myśléć, że zapaleniec ten wytacza proces społeczeństwu, że broni swéj własnéj sprawy, że dopiéro co społeczeństwo popełniło względem niego straszną zbrodnię. Jest-to człowiek nienawiści, zjawiający się jako wcielenie uraz i żądz społecznych. Wszystkie one wrą i syczą w nim.

Doktrynę, któréj poucza, uznaje za swoją własną. Wprawdzie Marx sformułował ją przed nim, lecz on, gdy ją powziął, nie znał ani pism Marxa, ani *manifestu komunistycznego*, ani *Kapitału*. Gdy w roku 1877 czytał pracę socyalisty niemieckiego, większość pojęć w niéj wyrażonych była już jego własnością. Doszedł do nich przez historyczne badanie przemiany społeczeństw i przez spostrzeżenia nad wypadkami we współczesném społeczeństwie. Dziś jest on najwięcéj znanym i najwięcéj słuchanym we Francyi popularyzatorem idei socyalistycznych, które wygłasza i których broni, zarówno słowem jak i piórem, z niesłabnącym nigdy zapałem. Partya, którą zgrupował około siebie, nie należy wprawdzie do najliczniejszych, lecz za to najczynniejszych stronnictw rewolucyjnych. Przez długi czas całe rewolucyjne dziennikarstwo znajdowało się w jéj ręku. Zwolenników jéj ochrzcili nieprzyjaciele mianem „guesdystów“ i nazwa ta ogólnie przyjętą została. Działalność jéj poznamy po krótce.

Najwcześniejszy ślad ruchu socyalnego robotników francuskich znajdujemy we wrześniu 1876 r. Wtedy to miał miejsce pierwszy kongres robotniczy, zorganizowany staraniem właściciela i redaktora rewolucyjnego dziennika *La Tribune*, Trébois'a, przy pomocy pieniężnéj bogatego izraelity, Crémieux'go, byłego gubernatora Algieru. Na kongresie tym miały swych przedstawicieli wszystkie izby

syndykalne francuskie. Łatwo zauważono tu, jak nieświadome były klasy robotnicze wszelkich systematów socyalistycznych, a nawet wszelkiéj wiedzy ekonomicznéj. Pomimo to wszakże tu się odbyły narodziny rozdziału klas. Robotnik z Dijon, Prost, postawił wniosek, aby przy wyborach do parlamentu przyjęto zasadę stawiania kandydatów z klasy robotniczéj. Godne uwagi, że robotnicy, zawsze skorzy do głoszenia konieczności kandydatury robotniczéj, okazują odrazę do głosowania za kandydatami robotnikami. P. Mermeix porównywa to zjawisko z podobnym faktem, spotykanym w historyi Rzymian: gdy trybunat uczyniono dostępnym dla plebejuszów, przez długie lata wszyscy trybuni wybierani byli z koła patrycyuszów. Plebejusze nie chcieli wynosić swoich równych na to wysokie stanowisko. Proletaryat francuski kieruje się przeciw swym braciom podobnymi względami, lub podobną nieufnością, jak lud rzymski.

Wniosek Prosta przyjęto jednogłośnie. Zresztą zebranie odbyło się ze spokojem i umiarkowaniem i nie dało początku żadnym zaburzeniom. Od r. 1876 proletaryat dotychczas tak umiarkowany, podpada pod wpływ Guesde'a, który po zamknięciu *Droits de l'Homme* kierował dziennikiem *Le Radical*. Gdy pod koniec r. 1877 rząd zabronił wydawania tego pisma, Gnesde wraz ze swymi uczniami postanowili stworzyć organ wyłącznie socyalistyczny, teoretyczny, wojowniczy, który nazwali „Równością“ *(l'Egalité)*. Oficyalnie wychodził on w Meaux (kaucya dla dziennika, wychodzącego w Paryżu, wynosiła 12 tys. fr., gdy pismo prowincyonalne składało kaucyi tylko 3 tys. fr.) i głosił wyraźnie zasady kolektywizmu, które po raz pierwszy pojawiły się we Francyi w druku. „Wierzymy — mówili redaktorowie „Równości“ — wraz ze szkołą kolektywistów, do któréj skłaniają się dziś wszystkie poważne umysły proletaryatu dwóch światów, że ewolucya naturalna i naukowa ludzkości prowadzi ją niezbicie do kolektywnego zawłaszczenia ziemi i narzędzi pracy.“

Podobna odezwa organu rewolucyjnego zbyt była surową dla francuskiéj klasy robotniczéj, która na wszystkich swych kongresach w latach: 1868, 1872, 1873, a nawet 1876 odrzuciła zasady komunistyczne. Sama nawet komuna, którą Marx ogłosił za solidarną z Międzynarodówką i któréj napisał pochwałę tak wspaniałą i tak nieoczekiwaną, nie dokonała dzieła komunizmu. Jedno tylko postanowienie komuny z r. 1871 natchnął duch rewolucyjny. Jest-to rozkaz sporządzenia wykazu statystycznego opuszczonych warsztatów „dla rychlejszego wyciągnięcia z nich korzyści przez stowarzyszenie kooperacyjne robotników, biorących w niém udział.“ Środek

ten socyalizmu rewolucyjnego poprzedzało kilka innych środków socyalizmu państwowego (a więc zachowawczego, nie zaś burzącego własność osobistą), jako to: zakaz pracy nocnéj piekarzy, zakaz pobierania kar pieniężnych, i zatrzymywania pensyi urzędnikom i robotnikom, sprowadzenie płac urzędników wszelkiego stopnia do 6000 fr. rocznie itp. Wszystkim tym rozporządzeniom przewodniczyła chęć zmniejszenia jednostkom możności łatwego zbogacenia się, nigdy jednak duch rewolucyjny.

Drugi kongres robotniczy, który zebrał się w Lyonie pod koniec stycznia 1878, ponownie wykazał, że propaganda Guesde'a nie zdołała zwrócić robotników francuskich z drogi konserwatywnéj, że socyalizm niemiecki nie przestawał w nich budzić niechęci. Kongres żądał zmniejszenia długości dnia roboczego dla kobiet i dzieci, założenia instytucyi wzajemnego kredytu i towarzystw produkcyi kooperacyjnéj, w celu zniesienia obecnego „systematu płacy najemnéj, który nazwał stanem przejściowym pomiędzy poddaństwem, a stanem bez nazwiska (*l'état innommé*); głosował daléj za ustanowieniem kas emerytalnych dla starców i chorych, wyraźnie jednak oznajmił swe poglądy indywidualistyczne, t. j. niechęć swą do kolektywizmu, słowami: „W zasadzie, jesteśmy przeciwni wszelkiéj interwencyi państwa."

Członkowie kongresu okazali się zwolennikami kandydatury robotniczéj z tém jednak zastrzeżeniem, że przy powtórném podawaniu głosów kandydaci robotniczy powinni się cofnąć, a ich wyborcy dać głos za kandydatem republikańskim, mającym najwięcéj stronników. Taktykę tę jednak z czasem porzucono, a upór socyalistów w wielokrotném stawianiu swego kandydata osłabiał często stronnictwo republikańskie, dając tym sposobem przewagę konserwatywnemu. Odrzucił nadto kongres lyoński pierwszy wniosek kolektywistyczny opracowany przez dwóch guesdystów: Dupire'a i Ballivet'a, który brzmiał w następujący sposób: „Kongres zachęca wszystkich stowarzyszonych do zbadania środków praktycznych w celu zastosowania zasady własności zbiorowéj ziemi i narzędzi pracy".

Pierwszy ten wniosek, jaki kolektywiści ośmielili się postawić we Francyi, został odrzucony przez zgromadzenie składające się z samych robotników. Ośmiu tylko członków dało za nim swe głosy. Tak więc po półtorarocznéj propagandzie komunistycznéj proletaryat francuski uroczyście oświadczył się za własnością osobistą.

Grono jednak zgrupowane około *Równości* nie dało za wygranę, lecz podwoiło energią. Atakowani ze wszystkich stron: przez prasę „burżuazyjną", przez prasę anarchistyczną szwajcarską, przez

robotnicze izby syndykalne, gdzie panowały idee kooperacyjne i reformatorskie, guesd'yści dzielniéj jeszcze wzięli się do szerzenia propagandy wśród najpodatniejszego do niéj odłamu partyi robotniczéj. W marcu 1878 wzięli oni udział w uroczystym obchodzie rocznicy komuny, gdzie zaproponowali przesłanie adresów do socyalistów zagranicznych. Chodzili wśród robotników, pouczając ich swych zasad, objaśniając artykuły swych dzienników. W *Równości* krytykowali idee, przyjęte przez kongresy robotnicze. Przywódzcy tych kongresów potępiali bezrobocie, jako środek bezużyteczny; socyaliści z *Równości* nazywali bezrobocia jedynym orężem walki. Jednocześnie starali się zburzyć wiarę robotniczą w stowarzyszenia, w pożytek oszczędności itp. Namawiali do stawienia kandydatury socyalistyczno-robotniczéj przeciwko wszelkim innym kandydaturom „burżuaznym", a nawet radykalnym.

Nowi apostołowie byli nieznani, wymowni, zuchwali, uczonéj ich frazeologii robotnik nie rozumiał dobrze, z tém większą za to słuchał jéj ciekawością; nie szedł on do nich wprawdzie, nic jednak przeciwko nim nie miał. Gdyby w téj chwili zjawiła się wśród klasy robotniczéj osobistość zdolna zostać przeciwnikiem Guesde'a i stanąć w obronie reformy przeciwko rewolucyi, proletaryat francuski, wszedłby zapewne na inną drogę. Wszystko jednak sprzyjało kolektywistom. Byli oni więcéj utalentowani od swych przeciwników, lepiéj uzbrojeni do walki, posiadali własny organ. W połowie r. 1878 guesd'yści wciągnęli już do swego grona sześć korporacyi: mechaników, stolarzy, krawców, garbarzy, ślusarzy, subiektów handlowych i stowarzyszenie spożywcze *Egalitaire*. Mały ten zawiązek rewolucyjny zapanował nad masą dążącą do reformy, nadał charakter socyalistyczny kongresowi robotniczemu z 1878 r. i pchnął do rewolucyi partyą robotniczą.

Kongres lyoński dał mandat paryzkim izbom syndykalnym na urządzenie kongresu międzynarodowego podczas wystawy w sierpniu r. 1878. Zaraz z początku okazało się w partyi rozdwojenie: socyaliści rewolucyjni chcieli narzucić kongresowi program rewolucyjny; kooperatyści pragnęli utrzymać tradycyą pierwszych zgromadzeń robotniczych. Każda z tych grup dążyła do utworzenia oddzielnego kongresu, co niechybnie zabiłoby stronnictwo. Guesde ze zwykłą sobie bystrością spostrzegł niebezpieczeństwo i pośpieszył mu zaradzić, tworząc tak subtelny program prac kongresu, że mógł on zadowolnić obie frakcye proletaryatu.

Po usunięciu pierwszéj trudności zjawiła się trudność daleko większa. Prefektura policyi zawiadomiła komisyą organizacyjną, że zebranie kongresu nie będzie tolerowane. Komisya, w składzie któ-

réj rewolucyoniści grali rolę podrzędną, nie chciała się sprzeciwiać rządowi i zawiesiła swe prace. Guesde wraz ze swymi przyjaciołmi i sześcioma izbami syndykalnemi, trzymającemi się jego programu, ujęli wtedy w swe ręce ster obrad, sami przygotowali kongres i, jako przedstawiciele upoważnieni przez klasę robotniczą francuską, uroczyście przyjęli delegowanych angielskich *Trade Uniones*'ów. Ta energia mniejszości sprawiła silne wrażenie na onieśmielonéj większości i odniosła nad nią stanowcze zwycięstwo. Gdy policya zaaresztowała 34 członków komisyi, ci powierzyli obronę Guesde'owi, który mową swą, prawdziwym manifestem rewolucyjnym, przed kratkami sądu, zrobił głośną reklamę swéj partyi. Guesde wraz z towarzyszami został skazany na więzienie i tu jednak nie przestał brać czynnego udziału w działalności partyi. Z po za krat już rzucił on pierwszą odezwę do proletaryuszów, włościan, i drobnych przedsiębiorców, skłaniając ich w niéj do połączenia się w celu:

1° złożenia na barki społeczeństwa kosztów utrzymania, wychowywania i nauczania wszystkich dzieci bez różnicy.

2° odebrania od obecnych posiadaczy ziemi i narzędzi pracy t. j. wszelkiego kapitału zarówno ruchomego, jak nieruchomego, i uczynienia go własnością społeczną, niepodzielną i niezbywalną.

W roku 1879, rewolucyoniści zebrali się nanowo, tym razem w Marsylii, gdzie większością 63 głosów przeciwko 27 przyjęli wniosek, uznający konieczność zawładnięcia dla celów kolektywizmu wszystkiemi środkami produkcyi i dokonania tego przy pomocy siły czyli gwałtownéj rewolucyi. Uchwalono również zorganizowanie partyi robotniczéj socyalistycznéj (1) i wprowadzenie proletaryatu do walk wyborczych w celu podbicia władz municypalnych i prawodawczych.

Ażeby zapobiedz możliwym odszczepieństwom w partyi, Guesde uznał za potrzebne opracować jeden program, któryby obowiązywał bezwarunkowo wszystkich jéj przedstawicieli i był programem narodowym francuskiego stronnictwa socyalistycznego. Chcąc zaś zapewnić sobie naprzód przyjęcie tego programu przez współtowarzyszów porozumiał się w tym przedmiocie ze wszystkimi wybitniejszymi socyalistami. Otrzymawszy od nich ogólną aprobatę dla swéj myśli, wziął się bezzwłocznie do jéj urzeczywistnienia. W tym celu pojechał w maju r. 1880 do Londynu dla porozumienia się z Marxem i za jego radą zaprosił jeszcze do udziału w pracy Engel-

---

(1) W tym celu cała Francya została podzielona na 6 okręgów: paryski czyli środkowy, lyoński czyli wschodni, marsylski czyli południowy, miasta Bordeaux czyli zachodni, miasta Lille czyli północny i miasta Algeru czyli algierski.

sa, Lafargue'a i Lombarda, pominąwszy jednak Pawła Brousse'a, który bawił naówczas w Londynie i był przyjacielem domu Marxa. Zobaczymy wkrótce, jakie fatalne przez to sprowadził dla siebie następstwa. Bo przywódzcy socyalizmu rewolucyjnego to ludzie ambitni i zawzięci. Umieją oni patrzéć pobłażliwie na wszelkie zbrodnie społeczne, popełniane przez proletaryat, potrafią je tłómaczyć jako konieczny wytwór istniejących stosunków, lecz nie przebaczają nigdy uraz osobistych, zadraśnięcia ich miłości własnéj.

Wypracowany przez powyższą spółkę program głosił, zgodnie z postanowieniem kongresu marsylskiego, „wywłaszczenie polityczne i ekonomiczne klasy kapitalistów i powrót do kolektywnego władania wszystkiemi środkami produkcyi.“ Ponieważ cel ten „może być osiągnięty jedynie przez działalność rewolucyjną klasy wytwórczéj, czyli (?) proletaryatu, zorganizowanéj w odrębną partyą polityczną“, przeto dla zorganizowania się i walki winna ona wziąć udział w wyborach i wystąpić z następującemi tymczasowemi żądaniami:

A. *W części politycznéj*: 1) Zniesienia wszelkich praw, tamujących wolność prasy, zebrań i stowarzyszeń, a nadewszystko ustawy przeciwko stowarzyszeniu międzynarodowemu robotników. Zniesienia książeczek robotniczych i wszystkich artykułów kodeksu, stanowiących niższość robotnika względem pracobywców i kobiety względem mężczyzny. 2) Zniesienia budżetu wyznań i przywrócenia narodowi wszelkich dóbr ruchomych i nieruchomych, należących do korporacyi religijnych. 3) Zniesienia długu publicznego. 4) Usunięcia armii stałych i uzbrojenia ogólnego całego ludu. 5) Ustanowienia zupełnéj niezależności administracyjnéj i policyjnéj gmin.

B. *W części ekonomicznej*. 1) Wypoczynku obowiązkowego przez jeden dzień w tygodniu. Ograniczenia prawem dnia roboczego do ośmiu godzin dla osób dojrzałych i do sześciu dla młodzieży od lat 14 do18-tu , oraz zupełnego zakazu pracy dzieci nie mających lat 14 w warsztatach prywatnych. 2) Dozoru opiekuńczego nad terminatorami przez korporacye robotnicze. 3) Ustanowiania co rok przez komisyą statystyczną robotniczą prawnego minimum płacy roboczéj według miejscowych cen żywności. 4) Zakazu używania robotników cudzoziemskich płatnych niżéj od francuskich. 5) Równéj płacy za równą pracę robotników obu płci. 6) Kształcenia naukowego i zawodowego wszystkich dzieci i utrzymywania ich kosztem społeczeństwa, przedstawianego przez państwo i gminę. 7) Utrzymywania przez społeczeństwo starców i inwalidów pracy. 8) Usunięcia wszelkiego mieszania się praconabywców do zarządu kas robotniczych wzajemnéj pomocy, przezorności itp. 9) Odpowiedzial-

ności praconabywców za wypadki, zabezpieczonéj kaucyą, składaną do kas robotniczych, wysokości ustosunkowanéj do liczby zatrudnianych robotników. 10) Uczestnictwa robotników w układaniu ustaw specyalnych dla różnych warsztatów i zakazu nakładania przez praconabywców na robotników jakichkolwiek kar, lub wytrącania im z płac. 11) Unieważnienia wszelkich umów, alienujących własność publiczną (banki, drogi żelazne, kopalnie itp.) i powierzenia eksploatacyi wszystkich przedsiębiorstw państwowych robotnikom, którzy w nich pracują. 12) Zniesienia wszelkich podatków pośrednich i zamiany wszystkich bezpośrednich na jeden podatek postępowy od dochodów przewyższających 3.000 franków. Usunięcia prawa dziedziczenia w linii bocznéj i prawa do wszelkiego spadku w linii prostéj, przewyższającego 20.000 franków.

Niedorzeczny ten w wielu punktach (szczególniéj w punkcie trzecim i czwartym części politycznéj, oraz w 3, 6, i 11 tym ekonomicznéj) program został pomimo to przyjęty w całości przez socyalistów na kongresie narodowym w Hawrze, odbytym w listopadzie r. 1880, i zatwierdzony jako program oficyalny, obowiązujący całe stronnictwo. Na pochwałę jednakże rozsądku robotników francuskich należy wyjaśnić, że nie wszyscy zebrani na kongresie głosowali za programem. Owszem, większość była mu przeciwna i skutkiem tego właśnie nastąpiło na tém zebraniu ostateczne i zupełne zerwanie rewolucyonistów z kooperatystami, którzy pozostali wierni tradycyom, przekazanym przez kongresy z lat 1876 i 78. Mniejszość, złożona z kolektywistów i anarchistów z hałasem opuściła salę i urządziła oddzielne zgromadzenie, na którém dopiero program londyński został uchwalony, a jego twórca, Guesde, stał się tym sposobem ojcem socyalizmu francuskiego.

Na szczycie powodzenia spotkał Guesde'a los Marxa. Znalazł on niebezpiecznego przeciwnika w osobie wspomnianego wyżéj Pawła Brousse'a.

Brousse wystąpił na arenę dziennikarską w r. 1871 i brał udział w dzienniku *Droits de l'Homme*. Gdy w r. 1872 został skazany na trzy miesiące więzienia za drobne wykroczenie prasowe, uciekł do Hiszpanii, gdzie wpadł w koło bakuninowskich anarchistów. Z Hiszpanii udał się do Szwajcaryi. Tam zaprzyjaźnił się z Bakuninem i zaczął czynnie szerzyć jego idee, jednając mu stronników, tworząc stowarzyszenia, wydając broszury i pisma anarchistyczne. itp. W r. 1879 został skazany za podniecanie do królobójstwa, uciekł wtedy ze Szwajcaryi do Londynu, gdzie, ochłódłszy dla swych anarchistycznych ideałów, wszedł w bliskie stosunki z Marxem. Właśnie czyniły się podówczas przygotowania do ułożenia programu dla

rewolucyonistów francuskich. Brousse wziął w nich udział, lecz gdy po przybyciu Guesde'a, który odnosił się zawsze z nieufnością i niedowierzaniem do byłego anarchisty, został od obrad usunięty, powziął nienawiść do dawnego towarzysza i zaprzysiągł mu w duszy zemstę.

Pozornie jednak stosunki pozostały dobrymi. W r. 1880 wszedł Brousse do dziennika *Prolétaire* lecz jednocześnie pisywał i do *Egalité*, prowadzonego przez Guesde'a.

Stanowisko zamożnego człowieka w partyi, składającéj się z samych prawie biedaków, długie i dobrowolne wygnanie, bliskie stosunki ze wszystkimi zagranicznymi wodzami rewolucyi otoczyły osobę Brousse'a w oczach grup robotniczych aureolą pewnéj wyższości. Zręczny i bystry bakunista dostrzegł prędko, że Guesde przez swą żądzę panowania obudził przeciw sobie zazdrość i nieufność w partyi, pośpieszył więc skorzystać z tego i potajemnie rozniecić iskrę niechęci. Podburzył przedewszystkiém młodych adeptów rewolucyi przeciwko człowiekowi, który, według słów jego, uważał się za ich „naczelnika", który chciał myśléć za nich, kierując tylko nimi, który sprowadził ich do stanowiska swoich podwładnych. Cała ta kampania odbywała się tak zręcznie i cicho, że guesd'yści do końca r. 1880 nie dostrzegli wcale ziarna nieufności i rozdziału, zasianego w ich partyi. Niebezpieczeństwo zostało wykryte dopiero wtenczas, kiedy już było zapóżno na zażegnanie go. W październiku 1881 odbywał się w Reims nowy kongres robotniczy, na którym Brousse wraz z Malon'em; redaktorem lyońskiego dziennika socyalistycznego, *Émancipation sociale*, podali projekt utworzenia komitetu narodowego, zasiadającego w Paryżu, któryby kierował całym ruchem socyalistycznym we Francyi. Wniosek ten był obmyślany zręcznie, gdyż, nie dotykając wcale osobistości Guesde'a, był wymierzony wprost przeciw téj dyktaturze moralnéj, jaką on dotąd niepodzielnie się cieszył. Projekt, pomimo opozycyi przyjaciół Guesde'a, został przyjęty większością 36 głosów przeciwko 5. Tym sposobem Guesde został nadal tylko jednym z członków komitetu, złożonego w bardzo przeważnéj części z jego nieprzyjaciół. Brousse jednakże, będąc pewnym poparcia tak znacznéj większości, nie poprzestał na pozbawieniu władzy swego rywala, lecz postanowił zarazem obalić i jego dzieło—ten program stronnictwa, w opracowaniu którego Guesde nie dopuścił jego udziału. W tym celu przedstawiony i przyjęty został wniosek „rozszerzenia programu" przez pozostawianie każdéj federacyi okręgowéj zupełnéj swobody w jéj interesach prywatnych i wyborze środków działania miejscowego. Powtórzyła się więc znowu znana historya Międzynarodówki z tą tylko różnicą, iż charak-

tery głównych działaczy były wprost odwrotne: przeciwko marxiście Guesde'owi, gorącemu i energicznemu jak Bakunin, wystąpił bakunista Brousse, podstępny i wyrachowany polityk jak Karol Marx. I znowu ambicya przywódców sprowadziła rozdział w stronnictwie pod pretekstem dbałości o jego dobro i walki o zasady.

Po kongresie w Reims dwie wrogie sobie partye zachowywały jeszcze pozorną łączność przez czas pewien. Kiedy w Grudniu 1881 Guesde począł na nowo wydawać dziennik *l'Egalité* wspólnie z Deville'em, Lafargue'em i Massardem, organ partyi Brousse'a *Prolétaire* wyraził zadowolenie z powodu ukazania się „nowego pisma socyalistycznego.“ *Egalité* podziękowała za życzenia również uprzejmie. W tydzień jednak potém rozpoczęły się już nieporozumienia. Powodem do nich stała się kandydatura Joffrina, członka komitetu narodowego, przy wyborach do rady municypalnéj w Monmartre. Pozwolił on sobie zmienić program Guesde'a w trzech zasadniczych punktach i to w duchu mniéj radykalnym, a przytém nie powiedział wyraźnie, czy po dokonaniu rewolucyi własność ma być kolektywną, czy indywidualną. Po skończonych wyborach Guesde łącznie z czterema swoimi stronnikami w komitecie narodowym postawił wniosek udzielenia Joffrinowi nagany za tę niesubordynacyą. Komitet wszakże większością 25 głosów przeciwko 5 uznał postąpienie oskarżonego za dobre. Z tego powodu wywiązała się polemika między organami 2 partyi. *Prolétaire* nazwał w niéj guesd'ystów „marxistami“ i „autorytetnikami.“ W odpowiedzi na to *Egalité* ochrzciła stronników Brousse'a mianem *posybilistów*, opierając się na wygłoszoném przez „Proletaryusza“ zdaniu: „*Nous voulons fractionner notre but jusqu'à le rendre possible*“ Miano posybilisty w oczach wszystkich ludzi rozsądnych jakiegolwiek stronnictwa może być tylko pochwałą. Boć do niemożliwych rzeczy nikt, obdarzony zdrowym umysłem, dążyć nie może. Tém nie mniéj wszakże guesd'yści uważają ten tytuł za taką samę obelgę, za jaką np. między dorożkarzami uchodzi nazwa „sałata.“

Ostateczny rozdział dwóch stronnictw miał miejsce w sierpniu 1882 na kongresie w Saint-Etienne. Guesd'yści zerwali tu wszelką łączność z posybilistami i zorganizowali własny kongres w Roanne. Po stronie ich znajdowała się znaczna mniejszość: stracili oni Paryż i Wschód, Północ tylko i Lyon wraz z kilkoma miastami okolicznemi pozostały im wiernemi. Byli to starzy rewolucyoniści, szermierze jeszcze z 1877 i 1878 roku. Neofici, dawniejsi kooperatyści w epoce pierwszych kongresów, których wciągnięto raczéj do kolektywizmu, niż sami się do niego zwrócili, łatwo zostali oderwani z pod dyktatury arbitralnego marxisty. Przy boku Guesde'a pozo-

stali wszyscy najbardziéj wykształceni (z wyjątkiem B. Malona) członkowie partyi: jak np. Paweł Lafargue, zięć Marxa, i Gabryel Deville. Natomiast posybiliści posiadają zdolniejszych mówców ludowych i agitatorów, jak Fournière, Brousse, Chabert, Clément i Joffrin i inni.

Skutkiem tych sporów i nieporozumień zapanowała anarchia w partyi robotniczéj. „Związki federacyjne“ *(Unions fédératives)* i komitet narodowy nie wiele mają władzy. Komitet koresponduje, urządza konferencye, układa dane statystyczne, przygotowuje kongresy narodowe i międzynarodowe, redaguje manifesty w imieniu partyi, tworzy najwyższy trybunał i komitet doradczy. Komitet służy za łącznik dla sześciu federacyi. Każda federacya okręgowa posiada swój komitet federacyjny. Grupy złączone w Związki federacyjne tworzą albo izby syndykalne, lub t. zw. „Kółka studyów społecznych“ *(Cercles d'études sociales).* Takie jest urządzenie, zaprowadzone wśród partyi „posybilistów“, zwanéj urzędownie „Federacyą francuską pracowników socyalistów“ *(Fédération française des Travailleurs socialistes).*

Ustrój *Partyi robotniczéj* (urzędowe miano stronnictwa Guesde'a) w gruncie rzeczy podobnym jest do poprzedniego z tą tylko różnicą, że związki federacyjne zwą się tu „radami okręgowemi“ *(Conseils régionaux)*, komitet zaś narodowy nosi nazwę „rady narodowéj.“ Organizacya w tém stronnictwie jest silniejsza i zdrowsza; łączność i solidarność większa. Do frakcyi posybilistów należy więcéj rzeczywistego proletaryatu z umysłem ciasnym, bardziéj przykutym do form niż stronnicy Guesde'a, ludzie wykształceńsi z szerszym poglądem na rzeczy. Po za tém żadnéj istotnéj, zasadniczéj różnicy pomiędzy temi dwoma stronnictwami niema i gdyby tylko ich przywódcy zechcieli dla dobra sprawy poświęcić swoje ambicye osobiste, mogłyby się one połączyć odrazu bez żadnych trudności do wspólnego działania.

Rozpatrzywszy, jaką drogą idee socyalistyczne wcisnęły się do umysłu rewolucyonistów francuskich i jaką zewnętrzną formę przybrały, rzućmy okiem na ich treść wewnętrzną i duch, jaki je ożywia.

U pierwszych komunistów Fourier'a, Cabet'a, Saint-Simon'a, spotykamy dążenia raczéj filantropijne niż rewolucyjne. Byli to przedewszystkiém ludzie serca, których bolała ziemska niesprawiedliwość; utopiści, wierzący, że dobro tak jest ponętném samo przez się, iż zapanuje wkrótce niepodzielnie bez pomocy siły. Socyalizm niemiecki, od którego bierze początek i z którym jest zjednoczony duchem kolektywizm francuski, nie wzdycha, nie błaga, lecz wymaga i żąda; to nie idealizm, lecz materyalizm, nie płynie on z ser-

ca; to dyalektyk suchy, niewzruszony. Cierpienia „biednego ludu“ są dla niego obojętne. Istota jego leży nie w miłosierdziu, obudzoném przez nieszczęście ludzkości, lecz w nauce, w teoryi. Dochodzi on do wniosku, że jest nieodwołalnym końcem rozwoju ludzkości, „ostatecznym skutkiem wszelkich przyczyn zewnętrznych.“ Myśliciele socyaliści: Marx, Engels, Guesde, Brousse, Malon, Deville i inni im pokrewni są ludźmi głowy, nigdy serca. Kieruje nimi rozum, nie zaś sumienie. Idą przed siebie niewzruszeni, gotowi siać zniszczenie bez zgryzoty i żalu. Twarda to rasa nielitościwych logików, którzy nie domagają się miłosierdzia, nie zwracają się do uczuć szlachetnych, lecz uważają je za niedorzeczność. Boją się oni nawet tych uczuć, mówiąc, że przez wyzyskiwanie ich właśnie w klasie robotniczéj politycy posługiwali się proletaryatem, aby go potém przygnębić.

Socyaliści niemieccy nie uważają ludzkości za doskonałą, jak pierwsi komuniści lub późniejsi anarchiści. Nie wierzą w to, ażeby ona czyniła dobrze przez samą miłość dobra, lecz uznają konieczność zwierzchnictwa społecznego, któreby zmusiło każdego do wypełnienia zobowiązań względem społeczeństwa, do wytwarzania stosownie do potrzeby społecznéj i do spożywania odpowiednio do swych potrzeb osobistych.

Formuła kolektywistów różni się od téj, któréj trzymali się komuniści z 48 roku: „Od każdego według jego sił i każdemu według jego potrzeb.“ Podobny sposób postępowania byłby dalszym ciągiem wyzysku obecnego. W społeczeństwie kolektywném każdy będzie zmuszony do pracy, któréj czas trwania zmieniałby się stosownie do potrzeby ogółu. Kolektywizm znosi dzisiejszy handel, współzawodnictwo, prawo podaży i popytu, a na to miejsce tworzy systemat, oparty na solidarności pracowników. Udoskonalenia w produkcyi maszyny, z których dziś otrzymują korzyść tylko przedsiębiorcy, mają przynosić pożytek wszystkim, nie zaś uprzywilejowanym posiadaczom kapitału. W gruncie rzeczy komunizm i kolektywizm są synonimami. Komuniści współcześni jednak przyjęli nazwę kolektywistów z dwu powodów. Najprzód dlatego, ażeby się odróżnić od dawniejszych utopistów komunizmu sentymentalnego, a następnie z téj przyczyny, iż zdaniem ich ustrój komunistyczny społeczeństwa, w którym i wytwarzanie i spożycie będą się odbywały wspólnie, musi być poprzedzony przez pewien okres przejściowy, przygotowawczy, w którymby ludzie odpowiednio się urobili i zatracili w sobie instynkty indywidualistyczne. Tym okresem przejściowym ma być właśnie kolektywizm, w którym wytwarzanie byłoby wspólne, lecz spożycie pozostałoby indywidualném.

W ustroju tym każdy członek społeczeństwa otrzymywałby w jakiéjkolwiek formie produkt równoważny swojéj pracy i używał go według swéj woli. Wpływ otoczenia kolektywistycznego doprowadziłby z czasem i do spożycia wspólnego i wyrobił dla niego odpowiednie formy. Tym sposobem powoli zapanowałby powszechnie komunizm czysty jako dalszy stopień rozwoju kolektywizmu.

Na początek pragną kolektywiści znieść tylko własność indywidualną przedsiębiorstw zmonopolizowanych i przemysłu wielkiego. Przemysł i handel drobny pozostawiliby nietkniętym w posiadaniu prywatném, będąc pewnymi, że dzieło ostatecznegoześrodkowania kapitałów w ręku państwa, jako przedstawiciela społeczeństwa, dokonałoby się samo przez się drogą współzawodnictwa. Samo się wreszcie przez się rozumié, że stanąwszy u władzy, nie szczędziliby kolektywiści żadnych środków, ażeby ten proces uspołecznienia wszelkiéj produkcyi i zniesienia własności prywatnéj wszelkich kapitałów, o ile można przyśpieszyć. Jedną z cech kolektywizmu jest zanik w jego zwolennikach uczuć narodowych. Odkąd na całym świecie widzą oni tylko 2 klasy: kapitalistów—wyzyskiwaczy, i robotników—wyzyskiwanych, od téj chwili przestały ich obchodzić odrębności rasowe, językowe, narodowe. Solidarność robotników, zarówno jak rewolucya, muszą być międzynarodowe. Robotnik francuski, niemiecki, belgijski, amerykański, duński i t. d. przemawiają w imię wspólnych idei. Robotnik francuski brata się na tym gruncie z robotnikiem niemieckim przeciwko swym wspólnym nieprzyjaciołom: kapitaliście francuskiemu i niemieckiemu. Nienawiść narodową zaciera nienawiść klasowa. W stosunku do ojczyzny, podobnie jak do wielu innych przedmiotów, teoretycy socyalizmu starają się zagłuszyć w swych zwolennikach uczucie bardzo szlachetne i podniosłe. Bo takiém jest niezaprzeczenie uczucie miłości dla téj ziemi, na któréj się zrodziliśmy, „ziemi naszych ojców“, na któréj oni pracowali, cieszyli się i cierpieli. Tymczasem wszystkie stronnictwa dzisiejszego socyalizmu rewolucyjnego we wszystkich krajach godzą się pod tym względem, iż są nie tylko już obojętne dla spraw ojczyzny, ale stanowczo kosmopolityczne i antypatryotyczne. Świadczą o tém dobitnie liczne wyjątki z programów różnych partyi tego kierunku, przytoczone przez autora, pomiędzy którymi znajduje się, niestety, wyjątek i z programu „socyalistów polskich.“ Dla człowieka zdrowych uczuć i pojęć ta jedna cecha socyalizmu rewolucyjnego wystarczyć może, by do tego smutnego obłędu powziął obrzydzenie. Wprawdzie na pociechę wszystkich prawych synów swéj narodowości należy dodać, że doktrynerzy socyalizmu podjęli się pracy syzyfowéj, walcząc z uczuciem tak naturalném

i niezbędném dla istnienia i rozwoju każdego społeczeństwa. To téż i p. Mermeix „na chwałę francuskiéj klasy robotniczéj“ zaznacza, że nawet pomiędzy tymi proletaryuszami, którzy najgłośniéj w jego kraju krzyczą: „Niech żyje rewolucya! Precz z granicami!“, mało bardzo możnaby znaleść takich, którzy na osobności nie byliby dobrymi patryotami i którzy wobec alternatywy: służenia ojczyźnie lub zdradzenia jéj—nie wybraliby pierwszego.

Przyjrzyjmy się teraz przelotnie udziałowi kobiét w ruchu rewolucyjnym Francyi i stosunkowi socyalizmu współczesnego do „kwestyi kobiécéj.“ Jeszcze za Ludwika Filipa, pomiędzy r. 1830 a 1848, zaczęto mówić we Francyi o równości politycznéj i społecznéj kobiét z mężczyznami. Apostołami „praw kobiéty“ byli komuniści Owen, Cabet i Fourier. Znaleźli oni odgłos wśród kobiét, które w r. 1848 zaczęły wydawać pismo *La voix des femmes*. Redaktorką była Eugenia Riboyet, która jeszcze w r. 1834 wydawała w Lyonie *le Conseiller des femmes*, a następnie w Paryżu kilka innych pism.—W pierwszym numerze „Głosu kobiét“ streściła redaktorka dążenia swéj płci: równość wszystkich obywateli i obywatelek, prawo obywatelstwa dla wszystkich, tak mężczyzn jak kobiét, związek powszechny narodów. Przekonania swe kobiéty starały się popierać czynnie; przedewszystkiém założyły klub i postanowiły agitować wśród wyborców celem zdobycia głosów dla gorącego obrońcy ich praw E. Legouvégo i powieściopisarki George Sand; to ostatnie życzenie „płci nadobnéj“ podjął się spełnić klub Jakobinów, lecz George Sand odpowiedziała swym protektorkom, że nie przyjmuje kandydatury i że inicyatywa ich jest, zdaniem jéj, wyskokiem w bardzo złym guście. Podały następnie kobiéty petycyą do rządu tymczasowego z roku 48-go o bezwzględne przyznanie im wszelkich praw cywilnych i prawa wyboru dla wdów i niezamężnych. Kobiéty zaś z departamentu niższéj Sekwany, rozseparowane prawnie z mężami, zrobiły podanie o przywrócenie rozwodu. Żadna z tych próśb jednak nie odniosła skutku. Jednę tylko pamiątkę pozostawił płci żeńskiéj rok 1848, a mianowicie otwarcie kolegium medycznego dla kobiét pod kierunkiem doktora Malatier'a.

Socyalizm dni dzisiejszych zajął się kwestyą kobiécą z odmiennego zupełnie punktu widzenia: idzie mu przedewszystkiém o poprawienie bytu kobiét zajętych w pracy przemysłowéj, gdzie są one więcéj jeszcze wyzyskiwane niż ich ojcowie i bracia. W tym celu socyaliści domagają się równego wynagradzania robotników obu płci za jednaki czas pracy. Niektórzy z nich wreszcie chcą zarazem i politycznego równouprawnienia kobiét; inni zaś twierdzą, że powinno je poprzedzić ekonomiczne, a polityczne przyjdzie samo

przez się jako skutek pierwszego. Kwestya kobieca przedstawia właśnie jeden z nielicznych punktów doktryny, co do którego dwie scharakteryzowane przez nas partye socyalistów francuskich różnią się rzeczywiście w zdaniu pomiędzy sobą. Posybiliści mianowicie żądają emancypacyi kobiét bezwłocznie. Guesd'yści są również jéj zwolennikami—w zasadzie, lecz uważają za stosowne odłożyć ją do epoki nieokreślonéj... po zwycięstwie. Z powodu téj różnicy zdań wybuchnęła nawet żywa polemika pomiędzy przeciwnikami, w któréj Guesde zrobił zarzut Brousse'owi, że chce obłudnie „walkę klas zastąpić walką płci.“ Oto próbka wiary rewolucyonistów w szczerość przekonań swych adeptów. Jakby to ta upragniona równość powszechna wyglądała—po zwycięstwie?...

W celu zamanifestowania swych poglądów posybiliści postawili w r. 1881 w Paryżu kandydaturę jednéj ze swych stronniczek, pani Leonii Rouzade, lecz naturalnie bez żadnego skutku. Dziś kwestya kobiéca zupełnie ucichła we Francyi. Broni jéj jeszcze tylko panna Hubertyna Auclert w maleńkiém pisemku miesięczném *La Citoyenne*, wydawaném jedynie dzięki ofiarności jéj przyjaciół mężczyzn. Pisemko to jednak nie ma wcale prenumeratorek.

Z pomiędzy kobiét rewolucyonistek najwybitniejszemi są: znana anarchistka Ludwika Michel, wzmiankowana wyżéj posybilistka Leonia Rouzade, zapalona krzewicielka wolnéj myśli, i pani Paulina Négro-Minck, najwięcéj wzięta mówczyni po Ludwice Michel. Stała się ona głośną dzięki swym zatargom z municypalnością miasta, gdzie zamieszkuje, o imiona, jakie chciała nadać swym synom. Pierwszy miał się nazywać: Lucyfer-Blanqui-Vercingetorix. *Curiosum* to rozniosły po wszystkich zakątkach ziemi gazety, lecz o czém świat nie wié, to o tém, że pewien anarchista wyrzucał pani Minck, iż chciała swemu synowi dać imię „rębajły“ *(traineur de sabre)* Vercingetorixa!

Odrębną zupełnie partyą rewolucyonistów stanowią we Francyi blankiści, uczniowie Augusta Blanqui, człowieka obdarzonego wielką inteligencyą, nadzwyczajną śmiałością, żelazną wolą, sztuką przemawiania do tłumów, żądzą władzy. Był to pierwszy we Francyi w XIX wieku komunista rewolucyjny. Wyprzedził on nawet Marxa. Działalność jego tamowało wieloletnie więzienie. W przeciągu półwieku od r. 1830 do 1880 spędził on 37 lat w zamknięciu z pewnemi przerwami. Blanqui ujrzał z radością utworzenie Stowarzyszenia międzynarodowego robotników, dążenia jednak paryskiéj sekcyi Międzynarodówki nie podobały mu się za swój spokojny kierunek, pragnący tylko reform ekonomicznych. Pod koniec cesarstwa i na początku oblężenia Paryża był on przywódcą ruchu de-

magogów. Po zaaresztowaniu wodza d. 31 października główniejsze role w agitacyi rewolucyjnéj stały się udziałem jego uczniów. Niesłusznem jest zdanie, że komuna paryska była dziełem blankistów, gdyż przyczyny tego wypadku bardzo były złożone; gdy jednak powstanie wybuchło, blankiści zostali jego przywódcami. Jeszcze za cesarstwa zgrupował obok siebie Blanqui koło studentów, autorów mnóstwa gwałtownych artykułów przeciwko religii, cesarzowi, władzy i t. p., które pomieszczali w swych dziennikach: *La Jeunesse, le Travail* etc. Porywająca wymowa, miły głos, wyniosła postawa i ogromna ambicya Blanqui'ego pozyskały mu wkrótce gorących zwolenników, którzy wystąpili po raz pierwszy na kongresie w Liège 1864 roku z manifestacyą rewolucyjną i socyalistyczną. Wkrótce potém w Menilmontant studenci blankiści wśród białego dnia zaczęli wołać na ulicy: „*Vive la république.*“ Gdy ich zaaresztowano, zrobiło się pewne zamieszanie uliczne; robotnicy wzięli stronę studentów i w więzieniu połączyli się z nimi. Tym sposobem blankizm przeniknął na przedmieścia. Z pomocą swego koła zaatakował również Blanqui na kongresie genewskim paryskich międzynarodowców, którzy nie przyjęli jego nauki. Jednym ze śmiałych planów Blanquiego była próba wzniecenia rewolucyi w Paryżu, czemu początek miał dać napad na straż ogniową na bulwarze la Vilette. Zamiar się nie udał.

Po stłumieniu komuny, kierujący nią blankiści schronili się do Londynu, gdzie weszli do głównéj rady Międzynarodówki, z ukrytą myślą wzięcia wodzów stowarzyszenia w swoje ręce. Marx jednak odgadł ich zamiary i dla sparaliżowania ich przeniósł radę główną do New-Yorku. Wtedy blankiści utworzyli oddzielną grupę pod nazwą *Komuny rewolucyjnéj*, a po amnestyi w 1879 powrócili do Francyi. Znaleźli tam swego przywódcę, który świeżo właśnie opuścił więzienie w Clairvaux. Wraz ze szczupłą garstką wiernych mu przyjaciół zorganizował wtedy Blanqui partyą rewolucyjną, mającą swe komitety w wielu okręgach, związane razem w *centralny komitet rewolucyjny.* Wszystkie te komitety wydawały wspólnym kosztem, jako organ *partyi*, pismo w pierwszym miesiącu codzienne, a następnie przez czas pewien tygodniowe, pod tytułem „*Ni dieu, ni maître.*“

Ostatni rok życia poświęcił Blanqui czynnéj propagandzie, pomimo, że umysł jego, osłabiony wiekiem, i złamany głos nie służyły mu już po dawnemu. Skazywany w ciągu swego życia pięć razy na śmierć i kilkakrotnie na dożywotnie więzienie, umarł on 31 grudnia 1880 r. w domu na rękach przyjaciół, lecz w wielkiém ubóstwie. Grób jego na Père Lachaise przedstawia górę wieńców.

Blankiści zachowali tradycyą swego mistrza. Są to raczéj politycy niż ekonomiści i socyologowie,— rewolucyoniści, śmiałkowie, posuwający się do zuchwalstwa. Nie usuwają się oni od żadnego ruchu; w awanturniczych, ryzykownych przedsięwzięciach są mistrzami. Gdy jednak wypada orzec, co należy postawić na pierwszém miejscu w programie: dążenia Międzynarodówki, czy programu hawrskiego, blankiści obojętnie potrząsają głową. Jak żołnierze zawsze gotowi do boju, idą oni wszędzie, gdzie słyszą i czują rewolucyą. Zgadzają się zarówno z guesd'ystami, jak i z posybilistami. Nie mogą tylko nigdy dojść do porozumienia z anarchistami, z którymi na mityngach staczają zawzięte walki.

Anarchia nie jest już dzisiaj starą hydrą deklamacyi konserwatywnych. To już nie widmo, służące do straszenia spokojnych obywateli. Anarchia w dzisiejszém pojęciu, to cały system społeczny, to urzeczywistnienie słynnego zdania Rocheforta: „Nic już nie ma.“ W społeczeństwie anarchistyczném jednostka jest zupełnie niezależną; żadne prawo, żadna ustawa nie mają nad nią władzy. Żyje ona wolna; robi co chce. Wchodzi w związki, gdy jéj się to podoba, zrywa je, gdy tego pragnie, i nikt nie ma prawa uważać za złe, że idzie za swą wolą, gdyż każdy ma równe prawo kierować się swoją. Anarchia bierze początek od Bakunina, który zaaklimatyzował ją w Szwajcaryi. Ze Szwajcaryi wkroczyła anarchia na grunt francuski i osiedliła się w okolicach Lyonu. Oprócz Bakunina zasługują na uwagę pośród anarchistów: Krapotkin, Elizeusz Réclus i Emil Gautier. Ten ostatni, jako anarchista, wystąpił najjaskrawiéj na widowni francuskiéj. Należał on do partyi, która przyjęła do swego grona Guesde'a po jego powrocie ze Szwajcaryi, sam jeden odłączył się od kolegów, nie dając się podbić wymowie sławnego kolektywisty. Gniewała go ambicya Guesde'a; jego żądza panowania nad wszystkimi oburzała go. Niechęć przeciwników doprowadziła aż do pojedynku. Gautier przy pomocy Arseniusza Crié zgrupował około siebie dwustu do trzystu robotników paryskich, których nęciła przedewszystkiém dewiza: „*plus de chefs, ni dieu, ni maitre.*“ Policya skrycie pomagała anarchistom. Pierwszy dziennik ich *La Révolution sociale* wychodził z funduszów prefektury. Dziennik *Cri du peuple* wykazał w roku 85, że kilku najzacieklejszych mówców anarchistycznych było tajnymi ajentami policyi, która chciała tym sposobem siać niezgodę wśród rewolucyonistów. Anarchiści, jako przeciwnicy wszelkiéj władzy, napadali na socyalistów i starali się podkopywać ich powagę. Byli więc znakomitymi sprzymierzeńcami policyi.

Oryginalną postacią wśród anarchistów jest Ludwika Michel. Ta zbłąkana kobiéta, z uczciwemi chęciami, uwierzyła, że prawdziwymi przyjaciółmi ludu są tylko „towarzysze“ („*compagnons*“, tak się wzajemnie nazywają anarchiści). Wierzy ona, że nic kieruje nimi ambicya, skoro chcą zniszczyć cel dążeń wszystkich ludzi ambitnych—władzę. Nie zastanawiała się ona nad tém, czy anarchia jest możliwa. Zdaje się jéj tylko, że jest dobrą, lepszą niż stosunki dzisiejsze. Powiedziano jéj, że anarchia przedstawiałaby społeczeństwo, w którém wszyscy ludzie byliby dobrymi, gdzie każdy spełniałby swój obowiązek przez samą miłość obowiązku. Połączyła się więc z anarchistami jak byłaby poszła za każdym, ktoby jéj przyrzekł urzeczywistnić jéj ideał sprawiedliwości. Jestto, być może, jedyna w partyi szczera anarchistka, dzięki temu, iż nie ośmieliła się nigdy dochodzić, co się rzeczywiście kryje po za słowem „anarchista“. Nie wié ona sama dobrze, co mówi i co robi. Nigdy jednak nie kieruje nią myśl egoistyczna. Jestto kobieta bardzo miłosierna i poświęcająca się, która w imię ludzkości, w dobréj wierze, popełniłaby nie jedno okrucieństwo. Należy ona do téj rodziny tkliwych katów, która dziś jest dość liczną.

Partya anarchistyczna zalicza do swego grona najniesympatyczniejsze postaci rewolucyonistów: są to po większéj części robotnicy prości, brutalni, ciemni, bez żadnéj oświaty. Mowy ich to pospolite, płaskie i gwałtowne wybuchy złości. Wymyślają oni swym przeciwnikom, lecz ich nie przekonywają. Są to zapaleni niszczyciele, którzy burzą *con amore* dlatego tylko, żeby burzyć. Pewien chemik np. w jednym z lyońskich dzienników anarchistycznych daje przepis na wyrabianie „*produits antibourgeois*“. Anarchia w Paryżu ma cokolwiek mniéj wstrętną postać, gdyż weselszy i dobroduszniejszy charakter robotnika paryskiego mniéj jest podatny dla téj propagandy, lecz w Lyonie, przy większéj styczności ze Szwajcaryą, rzeczy stoją gorzéj. Proces Krapotkina przekonał tu, że anarchia pociągnęła ku sobie kilku ludzi, którym nie brakowało ani wiedzy, ani wymowy, ani odwagi. Po dwóch, trzech, rzadko więcéj nad dziesięciu, łączą się anarchiści w grupy zdobne szumnemi straszliwemi nazwami: „Pantera Batiniolska“ „Zbrodniarze“, „Zemsta“, „Zuchwałość“, „Nihiliści“, „Błyskawica“, „Miecz“, „Serca dębowe“ itp. Wszystkich takich drobnych grupek jest razem w całéj Francyi około 60. Są one związane w jedną federacyą, lecz dotąd nie przedsięwzięły nic ważniejszego nad kilka hałaśliwych zebrań ulicznych, które żadnego wpływu na ruch socyalistyczny nie wywarły.

Chcąc oddziaływać na tłumy, postarali się przedewszystkiém rewolucyoniści o zdobycie sobie organów, za pomocą których by

mogli szerzyć swe idee. Początkowo udzieliły im gościnności niektóre pisma radykalne: *Les Droits de l'homme, le Radical, la Vérité* itp., pragnące pozyskać sobie czytelników wśród kół socyalistycznych, lecz gdy Guesde wystąpił z nauką kolektywizmu, dzienniki te ogłosiły, że żadna solidarność z kolektywistami ich nie łączy. Pierwszém pismem tego kierunku była *l'Egalité* Guesde'a. W kilka miesięcy późniéj przybył mu towarzysz *le Prolétaire*, w Lyonie zaś przez kilka tygodni Malon wydawał pismo partyi *l'Emancipation*. Pierwszą *gazetą* socyalistyczną był paryski *le Citoyen*; jeszcze za jego życia Lissagaray założył drugi organ codzienny *la Bataille*, który wszakże wkrótce potém zlał się w jedno ze swoim poprzednikiem. Po długiéj i gwałtownéj walce dziennik ten musiał ustąpić miejsca nowemu współzawodnikowi gazecie *le Cri du peuple*, założonéj przez Juliusza Vallès (1). Okazała się ona najszczęśliwszą ze wszystkich gdyż pozostała do dziś dnia jedyném codzienném pismem socyalno-rewolucyjném w Paryżu, zręcznie redagowaném po śmierci założyciela przez jego przyjaciółkę panią Sévérine. Do dziennika tego pisują stronnicy wszelkich partyi rewolucyjnych bez różnicy odcieni. Na brak za to tygodników rewolucyjnych Francya skarżyć się nie może. Obecnie wychodzi ich trzy: *la Revue socialiste*, *le Socialiste* i *le Prolétaire*, nie licząc świeżo przeniesionego z Genewy do Paryża *le Revolté*. Wszystkie inne po krótkiem istnieniu upadły. Pomiędzy tymi zmarłymi noworodkami najwięcéj można naliczyć trupów anarchistycznych, jak: *la Revolution sociale, le Droit social*, *l'Etendard*, *le Drapeau noir*, *la Lutte*, *la Commune*, *la Revanche* itp. Wszystkie partye rewolucyjne od początku niemal swego istnienia żyły z sobą w ciągłéj rozterce. Kiedy posybiliści poróżnili się z guesd'ystami, stojący po za partyami rewolucyonista Lissagaray, redaktor pisma *Bataille*, postanowił skorzystać z tego i dla zdobycia sobie prenumeratorów połączył się z Brousse'em i jego przyjaciółmi. Wkrótce jednak wybuchły niesnaski w łonie redakcyi, gdyż zaproszeni chcieli rządzić samowolnie dziennikiem, a Lissagaray nie godził się na ustąpienie władzy we własném piśmie i w końcu znudzony ciągłemi kłótniami, wydalił ambitnych współpracowników. Skutkiem tego posypały się naturalnie wzajemne oskarżenia i obelgi, a gues'dyści, redagujący wówczas dziennik *Citoyen*, zacierali ręce. Radość ich jednakże trwała krótko, gdyż Lissagaray, człowiek większego talentu, niż charakteru, lecz bez zaprzeczenia najzdolniejszy dziennikarz i pisarz wśród socyalistów francuskich, chcąc uniknąć szkodliwego dla obu pism współzawodnictwa, porozumiał

---

(1) O Vallès'ie „Ateneum" podało osobny artykuł w r. 1885 t. III, str. 285—308.

się z wydawcą gazety *Citoyen* i, wysadziwszy z krzeseł dawnych jej redaktorów, zlał ją w jedno pismo z *Bataille*, jak już o tém mówiliśmy wyżéj. Wszystko to cieszyło bardzo blankistów, którzy, nie łącząc się z żadną z walczących stron, wyczekują sposobności, któraby im pozwoliła zastąpić dyskredytujących się wzajemnie wodzów wszystkich stronnictw i ująć kierunek całego ruchu rewolucyjnego w swoje ręce. Ze swarów tych nie omieszkali zaraz skorzystać anarchiści i oderwali od każdéj partyi po trosze zwolenników, którzy, widząc, że wodzowie bez ustanku między sobą się kłócą, łatwo dali się przekonać, iż najlepsze jest to stronnictwo, które z zasady nie uznaje żadnych naczelników.

Wobec takich okoliczności najrozsądniejsi z socyalistów zaczęli myśléć o niebezpieczeństwie podobnego rozczłonkowania partyi i dążyć do znalezienia dla odrębnych grup wspólnego łącznika. W tym celu dziennik *le Cri du peuple* podniósł na nowo rzuconą już dawniéj przez Lissagaray'a myśl połączenia się mas bez uwagi na zatargi osobiste wodzów. W rzeczy saméj, gdyby prości zwolennicy doktryny, socyaliści bez imienia, masy, które różniło pomiędzy sobą jedynie współzawodnictwo naczelników połączyli się, to przywódzcy, nie chcąc się znaleść odosobnionymi, musieliby się pogodzić. Dążącym do jedności niespodzianie zjawiła się pomoc w osobie Henryka Rochefort'a.

Ciekawa to postać tego politycznego „żyda wiecznego tułacza", który nigdy się nie zatrzymuje, lecz ciągle w krańcowości swych poglądów idzie naprzód. Kiedy partya radykalna, któréj służył z taką stałością i powodzeniem przez lat dziesięć, odniosła zwycięstwo nad oportunistami, Rochefort zwrócił się przeciwko swym wczorajszym przyjaciołom, porzucił ich szeregi i podążył do rewolucyonistów, aby stanąć na ich czele.

Rochefort nie należy do żadnéj szkoły socyalistycznéj. Nie ma on doktryny. Jestto rewolucyonista instynktowny, z przyzwyczajenia, z pragnienia idealnéj sprawiedliwości społecznéj, wreszcie, z odrazy nieświadoméj wielkiego pana do parweniuszów, sklepikarzy, kapitalistów, przedsiębiorców. Kiedy stanął na czele rewolucyonistów, obce mu były niesnaski partyjne. Jego imię, które już zdobyło sobie popularność, nie obudzało nieufności w nikim. Położenie Rocheforta wśród socyalistów jest wyjątkowém. Nie ożywia go żadne uczucie pożądliwości, ambicyi, będące udziałem większości socyalistów. Odegrał on już dawniéj wielką rolę, był najpopularniejszym człowiekiem we Francyi, jest jednym z najlepszych pisarzów w dziennikarstwie francuskiém, śmielszym i dzielniejszym

od innych. Kiedy zechciał tego, został deputowanym; zarabia dość pieniędzy, aby mógł zadowolnić wszelkie swoje gusty. Czegóż więcéj może pożądać, zazdrościć? Ofiarując rewolucyonistom swoje imię i pomoc, oddał im olbrzymią usługę, wyrządzając zarazem przez to społeczeństwu szkodę. Od chwili jego wstąpienia w ich szeregi sprawa połączenia się partyi, która przedtém szła bardzo opornie, szybko posunęła się naprzód. Nigdy dawniéj stronnictwa rewolucyjne nie było tak silne. W czasie ostatnich wyborów 70 tysięcy socyalistów dało głos za jednym kandydatem. Od chwili dopiero objęcia przywództwa przez Rochefort'a wszyscy rewolucyoniści francuscy postępują w zwartym szeregu.

Zdala od socyalizmu rewolucyjnego, wychodzącego z zasady „walki klas“, antagonizmu pomiędzy kapitałem a pracą, znajdujemy we Francyi szczupłą garstkę reformatorów, zwanych „socyalistami katolickimi“ i dążących do pogodzenia interesów odrębnych warstw społecznych, znalezienia jakiegoś *modus vivendi* kapitału z pracą za pośrednictwem religii chrześciańskiéj. Założycielami *Fundacyi kółek katolickich* (*l'Oeuvre des cercles catholiques*) są: hr. Albert de Mun i hr. de la Tour du Pin. Propaganda ich datuje się od 1872 i do dziś już utworzyła we Francyi około 400 kółek. Chrześciańscy ci reformatorowie dążą do pogodzenia robotników z ich pracodawcami, pragną przekonać tych ostatnich, że mają oni względem swych pracowników obowiązki ojcowskie; robotnikom zaś dowodzą wyższości ich „chlebodawców“ nie tylko w pracowni, lecz zarazem i w społeczeństwie i starają się zaszczepić w nich uczucia szacunku i przywiązania dla tych, „których opatrzność postawiła ponad nimi.“ Od panów żądają oni pobłażliwości, sprawiedliwości, miłosierdzia; robotnikom zalecają rezygnacyą, dążenie do polepszenia bytu przez pracę, oszczędność i uszanowanie dla swych chlebodawców. Gdyby prawo pozwoliło twórcom tego stowarzyszenia na uorganizowanie całego społeczeństwa według ich systematu, to Francya stałaby się państwem teokratyczném, utworzoném na wzór wielkiego koła katolickiego. Działalność kółek katolickich prowadzi się w sposób następujący. W pewném mieście, lub części miasta, zamożniejsi ludzie łączą się i wynajmują do współki mieszkanie, gdzie robotnicy mogą się zbierać, zabawiać i gdzie otrzymują naukę chrześciańską, konserwatywną. Na pierwsze potrzeby komitet główny „Fundacyi“ dostarcza środków, zbieranych przez dobrowolne ofiary i obowiązkowe składki członków. Zarząd koła nominalnie spoczywa w ręku rady wewnętrznéj, któréj członkowie wybierani są przez komitet i piastują swój urząd dożywotnio, lub do czasu gdy zechcą. Prezes koła, wybierany z pośród członków rady

wewnętrznéj, urzęduje przez rok jeden. Władza wykonawcza spoczywa w ręku sekretaryatu, którego naczelnikiem jest sekretarz koła. Zajmuje się on sprawami administracyjnemi, ekonomicznemi, nauczania itp. Organizacya ta, zaprowadzona w każdém mieście, w każdéj dzielnicy, utworzona jest na wzór organizacyi komitetu głównego *Fundacyi*, zasiadającego w Paryżu, którego sekretarzem naczelnym od samego założenia jest hr. Albert de Mun. Jedna z sekcyi rady głównéj poświęcona jest specyalnie badaniom społecznym i pracy nad rozwojem doktryny ekonomicznéj chrześciańskiéj. Wydaje ona pismo *l'Association catholique.*

Koła robotnicze katolickie są tylko środkiem, nie zaś celem, do którego dążą chrześciańscy reformatorowie. W kołach tych dwie warstwy społeczne: wyższa i niższa, wykształcona i ciemna robotnicy i kapitaliści stykają się z sobą. Na wykładach nauczają tu, że pokój w społeczeństwie zapanuje na skutek stowarzyszenia się robotników i przedsiębiorców jednéj gałęzi przemysłu, lub jednéj fabryki w korporacye, zarządzane przez rady korporacyjne, któreby oznaczały płace robocze i dni wypłaty, administrowały kasą korporacyjną itp. Obowiązkiem ich nadto byłoby sądzenie wszelkich sporów pomiędzy robotnikami i przedsiębiorcami. Rady korporacyjne składałyby się z przedstawicieli obu tych warstw w równéj liczbie. Gdyby dwie te frakcye rady nie mogły się zgodzić w zdaniu o jakiejkolwiek sprawie, w takim razie „kolo katolickie“ delegowałoby do rozpatrzenia jéj jednego ze swoich członków, którego wyrok byłby obowiązującym dla obu stron. Zaprowadzenie takiéj organizacyi w społeczeństwie jest właściwym celem socyalistów chrześciańskich.

Jak widzimy z powyższego, dążenia reformatorów chrześcijańskich nie są żadném nowatorstwem. Usiłują oni za pomocą nauczania ewangielicznego stłumić nienawiści społeczne, uczynić przedsiębiorców mniéj chciwymi a wspaniałomyślniejszymi, robotników mniéj wymagającymi. Miłosierdzie z jednéj strony, rezygnacya z drugiej—oto podstawy, na których chcą oni zbudować gmach trwałéj zgody społecznéj. Czy jednakże podstawy te nie są zbyt kruche? Nie podobna zaprzeczyć, że propagatorowie tych idei są ludźmi dobrych chęci i szlachetnych uczuć, że stanowią oni wybraną cząstką arystokracyi i mieszczaństwa, lecz niemniéj pewną jest rzeczą, iż nadzieje swoje opierają na gruncie, który się wali. Kazania o rezygnacyi mogły wystarczać biednym w wieku gorącéj wiary w czasach kiedy, ażeby być panem, trzeba się było nim urodzić, kiedy więc skutkiem tego lud widział się z góry skazanym na los, w jakim się znajdował. Lecz dziś po tylu rewolucyach moralnych i po-

litycznych nie uzna on wyższości nad sobą parweniuszów, dorobkiewiczów, którzy wyszli z jego łona, których jedyną ideą przewodnią życia jest pogoń za zyskiem. Socyalizm chrześciański nie liczy się przytém zupełnie z rewolucyą ekonomiczną, jaka się dokonała w ciągu ostatniego stulecia, ze skutkami międzynarodowego podziału pracy, zastosowania maszyn do produkcyi i rozszerzenia rynku ekonomicznego na świat cały. Choćby im się nawet udało pozyskać dla swego systematu wszystkich robotników i przedsiębiorców, pierwsze znaczniejsze przesilenie przemysłowe obróciłoby ich pracę w niwecz.

W ostatnim rozdziale książki zastanawia się autor w krótkości nad źródłami ruchu socyalno-rewolucyjnego i środkami zapobieżenia gwałtownemu przewrotowi społecznemu. Pierwsze widzi głównie w trzech faktach, a mianowicie: 1° w rozwoju demokratycznym wykształcenia publicznego, które wynosząc wielu ludzi ponad ich sferę i rozbudzając w nich niezaspokojone ambicye, wytwarza egzystencye wykolejone, dążące za wszelką cenę do zmiany istniejących stosunków dla wybicia się tym sposobem na wierzch; 2° w łatwości kredytu hipotecznego, który rujnuje własność drobną, i 3° w namnożeniu się pożyczających i prawie o upadłościach, z jednéj strony, oraz organizacyi wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych z drugiéj, co łącznie doprowadza znów do upadku drobne kupiectwo i rzemieślników. Wszystko to razem przerzedza szeregi zachowawcze i wzmacnia liczbę niezadowolonych, wśród których ferment rewolucyjny, rzucony przez jednostki ambitne, łatwo się przyjmuje. Na dyagnozę tę można się poniekąd zgodzić, chociaż należałoby ją uzasadnić gruntowniéj, niż łatwością kredytu i prawem o upadłościach. Natomiast trudno zrozumiéć, czego chce autor, kiedy dla zapobieżenia przewrotowi społecznemu radzi rozejrzéć się w programach partyi robotniczych i uwzględnić ich żądania „bezzwłocznie urzeczywistnialne.“ Widzieliśmy, że pomiędzy temi żądaniami są absurdy, przekraczające daleko po za granice zwykłych złudzeń ludzkich. Należało więc wyraźnie powiedziéć, co w nich zasługuje na uwzględnienie, a co musi być odrzucone. Że stosunki dzisiejsze nie są bynajmniéj zadawalniające i że wielu jeszcze reform prawnych i społecznych, politycznych i ekonomicznych na korzyść niższych warstw społeczeńsfwa dokonać potrzeba, temu nikt niezaślepiony egoizmem kastowym zaprzeczyć nie może; lecz kiedy ktoś, jak p. Mermeix, nazywając się konserwatystą i indywidualistą, odséła warstwy uprzywilejowane po inspiracye reform niezbędnych do programów rewolucyjnych i dodaje przytém na pociechę swych przyjaciół, że „lepiéj oddać to, czego utrzymać nie mo-

żna, niż pozwolić sobie odebrać przemocą", wtedy odgadnąć niepodobna, o co mu właściwie chodzi. Taki właśnie ogólnikowy sposób przyznawania słuszności żądaniom przewrotowców przynosi największą szkodę społeczeństwu, bo zachęca ich i ośmiela do coraz większych wymagań. O sprawach tak wielkiéj doniosłości należy zawsze mówić jasno i dokładnie, ażeby liberalnymi ogólnikami nie wprowadzać w błąd umysłów, nie przygotowanych, lub niezdolnych do samodzielnéj krytyki i odróżnienia rzeczy możliwych od nieziszczalnych.

W.





Ryszard Wincenty Berwiński.

RYS BIOGRAFICZNO-KRYTYCZNY.

Poeta, o którym mówić mamy, zajmuje wyjątkowe stanowisko w literaturze naszéj. Porzucił on rozmyślnie, czy zbiegiem okoliczności, te wiekowe, społeczne i religijne tradycye, jakie mu w dzieciństwie przyświecały; wybiegł na otwarte morze wzburzonych współczesnych wirów socyalnych, bez busoli, bez sternika.... polegając jedynie na potędze uczucia swego; zaprzągł się w rydwan najskrajniejszych, demokratycznych żywiołów i z dobrą wiarą pracował niby dla szczęścia ludu, dla tryumfu prawdy. Marzyciel a ognisty, namiętny z natury. a nie okiełznany wychowaniem, w téj pogoni fantasmagorycznéj za nieujętemi, nieokreślonemi ideałami społecznemi i politycznemi, zbiegł na taką pochyłość, z któréj wyjścia już nie było... to téż w przepaści się pogrążył, nie ziściwszy tych wielkich nadziei, jakie okalały imię w szczęśliwéj młodości.

Zdawałoby się, że życiu takiego człowieka nie warto poświęcać pracowitszych studyów. „Można boleć nad niedolą człowieka na śliskie drogi zepchniętego, ale odświeżać rany, które stratę najpiękniejszych nadziei spowodowały—nie warto.“ Tak bez wątpienia osądzi wielu czytelników, co ten napis tytułowy odczytają; tak osądzili już, niestety, jego najbliżsi, wielkopolanie, którzy zaraz po śmierci poświęcili parę krótkich nekrologów, a w nich nie szczędzili gorzkiéj, dotkliwéj ironii... Była to niby smutna zapłata za tę broń, jakiéj najczęściéj poeta używał: ironią walczył, to téż ironią okolono imię jego po śmierci.

Otóż, równie jak publicyści poznańscy, tak i cała czytająca publiczność nasza dopuściłaby się wielkiéj niesprawiedliwości, jeśliby po owych wielkich uwielbieniach za życia, skończyła obecnie po

jego śmierci na doraźnym wyroku potępienia, bez sprawdzań, bez dowodów....

Zdarzało się to, niestety, w dziejach literatury naszéj nierzadko, nie z jednym Modrzewskim czy Malczewskim! Ci jeszcze szczęśliwsi, bo przynajmniéj po upływie lat kilku lub paru wieków, doczekali się swoich Ossolińskich czy Mochnackich, a w nich wyrozumienia i głosu sprawiedliwego; ale któż zaręczy, że nie mamy więcéj zakatowanych w opinii potomności ludzi, którzy by mieli coś do usprawiedliwienia, jeżeliby usprawiedliwiać się im dano? Co do Berwińskiego, to tém łatwiéj spodziewać się można owego niesprawiedliwego wyroku, że piszący dotąd o nim w literaturze naszéj szczeblowali tylko od łagodniejszych sądów o nim, jako o człowieku i jako o poecie, ku coraz namiętniejszym, niesłusznie krzywdzącym wyrokom potępienia. Dr. J. (w piśmie „Literatura poznańska w pierwszéj połowie bieżącego stulecia“) w roku 1880 piérwszy dostrzegł w nim „cynizm“, ale tylko w Don Juanie poznańskim i widział naśladownictwo Słowackiego, ale tylko Grobu Agamemnona; w r. 1883 pani Marrené (Przegląd Tyg. 1883, N. 1, 2, 3 i 4) już dostrzegła coś więcéj oprócz Grobu Agamemnona, bo naśladownictwo Beniowskiego i Godziny myśli; — ale ostatecznie odebrać mu pragnie wszelkie zasługi człowiek wielkiego wpływu i głośnego imienia, który na jednéj z czynnych naszych katedr literatury rzucił nań ogółowy wyrok potępienia (8-go lipca 1884). Krytyk ten, znać przyjmując za aksyomat oba wymienione sądy, idzie daléj, bo wprost powiada, że B-ski „tak się oczytał Słowackiego, że go ciągle naśladuje“, i widzi w nim jedynie gorycz, zwątpienie, lekceważenie wszystkiego, a przedewszystkiém ów „cynizm“; wyszydził jego subiektywny nastrój liryczny i nie zadając sobie wcale fatygi, skąd owe w części tylko usprawiedliwione, a wogóle zbyt przesadne epitety spadły na wyłączną odpowiedzialność poety, zaznaczywszy tylko, że jest-to „ciekawy egzemplarz“.... do prawowiernego oburzenia, przeszedł nad nim do porządku dziennego.

Tymczasem Berwiński jest wistocie „ciekawym egzemplarzem“, nie tylko jako poeta, ale i jako człowiek niestały, a przynajmniéj niewytrwały, ale przedewszystkiém szczery, w którego sercu w najrozmaitszych życia kolejach nigdy nie powstała obluda. Przejmował się łatwo otoczeniem, panującemi wyobrażeniami wieku i ludzi, w tym wieku przeważną rolę grającymi; był więc poniekąd „ciekawym egzemplarzem“ cnót i wad naszego narodu, gdy z jednéj ostateczności, z uwielbienia i zapału, łatwo wpadał w drugą skrajność, w owę właśnie „gorycz i zwątpienie“; a mniemany „cynizm“ jego był tylko przeświadczeniem potrzeby walki, połączonéj z niewiarą

w pożądany jéj skutek. Twórczość więc jego poetyczna była wyrazem zranionego serca, które bądź-co-bądź, po swojemu, ale wiele kochało. Zresztą i to dodać potrzeba, że Berwiński zanadto był namiętnym, by miał czas być cynicznym; nie trzeba o tém nigdy zapominać, chcąc być sprawiedliwym.

Te oto myśli spowodowały, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności, a głównie dzięki serdecznéj uczynności Michała hr. Soltana, zebrane z rozmaitych miejsc (z Poznania, Pelplina, Graz, Konstantynopola i in.) szczegóły jego życia i rozmaite notatki literackie, podaję do wiadomości publicznéj,— w tém przekonaniu, że mówiąc o Berwińskim i jego działalności, przypominam jednocześnie i te wogólności fazy naszych aspiracyi po-mickiewiczowskich, jeśli nie całego narodu, to przynajmniéj przeważnego, ruchliwszego stronnictwa jego. A jeżeli to przypomnienie niezawsze będzie miłém, to przynajmniéj stać się może niejaką nauką dla współczesnych, tém bardziéj, że wspomnienia te mogą już miéć cechę rozwagi i bezstronnéj oceny, gdy owoczesne idealistyczne, marzycielskie prądy dalekośmy za sobą w przeszłości pozostawili i bez uprzedzenia rozważać je dzisiaj możemy (1).

I.

Ryszard Wincenty Berwiński urodził się w Polwicy pod Zaniemyślem, w powiecie Średzkim w r. 1819. Syn niezamożnego ziemianina, odebrał jednak staranne wychowanie domowe pod okiem miłującéj a niepospolicie wykształconéj matki, z domu Bukowskiéj, która mu, tradycyjnym polskich matron wzorem, wpajała zasady miłości ludzi i miłości Boga w duchu ścisłéj ortodoksyi kościoła katolickiego, do którego sama należała. Żywy, bystry i ujmujący chłopczyna był największym ulubieńcem matki wśród całego grona

---

(1) Rys obecny opracowałem podług następujących źródeł: 1) Listy członków rodziny, zakomunikowane hr. Sołtanowi; 2) list prof. Rymarkiewicza; 3) bardzo ważne notatki p. Biblanny Moraczewskiéj; 4) współczesne wzmianki nekrologowe w Kuryerze Poznańskim i w Dzienniku Poznańskim zamieszczone; 5) opowiadania osób znających osobiście R. B. w Poznańskiém i w Konstantynopolu; 6) pojedyńcze ustępy rękopiśmienne, bądź poetyczne, bądź prozaiczne, udzielone mi od p. Pauliny Mizerskiéj, siostry poety, oraz od pani Idalii Krajewskiéj z Graz; 7) Notatki zmarłego poety i jego *silva rerum*, zawarte w dwu oprawnych książeczkach; 8) spory zbiór korespondencyi poety z rodziną, z różnych miejsc pisany, ale najobfitszy zbiór listów z Turcyi; w tym też zbiorze znalazłem i wielkiéj wartości listy Teofila B., pisane do brata, zagranicą bawiącego i wreszcie 9) odpowiednie dzieła R. B. lub artykuły drukowane w Lesznie, Warszawie, w Brukseli lub w Poznaniu, oraz krytyki tych pism.

dziatwy i pozostał takim do ostatnich dni jéj życia. Sam Ryszard w pismach swoich maluje siebie i owo stanowisko, jakie śród tego gronka rodzinnego zajmował:

„I kiedy myślą wrócę w te lata dziecinne,
„Kiedy sobie przypomnę te miejsca rodzinne.....
„A pamiętam, jak dzisiaj: dworzec był chędogi,
„Choć niewielki, lecz wsparty na wielkich stal cnotach;
„Nieprzystępny był złemu, bo miał nizkie progi
„I poczciwość na straży przy otwartych wrotach.....
— „Rozlewało się wielkie szérokie jezioro
„Prawie tuż pod dworkiem, w którym nas pięcioro
„Małego przy rodzicach wzrastało rodzeństwa:
„Ja starszy, młodszy brat mój i trzy śliczne siostry;
„Matka—anioł dobroci, ojciec—trochę ostry,
„Ale człowiek jak rzadko, niezrównany w cnotach,
„Doświadczony w nieszczęściach i w licznych kłopotach.....
„Cieszył się biédny ojciec, gdyśmy drobne dziatki,
„Poklęknąwszy co rano przed Najświetszą Panną,
„Odmawiali pobożnie modlitwę poranną.....
„Miałem ośm lat wtenczas; byłem mędrcem dzieci!
„To też wpośród dziecinnych moich rówienników
„Taką miałem powagę, że gdy czasem w święto
„Zjechało się sąsiedztwo, a starsi do ćwików,
„Albo do wisków zasiedli, lub też pić zaczęto,
„A dziatwa w las ruszyła na wojenne harce;
„Wtedy mnie jednogłośnie stawiano na czele.
— „A byłem wódz po temu: w krakowskiéj czamarce,
„Na czole mars, przy boku miałem karabelę,
„Śmiałość wielką i wielką wysłowienia biegłość.“....

Ten tedy mały hetman, imponujący rówiennikom i objawiający świetne na przyszłość nadzieje, bywał powodem, że całe sąsiedztwo pozdrawiało serdecznie rodziców,—

„A ojcu memu radość jaśniała na twarzy.“

To wielkich zdolności chłopię, kochane od wszystkich członków rodziny i sąsiedztwa, ale zarazem zbyt bujne, do przewodnictwa i do przedwczesnéj samorzutności usposobione, znalazło się w tém samém położeniu i w gronie szkolnéj młodzieży, w gimnazyum Leszczyńskiém. Znana ta szkoła w Lesznie, mająca i dobrych pedagogów i postępowy na swój czas system edukacyjny, dawała wszelkie rękojmie, że młody Ryszard, poświęcający się przyszłemu zawodowi filologa, przy niepospolicie bystrém pojmowaniu rzeczy i wogóle przy wyróżniających się zdolnościach, stanie się gruntownym specyalistą i na téj drodze ziści owe przepowiednie sąsiadów jego ojca i usprawiedliwi owę „radość, co ojcu jaśniała na twarzy.“

Stało się przecież inaczéj: kochali i tu serdecznie koledzy młodego, wesołego „Berwińsia“, oceniali jego wielkie zdolności, — ale

on nie poszedł drogą zwyczajnych ludzi: utarty gościniec pospolitości już mu nie starczył....

„Bo mnie myśl wyższa wyżéj innych niosła“, powiada o sobie Berwiński. Wiadomo zaś, do czego stosuje się owa „myśl wyższa“: zamiast systematycznie szczeblować po drabinie wiedzy szkolnéj, młody filolog, przy świetnych zdolnościach swoich, znużył się za prędko temi drobiazgami szkolnictwa i lekceważąc je całkowicie, chciwie natomiast czytywał to wszystko, czego dostarczała literatura polska, a zwłaszcza bieżące czasopiśmiennictwo.

Literatura nasza romantyczna, tak świetnie już rozwinięta naówczas, dała mu pochop do żarliwego zajęcia się wszystkiém, cokolwiek bliższy lub dalszy miało stosunek z twórczością ludu, — a więc całe szeregi baśni, klechd, legend, przysłów, pieśni ludowych poczęto zgromadzać. Oprócz dawniejszych w tym kierunku ognisk, niezmiernie ważnym stało się naówczas punktem Leszno, a w niém *Przyjaciel Ludu*, od połowy r. 1834 wydawany. Pismo to starało sięześrodkować wszystkie postępowe naówczas pomysły, wszelki ruch umysłowy, a zwłaszcza w tym kierunku, jaki leży w samym tytule pisma. Otóż w tém gronie pracowników znalazł się i młody Ryszard, który poczuwszy w sobie powołanie autorskie, począł w tém piśmie ogłaszać pierwsze utworki swoje. „O kępie Zaniemyskiéj“, „O mądrym Maciusiu“, „O Kojacie“ i inne, które jako uczeń ogłaszał najprzód bezimiennie. Naturalnie, że przedwczesne autorstwo nie mogło iść w parze ze żmudną pracą szkolną, to téż widzimy, że doszedłszy zaledwo do tercyi, opuścił szkołę i poświęcił się innym zatrudnieniom, o których niżéj będzie mowa; tu wszakże dodajmy, że młody poeta w porę się obejrzał, zrozumiał niewłaściwość swojego położenia i zdobył się na energią—ukończenia gimnazyum. Jakoż wstąpił na nowo do szkoły, a jeźli po tém ponownem wstąpieniu do sekundy gimnazyum leszczyńskiego musiał je znowu porzucić, to już nie brak woli i wytrwałości młodzieńca był tego powodem, lecz inne uboczne okoliczności. Jakoż we Wrocławiu, dokąd się zatém udał, przysposobił się do egzaminu dojrzałości, który tamże przy gimnazyum katolickiém złożył i wpisał się na wydział filozoficzny w miejscowym uniwersytecie, a wkrótce potém przeniósł się do Berlina na takież studya, którym kilka lat poświęcił, ale bardzo niesystematycznie, wychylając się całemi miesiącami na wieś do dworków i salonów, w których wkrótce królować począł.

Ci, co bliżéj znali Berwińskiego, jednozgodnie świadczą, że wielki wpływ wywarł na umysł i wolę poety jenerał Fr. Morawski, w którego domu piérwsze kroki stawiał nasz Ryszard; stał się on ulubień-

cem weterana-poety, który zamiast tego, by powagą i moralnym wpływem swoim powściągnąć zbyteczny zapał i nazbyt wielką wiarę w siebie i w siły talentu swego; zamiast wskazywania szeregu bliższych, mniéj może ponętnych, ale nie mniéj ważnych a surowych obowiązków społecznych; zamiast wskazywania młodzieńcowi przedewszystkiém usposobienia siebie do jakiejś gruntownie wyrobionéj fachowości; wolał unosić się nad wyjątkowemi darami talentu młodego poety i przeceniać je nawet, a to tak dalece, że np. w wierszu o „*Wieży Kruszwickiéj*“, poświęconym młodemu przyjacielowi, opisawszy olbrzyma, co się wznosi na falach Goplanych, tak przemawia do poety:

„Dołącz i ty gęśl swoję, sławiański Ryszardzie;
Pojmiecie się z zawiecznym języku Sarmaty:
On ci starą swą gadkę młody powie bardzie,
Ty mu z łzami zaśpiewasz wielki hymn zatraty“.

Piérwsze wewnętrzne walki, jakie staczać musiał ze swą rozbujałą przedwcześnie swobodą i wyniosłością umysłu a koniecznemi wymaganiami świata, najlepiéj maluje sam B. w liście z r. 1835 (z Poznania) do przyjaciela szkolnego, opisując w nim przejścia swoje pomiędzy opuszczeniem pierwotném gimnazyum a powtórném do niego wstąpieniem: ...... „Anibyś się spodziewał, Antosiu, pisze do kolegi, jakie koleje od czasu rozstania się z tobą twój przyjaciel przechodził. Zmienił on swój charakter, swój humor, swój sposób myślenia, powierzchowność,—słowem, wszystko, w miarę potrzeby, wynikającéj z zachodzących okoliczności. Gdybyś mógł być naocznym, a nieodstępnym świadkiem wszystkich moich kroków, byłbyś mnie nieraz ujrzał, jako:

Sensata poważnego,—stoicowskiéj miny,
Któremu prawie tylko zbywało czupryny,
By prawego nosić filozofa imię;
Co nigdy przy zdarzonéj porze nie zadrzymie,
By zbłąkanych na prawy tor nie naprowadzić
Winujących nie karcić, a słabym nie radzić.“

Nie poznałbyś, przysięgam, wtenczas, wesołego Berwińsia, a jeszcze mniéj widząc go:

Z ową miną, zwiastunką głębokiéj nauki,
Co znaczy wytrawnego wieków filologa,
Uczącego pisania i czytania sztuki,
I pozdrowień anielskich i przykazań Boga!
Przytém jeszcze o pierworodzicu Adamie,
I jego połowicy, godnéj pani Ewie,
I o wężu podstępnym i nieszczęsném drzewie,
O Noem i Jafecie i Semie i Chamie!
Gdybyś go wtenczas widział, jak pełen zapału
Ducha nauczyciela—ferował swe zdanie;

Jak prawił kilkoletnim słuchaczom kazanie,
Zapewnebyś się, bracie, dziwił niepomału!

W tym gawędziarskim i niewprawnym jeszcze rymie poety, aż nadto jasno się odbija myśl, że trudny zawód nauczycielski nie mógł odpowiadać jego usposobieniu i tym fantazyom, jakie roiły się po głowie młodzieńca poety. Jakoż sam daléj mówi: „Zawód nauczycielski, sam z siebie trudny do wykonania, powiększa się jeszcze trudnością położenia nauczyciela domowego, od którego wymagają, by

„I rano i na wieczór, zgoła w każdéj dobie
Łączył doskonałości stek w swojéj osobie,
By zdolności posiadał przynajmniéj tak wiele,
Iżby mógł edukować chociażby i... cielę!
By się zawsze układał w płaszczącéj postawie
I „Jéjmość Dobrodziejce“, choć w najgorszéj sprawie
Zawsze umiał w myśl trafiać .....

Więc kończę, i wyznaję otwarcie, żem porzucił chléb nauczycielski, a chwycił za inny, co niby miał być nie tyle gorzki.

Zaniechawszy zupełnie łaciny, greczyzny,
Anim wejrzéć nie raczył na zbutwiałą księgę,
I jedyniem natenczas brał pióro do ręki,
Gdy wpisać było trzeba odrobek pańszczyzny,
Lub ilość zagonów w jednę woranych sprzęgę—
A i to dla mnie były pokuty i męki.

Zakosztowałem tego chleba, ale nie wiem zaprawdę, jak rozumiéć o tym, co powiedział, że „położenie rolnika gospodarza znośniejszém jest od obowiązków nauczyciela“, gdyż podług mego zdania,

Przez dzień cały miéć za dach niebieskie namioty
I pod niemi się chronić od wichrów i słoty,
Nie największéj do szczęścia dodaje ochoty!
A jeszcze przy zaciężnych, jak bronzowa lalka
Siedziéć, bez zatrudnienia wszelkiego dla duszy,
Lub trwonić skarb wymowy na zapchane uszy
Bartka, Maćka, Macieja, Bartłomieja, Walka,
Niewiele pewno słodziéj—.....

Więc tedy i zawód gospodarski rzuciłem, ale, żeby przy obraniu następnego lepszy zrobić wybór, postanowiłem z największym namysłem wszelkie dalsze przedsiębrać kroki, dla tego więc

Długie chwile, godziny, tygodnie, miesiące
Mijały na namysłach... ja ciągle myślałem;
A choć myśli, projektów miewałem tysiące,
Nic jeszcze dogodnego dla się nie widziałem.
Długom, długom oddany takiemu uśpieniu,
Długom szczęścia kosztował, *szczęścia w urojeniu*!
Aż wreszcie prawda naga surowym nakazem,
Rzekła mi: „Zbudź się, człeku, z gnuśnego uśpienia!
Ocknąłem, i uderzon, przeszłości obrazem,

Słuchałem głosu jéj, choć nie był do życzenia!
Chwytam zatém za księgi, przed rokiem wzgardzone .....

Pozbierałem jednakże ich szczątki, jąłem się pracy i śmiało z owym wielkim znawcą serca ludzkiego ozwać się mogę: „*In omnibus requiem quaesivi et nusquam inveni, nisi in angello cum libello*“ (tj. Wszędziem odpoczynku szukał, a znalazłem go zaledwie w kąciku przy ukochanéj książce.)

Pisze daléj B., że przyjechał do Poznania i gorliwie zabrał się do studyów naukowych:

„Już więc pod oświeceńsze przeniosłem się niebo,
Bo czuję, jak jest ważną nauka potrzebą;
Czuję—i gotów jestem śród trudności wielu,
Nic nie szczędzić dla dojścia szlachetnego celu,
By rozpoczęty zawód zakończyć z honorem—
Wszak świątynia Minerwy zawsze jest otworem,
A jakaż temu hańba, co z tego przybytku
Cnoty, mądrości, szczęścia, wyjdzie bez pożytku! ....“

Objaśnia daléj przyjaciela, że Poznań przenosi nad Leszno, dla tego, że „w Poznaniu mam źródło niewyczerpane nauk w księgozbiorze Raczyńskich. Macie i wy wprawdzie bibliotekę gimnazyalną, ale dzieła znajdujące się w niéj, są to członki pojedyńcze, oderwane od ogółu ciała, zwanego literaturą. Ja tu zaś biorę krytyki najdawniejsze, jak: Janockiego, Sołtykowicza, Brauna i in.; przytém biorę do ręki zawsze krytyki np. Potockiego, Osińskiego, Dmóchowskiego, Bentkowskiego. Porównywam ich recenzye i nie przestając na samém czytaniu krytyki, czytam dzieła wymienione w owych krytykach; a tak w przeciągu *roku*, a *dajmy na to i dwu lat* poznać mogę dokładnie (?) literaturę polską.“

List ten ogłoszony w Dzienniku Poznańskim (p. t. „Przyczynek do życiorysu ś. p. R. W. B.“) prawie w całości tu przytoczyliśmy, gdyż jako nie przeznaczony do druku, oprócz szczegółów życiorysowych, z najzupełniejszą swobodą i otwartością młodzieńczą odsłania istotne usposobienie. B. ma tu, jak widzimy, jeszcze bardzo nieudolną technikę wiersza: rymy ledwie się wloką, a średniówki nie zawsze doliczyć się można; a przecie pięć lat zaledwo upłynęło (tj. w r. 1840)—i imię Ryszarda B. już znane było w literaturze. Następnie otwartość ta koleżeńska rzuca dość jasne światło na jego sposób kształcenia się naukowego: wszyscy czytają zwykle najprzód autorów, a potém dopiéro sprawdzają ich wartość w krytykach, jakie się znajdą; Berwiński idzie odwrotną drogą: wprzód chce poznać krytyki od Janockiego począwszy, a na Bentkowskim skończywszy, a dopiéro potém sprawdzać niektóre dzieła w krytykach zawarte.

Robi to zapewne dla przyśpieszenia studyów, gdy obiecuje, jak widzieliśmy „dokładnie (?) poznać literaturę w ciągu dwu lat“. Znać tu ten pośpiech, graniczący z powierzchowną pracą, znać owę niecierpliwość ognistéj duszy, która w ciągu godziny zrobić chciała to, na co innym lata potrzebne!

Już w następnym roku od daty powyższego listu, tj. w r. 1836 wszedł młody Ryszard na otwarte pole pracy naukowéj, która w niedługim czasie zjednać mu miała szeroki rozgłos. Oto co sam w tym względzie pisze w „Studyach“. Sięga tam poeta do chwili młodzieńczych marzeń i piérwszéj chętki do autorstwa, kierunek zaś tego autorstwa zależał całkiem od ówczesnéj atmosfery literackiéj, kiedy to na wszystkie strony zbierano podania, powiastki, klechdy i pieśni ludu“, a więcéj jeszcze sobie po tych mniemanych skarbach na przyszłość obiecywano. Poeta nasz żywo się tém wszystkiém interesuje; a że stosunki domowe, śród których się chował na wsi, były tego rodzaju, że zostawał w bezpośredniéj i blizkiéj styczności z ludem,“ miał przeto B. sposobność poznania wielu klechd i powiastek w dzieciństwie. Z tych tedy powodów jął się z zapałem do pracowania na tém polu i jak wspomniałem, od r. 1836 zaczął spisywać to, „co od najmłodszych lat słyszał od prządek kądzielnych i starych gospodyń w czeladnicy.“ Mówi, że „większa część tych powiastek leży u niego po tekach i nigdy już zapewne światła dziennego nie ujrzy.“

Niektóre z tych powiastek drukowane były w Przyjacielu ludu, aż do r. 1839; o jednéj z nich „*Mądry Maciuś*“ M. Wiszniewski w literaturze wspomina, o drugiéj Maciejowski („Kojata“),—a obok tego był téj że powiastki przekład w *Magazin für die Literatur des Auslandes*“, a powieść „o 12 rozbójnikach“ przełożona w czasopiśmie czeskiém „*Dennica*“. Dodajemy od siebie, że z owego, jak sam autor powiada, licznie nagromadzonego materyału do obrazowania twórczości ludowéj, oprócz powyższych, jeszcze kilka innych powiastek ogłosił drukiem, jako to: „*O początku Noteci*“, „*Gopło i jego okolice*“, a zwłaszcza „*Chłop i dyabeł*“, która do lepszych klechd jego należy.

Umysł młodzieńca niezadawalniał się tém, co na polu literatury ludowéj zrobili inni, lub on sam wreszcie; zdało mu się, że bogactwa téj twórczości ludowéj są daleko zasobniejsze, niż dotąd mniemano i niż od ludu się dowiedziano. Powziął więc myśl zapewne na modłę Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, osobiście u ludu zaczerpnąć z téj skarbnicy piękna rodzinnego, żeby odszukać w nich „*perły*“, gdy dotąd „*konchy*“, tylko znano. „Chodziłem tedy pomiędzy ludem (powiada o sobie B.) i różnie, i dużo, a owocem téj wę-

drówki były: „*Listy z pielgrzymki po kraju*“, drukowane w Przyjaciela Ludu 1837; jeden z nich traktuje o ważności literatury ludowéj i o klechdach Wójcickiego; dwa inne listy przedrukował Ed. hr. Raczyński we „Wspomnieniach Wielkopolskich“.

Powyższe jego słowa miały być usprawiedliwieniem, że lud znał nie tylko z książek, jak wielu innych współczesnych pisarzy, ale i z życia tegoż ludu, „z różnego i dużego chodzenia około tegoż ludu“.

Mówił jednak pół-prawdy, a raczéj mówił prawdę, oświetlając ją kolorytem nie tym, jaki się barwił w wyobraźni i sercu poety; bo to pewna, że prądy owoczesne, przedewszystkiém, jak do tychczas, tylko z książek wyczytane, wionęły na niego i dały mu podnietę, że umiłowawszy lud najprzód ze względów literackich czy poetycznych, sięgnął późniéj zadaleko do ogniska społecznego, do żywiołów politycznych i wespół z tymi, co byli namiętnymi apologistami ludu, co w nim widzieli zasadniczą podstawę do rdzennego przeobrażenia społeczności, ani się obejrzał, jak z mimowolnego naśladowcy poglądów swego czasu, stał się sam przodownikiem, i to skrajnym przodownikiem uwielbienia ochlokratyzmu. Pierwéj wszakże, nim smutne owoce tych niewczesnych zapędów nastąpić miały, tymczasem widzimy jak najpiękniejsze wyniki tego zapału młodzieńczego. Oto w r. 1840, a zatém w 21 roku życia u Frydlendera we Wrocławiu wychodzą po raz piérwszy z podpisem autora „*Powieści Wielkopolskie.*“

Po przedmiot sięgnął autor w czasy pogańskie, za scenę obrał jezioro Gopło i nimfę jego Bogunkę, opowiadając na przemian wierszem i prozą. Bogunka, rozpoczęta prześlicznym rymowanym prologiem, a zakończona równie pięknym a może piękniejszym epilogiem, już bez zbadania wewnętrznéj treści i zawartości poetycznéj, nawet mniéj wtajemniczonych w arkana literackie czytelników zwróciła uwagę na 21-letniego młodzieńca, jako pisarza wielce obiecujących nadziei.

Pokazało się wkrótce, że ten zapalony wielbiciel ludu, tak chętnie obcujący z wiejską siermięgą, „z prządkami kądzielnemi i staremi gospodyniami w czeladnicy“, zdołał bardzo prędko się zastosować do innego całkiem świata—do salonów, stać się duszą je ożywiającą i zasmakować w obcowaniu nie już „starych gospodyń czeladnicy“, ale uroczych dziewic eleganckiego świata. Ani wiek bowiem jego, ani usposobienie nie było po temu, by był tak jednostronnym szperaczem w ludowych skarbach, jak jego protoplasta—Zoryan Dołęga Chodakowski; owszem, widzimy w nim całe bezgraniczne oddanie się uciechom i powabom wszelkim tego nowego

świata. Oto słowa jednéj z dam, znającéj go blisko z tego czasu, które udzielić nam łaskawie raczyła: „Młody Ryszard, miłych form towarzyskich, wymowny, ujmującéj, zewnętrznéj postaci, smukły, regularnych rysów, ciemny blondyn, z włosami naturalnie wijącemi się, nieco długiemi i odrzuconemi w tył głowy,—sprawiał niezwykle korzystne wrażenie, chętnie był przyjmowany i sam najchętniéj uczęszczał do najwykwintniejszych salonów, jakie miało Poznańskie przed laty czterdziestu kilku. Z natury nader uzdolniony, z wysokiém poczuciem piękna, zdobywał wszystko bez pracy, bez wysiłku i mówił o każdym przedmiocie z łatwością i wdziękiem; jeśli dodamy do tego żywość umysłu, wrodzoną wesołość, dowcip, urodę i ujmującą ogładę towarzyską, to zrozumiemy, dla czego był powszechnie lubianym w pałacykach poznańskich i dla czego lubował w tém życiu, którego nieledwo jedynym celem była zabawa, czy rozrywka.“

Wśród tego umajenia młodości, jak Heliogobal na piramidzie fijołków, upajał się wonią młodzieńczego otaczającego świata i rozkoszami młodości swojéj; był téż w tém szczęśliwém położeniu, co niegdy Bohdan nasz, kiedy mówił o sobie: „Z kwiatów życia wieniec plotę, piękność, miłość, czucie, wiarę na ogniwo spajam złote.... świat odbija moja dusza, jak zielony brzeg krynica, wszystko pięknie, tkliwie wzrusza, wszystko tkliwe ją zachwyca.“ I w tym to czasie, oprócz przemijających wpływów sympatyi młodzieńczéj, spotkał osobę, która trwalsze w nim wzbudziła uczucie i wyrazistszemi niż dotąd głoski zapisała się w sercu jego. Była to panna W....ówna, osoba z zamożnego i dość wysoko w hierarchii społecznéj postawionego domu, któréj niby pozyskał wzajemność. Z wiadomości i notatek zebranych przezemnie, nie dość jasno przedstawia się ta postać niewieścia; widzę w nich bowiem same tylko jedynie skrajne ostateczności: podług jednych źródeł rysuje się ona jako osoba gwałtowna i dumna; podług drugich, jako zwyczajna pospolita istotka, nieco chwiejna z natury, nieco oglądająca się na nierówność towarzyskiego, a głównie majątkowego stanowiska. Za pierwszém zdają się przemawiać erotyki poetyczne samego Ryszarda; ale wiedząc dobrze, jak to fantastycznie w pryzmacie wyobraźni poety przekształca się to, co było istotnie w sercu, jak niespokojny, burzliwy, co chwila kameleonowemi, coraz inszemi barwy jaśniejący duch poety, albo hyperbolizuje, albo unicestwia naprzemian wszystko, z czémkolwiek się zetknie,—gotowi jesteśmy uwierzyć, że druga wersya jest prawdziwszą i ona to łatwiéj i prawdziwiéj wyjaśnić może genezę przepysznéj, wykończonéj twórczości erotycznéj poezyi Berwińskiego z tego czasu,

Trzeba bowiem sobie przypomnieć, że dotąd poeta bujał więcéj na wyżynach Helikonu, niż się oparł o jaką trwałą podstawę rzeczywistego świata: studya wrocławskie, a nawet berlińskie przeszły w dorywczych zatrudnieniach, w roztargnieniu światowém i stopnia naukowego nie uzyskał wcale. Ojciec, o którym sam poeta mówi, że był „doświadczony w nieszczęściach i w licznych kłopotach“ zmuszony był sprzedać mienie swoje i wieś opuścić. Około r. 1838 kupił dom w Poznaniu, który 25 lat był w posiadaniu rodziny, ale ten oczywiście na skromne zaledwo potrzeby mógł starczyć; o wielkich zaś wymaganiach, jakich świat mógł żądać, mowy być nie mogło, — więc z pracy osobistéj mógł tylko trwalszą podstawę zapewnić sobie młody Ryszard; pracą tą miał być zawód filologa, gdyż w szczupłém gronku osób krążące naówczas czasopiśmiennictwo na polu wyłącznie literackiém stałego nie zapewniało zabezpieczenia, pomimo że od r. 1838 był współpracownikiem *Tygodnika Literackiego*, a potém i innych pism, jak np. *Przeglądu naukowego*, pod redakcyą Skimborowicza wychodzącego w Warszawie.

Z tych oto względów na tym bujnym kwiecie osiada piérwszy robak, który stopniowo miał stoczyć ten piękny dar natury. Tymczasem wprawdzie przyniosły te zawody miłosne dodatnie strony, bo uzupełniły objawy erotyk zawartych w I-m tomie jego poezyi, oraz niektórych innych, rozrzuconych po pismach peryodycznych, które do zbiorku nie weszły. Ale niedługo potém przybyły i inne zawody.

Natura to była, jakeśmy poniekąd już widzieli, wielce wrażliwa, łatwo zapalna, w lot obejmująca przedmiot, — w chwili, bez głębszego namysłu (bo na to nie zawsze starczyło czasu), zdolna do szalonéj odwagi, rzucająca się na oślep przed siebie, a przynajmniéj z całą werwą głosząca zasady, za które sama wiedzieć mogła, że ofiary, cierpienie wślad za niemi iść mogą. Piękna to była strona duszy, ale to jedna strona tylko: bo bez wytrwałości, bez rozwagi, daleko zajść nie można, a niekiedy zajść można tam, gdzie się i nie myślało. W roznamiętnieniu, niby w obłokach dymu zasłaniających oczy, prawdy dojrzéć nie można, nie można wynaleść owéj błogiéj, pewnéj ścieżki żywota, po któréj w słowach i czynach kierować się należy; a tém bardziéj jeśli w samym ustroju moralnym leżała pewna wadliwość, która nieustannie naprzód występowała, gdy się nie umiało szczeblować powoli, stopniowo dochodzić do celu. Ten tedy brak nie tyle napiętości, co ciągłości energii woli sprawiał, że w chwili przeciwieństw, albo się bezcelowo rwało do harców, do walk bezowocnych, do ciskania ludziom w oczy całego rynsztunku niezawsze rycerskiego ironii, satyry, potępień, czy przekleństw,—

albo też w końcu ręce w niemocy opadały, duch omdlewał w goryczy i rosterce z sobą samym.

Dopóki tedy sama jedynie lotność wyobraźni i chyżość umysłu starczyć mogła; dopóki młodość wszystkiemi porami jestestwa swego umilała życie sobie i otaczającym; dopóki żywsze uczucie młodzieńcze tęczowemi barwami miłości lekkiéj a żywéj, nęcącéj świeżością swoją, grało w duszy: dopóty wszystko było bardzo pięknie. Zupełnie co innego widzimy, jak skoro ominiemy owo stadyum, gdzie to „z kwiatów życia“ dość było wieniec uplatać, gdy zamiast przejrzewającego już kwiatu „owocu“ szukać należało.... Tu z całą grozą stanąć mogła przed oczyma naga rzeczywistość, że się niedość uprawiło i umierzwiło owę rolę, z któréj dobry owoc urosnąć może jedynie,—że się ziarno żywota rzucało na wiatr i wiatr je roznosił, więc zamiast owocu plewy urosnąć mogły. Nasz Ryszard był filozofem i filologiem, studyował nauki w ich ognisku, bo nie mówiąc o Wrocławiu, w Berlinie, gdzie tradycya pierwszorzędnéj gwiazdy myśli XIX w., Hegla, rozwijała się w całéj pełni.

Pominąwszy tedy lingwistykę, od któréj wiele wymagać nie było można, gdy ona nie stała się jeszcze nauką ścisłą, jak dziś ją widzimy; ale ta sama filozofia, poważniéj pojmowana, wymagała wielkiego trudu, stopniowego przygotowania, żeby istotną korzyść przynieść mogła; — ale do tego wszystkiego potrzeba było wytrwałości, któréj na zawołanie nie było. Oprócz myślicieli niemieckich wynurzali się już z próżni dotychczasowéj i nasi; a choć może wszyscy oni, w bliższém lub dalszém okoleniu byli uczniami pierwszorzędnych myślicieli niemieckich, niemniéj przeto już każdy z trzech naszych wydatniejszych filozofów, dość wyraźnie zaznaczał szlaki swojego indywidualnego myślenia. Najoryginalniejszy z nich Trentowski barwném słowem powoływał we wszystkich swych pismach do samodzielności w myśleniu, czuciu i działaniu; Cieszkowski zajmował się rozwikłaniem labiryntu dziejowego, w którym bezświadomie zanurzał się umysł naszego Ryszarda, a Libelt, niezależnie od pracowicie budowanych systematów filozoficznych, wskazywał praktyczność, żywotność wielkich prawd, które tak żywo poruszały owoczesne społeczeństwa (Wychowanie ludów, Odwaga cywilna, Miłość ojczyzny i t. d.). A lubo dzisiaj nie wszyscy może podzielą zdanie głoszone przez bardzo poważnych myślicieli, że „filozofia, studyowana z całą sumiennością, daje całemu życiu charakter i moc do zwalczenia przygód i nieszczęść życia, ma więc oprócz teoretycznego cel praktyczny, bo wychowuje ludzi z charakterem, z konsekwencyą w życiu i czynach, w piśmie i obcowaniu“ (*Historya filozofii w zarysie* p. Schweglera. Warszawa, 1863, str. 477), gdyż na wy-

robienie charakteru, któryby mógł być dobrym przewodnikiem i nieomylną wskazówką we wszystkich przeciwieństwach losu, czegoś jeszcze więcéj oprócz nauki filozofii potrzeba; to jednak nie ulega chyba zaprzeczeniu, że rozjaśniony w tym kierunku pracą systematyczną umysł, w wielu razach łatwiéj w trudnych życia warunkach radzić sobie potrafi, niż człowiek nieumiejący zapanować nad sobą i żyjący pod naciskiem przemijających wrażeń i wpływów otaczających. A właśnie tę ostatnią uwagę trzeba mieć na względzie, bo naszemu Ryszardowi, przy panującéj wrażliwości, losy kazały żyć w takich czasach, kiedy to istne bałwochwalstwo poezyi zapanowało u ogółu, kiedy imię poety jakąś dziwną okolone było aureolą,—kiedy wskrzeszano nawet stare błędy starożytnego świata i na wszystkie możliwe motywa i tempa parafrazowano myśl, że *„poëtae nascuntur“*, że nie potrzeba wielkiéj pracy poecie, bo geniusz sam sobie poradzi, a nawet w chwili natchnienia, nie tylko dobrym będzie doradcą dla siebie, ale swoim współrodakom będzie owym biblijnym słupem ognistym, który do ziemi obiecanéj zawiedzie swoję społeczność. Oprócz tego błędu wyłącznie naszego, wypływającego może głównie z fałszywego poglądu na stanowisko naszego mistrza poezyi i znanéj jego plejady,—były jeszcze i inne prądy, zewnętrzne, wypływające ze stanowiska umysłów utopistów lub marzycieli politycznych Europy zachodniéj, które silniéj i dotkliwiéj odczuć umiał nasz wrażliwy zapaleniec.

Demokratyczne jego pojęcia, nieumiarkowane niczém, ani spokojną radą dziejów, ani opatrzeniem się na warunki otaczające, przybierają kształty tak wybujałe, jak tylko rozgorączkowana wyobraźnia poety przybrać ją może. Lud i praca dla ludu staje się jego serca, myśli, ducha całego jedyném hasłem; ale jakiemi drogami dojść może do uszczęśliwienia tego ludu; jakie istotne są potrzeby ludu w danéj chwili, a do jakich trzeba dążyć w przyszłości : o tém nie zdawał sobie sprawy, nie tylko jako mąż stanu, ale nawet jako rozważny obywatel kraju.

I może nic dziwnego! bo przedewszystkiém i jedynie był on *poetą*, i to poetą w czynie więcéj niż w słowie. Wprawdzie nie można tego powiedzieć, by wśród zamętu owoczesnych zdań, bałwochwalstwo poezyi głoszących, nie było głosów ostrzegających, którychby usłuchać mógł człowiek dobréj woli; ale się głosów takich słuchać nie chciało, bo się słuchało miłych podszeptów politycznych czy socyalnych. Do takich głosów należało naprzykład odezwanie się starszego, zasłużeńszego po lirze człowieka, Seweryna Goszczyńskiego, który w ten sposób określał „stanowisko poetów społeczności“ :

„Są muzycy języka — mówi on — są i malarze języka, ale to nie są poeci; powstają sztukmistrze dla sztuki, ale to poeci najjałowsi; występują poeci zmysłów, namiętności cielesnych, ale ich natchnienia są natchnieniami zwierzęcemi ze krwi; znajdują się inne podobne rodzaje, mniéj więcéj płaskie, bezpłodne, szkodliwe; ale ci są fałszywi poeci: jedni tylko są prawdziwi, t. j. poeci ducha, poświęceni natchnieniami świata duchowego i służący tylko sprawie najwyższéj prawdy i piękności.".... „Poeta powinien być człowiekiem duchowym, to jest szczerze, głęboko i wysoko religijnym, w duchu religii objawionéj, po za którą niema ani prawdy, ani prawdziwéj piękności."

Nadto ta spiżowa postać najpiękniejszych dni epoki romantyzmu, wymaga od poety czynów prawdziwie społecznych, ale i te po swojemu tak wypowiada:

„Tak, bracie-poeto! nie w salonach zepsutych bogaczów, nie w tłumie rozpustników bez serc i myśli, nie w hałasie bezrządnego życia, nie wśród zbytków jadła i napoju, nie w troskach krzątania się około spraw prywatnych, nie w zamęcie uczuć sprzecznych, nienawistnych a przechodzących bez śladu, znajdziesz prawdziwe natchnienie; ale *duchem podniesionym przez pokorę* aż do bóstwa, zejdź do społeczeństwa, w głąb jego życia, gdzie najdotkliwsza nędza, gdzie świat najniewdzięczniejszy, gdzie przemoc najsilniejsza, gdzie najskrytsze przed światem cierpienie, gdzie człowiek najsłabszy najszczerzéj tęskni za przyszłém życiem: „tam spuść się." I tam w tym charakterze bądź *„człowiekiem czynu."*

Ale właśnie tego „ducha podniesionego przez pokorę" ani czuł, ani rozumiéć nie mógł nasz entuzyasta i w szalonym rozpędzie młodzieńczéj werwy leciał ku tym wirom wypadków dziejowych, które całkiem go miały zetrzéć i pochłonąć. Zupełne zanegowanie nie tylko tradycyi religijnéj ale i wszelkich dawniejszych warunków ustroju społecznego, użycie środków radykalnych, za których pomocą dojść można do tego celu: oto był jego owoczesny ideał. Rozpocząwszy od wiersza w I-m tomie zawartego p. t. *Ostatni Romeo*, w którym poraz pierwszy wygłosił złowróżbne dla siebie słowo: „ludzkość się budzi", zawarł następnie całą poetyczną gamę tych radykalnych ideałów, w ustępach pod tytułem: *Powitanie, Pogrobowiec, W Częstochowie, Ubogim w duchu, Bohaterom dni naszych* i t. d., — a wreszcie *Marsz w przyszłość*, który był ostatniém jego krwawém słowem przed rozpoczęciem spodziewanych krwawszych jeszcze czynów, na co wszystko złożyło się w mniejszéj tylko części indywidualne usposobienie samego B-go, a w znacznéj części ogólny owoczesny nastrój społeczny i polityczny Europy.

Trzeba pamiętać, że w duszy poety łatwo się odbijało owo otoczenie, śród którego żyć mu wypadło. Poznańskie zaś w owym czasie nieco gorączkowém już wrzało życiem: „Orędownik" i „Tygodnik literacki" przedstawiały dwa główne stronnictwa: konserwatywno-katolickie i postępowe. Berwiński należał oczywiście do ostatniego, nie tylko dla tego, że od roku 1838 zamieszczał tam gorętsze swoje utwory poetyczne; ale pomny na swoje słowa wypo-

wiedziane o „Myślach szalonego“, trzymał się ich w życiu: „rzuciłem książki (powiada tam poeta) i wszedłem w świat żywych.“

Ruchliwe jednak i energiczne stronnictwo to nie było liczne i każda taka jednostka postępowa była znana, sympatycznie witana i wysoce ceniona, gdy większość biernie się zachowywała, wegetując w staroświeckich przesądach i drzémce duchowéj. Uwaga ta Wład. Wężyka, ogłoszona w „Roku“ 1843 najdokładniéj obraz umysłów owoczesnych maluje; a powiada on tam wprost, że było po kilkanaście osób przodujących, czynnych w jedném i drugiém stronnictwie, reszta tłum bezwiedny, co nie wiedział, czego chciał i żył dawnemi grzechami polskiemi, w modną tylko szatę przebranemi. Otóż rozruszać ten tłum, czyli, jak sam powiada, „wprowadzić w świat żywych“, stało się nateraz jego zadaniem.

Do ludzi przodujących należał głównie d-r Karol Marcinkowski, twórca „Towarzystwa dla rzemieślników“, a przedewszystkiém sławnego „Towarzystwa pomocy naukowéj“ dla młodzieży, na które księstwo Poznańskie 12,000 złp. składki rocznéj płacić miało. Towarzystwo to, jak wiadomo, istniejące do dni naszych, tyle zbawiennych dla kraju przyniosło owoców, że właśnie dziś samo to już istnienie dostatecznie świadczy o wielkości ducha człowieka, co tak trwałe podwaliny społeczne wznosić umiał! W czasie jednak, o którym mówimy, d-r M. miał wiele do zwalczenia trudności, by myśli swoje na szerszą skalę wprowadzić w życie, potrzebował nawet uzbroić się całym zasobem wielkiéj odwagi cywilnéj, by pokonać zbyt wybujałe zachcenia postępowców, wszystkich tych, co „weszli w świat żywych“, którzy w nim widzieli przeszkodę do urzeczywistnienia swoich marzeń. Marcinkowski bowiem, rozumnie a ogłędnie do rzeczy się biorący, a znać doskonale widzący nie tylko co do koła niego się działo, ale i sięgający myślą w odleglejszą przyszłość, chciał tylko powolnego postępu: rozszerzenia oświaty, przemysłu, dobrobytu materyalnego, a dopiéro po ich zaspokojeniu myśléć o innych potrzebach duchowych. Ale taka właśnie powolna, na wiele lat obliczona robota, niecierpliwiła postępowców. Obok niego postawilibyśmy hr. Cieszkowskiego, który jeśliby nic więcéj nie zrobił, jak projekt założenia na wielką skalę Towarzystwa oświaty i literatury pod tyt. „*O skojarzeniu dążeń i prac umysłowych w W. Księstwie Poznańskiém*“, to już za ten jeden pomysł (jak wiadomo po pewnym przeciągu czasu urzeczywistniony, ale w znacznie zmniejszonym zakresie działań, w tak zwaném „Tow. Przyj. Nauk“) niezaprzeczenie zasługuje na to, by go obok Marcinkowskiego postawić: jeden miał wytężone oko na potrzeby materyalne, drugi na potrzeby umysłowe kraju, zarysowując olbrzymie koło dla

działań tego stowarzyszenia, w którego zakres wchodziłyby nie tylko zwykłe prace akademickie, ale i wyznaczania konkursów, otwieranie rozmaitych doraźnych w miarę możności i potrzeby wykładów naukowych i popularnych po rozmaitych miastach, czy to pojedynczéj gałęzi wiedzy, czy całéj dziedziny pewnéj umiejętności, i wogóle zajęcie się rzeczami, styczność z nauką mającemi, które dla osób poszczególnych były zatrudne. Ale najżywotniejszém tętném tego organizmu naukowego miało być pismo, co kwartał wychodzące, któregoby zadaniem było skupiać w jedném ognisku wszystkie pojedyńcze ogniwa działań po całéj prowincyi rozrzuconych. Pomysł to doprawdy piękny i dzisiaj jeszcze nic z barwy świeżości swojéj nie stracił, bo i dziś, jak przed 40 laty, byłby pożądany, pomimo że gdzieindziéj mamy Akademią umiejętności i pomimo że w tym okresie czasu zjawił się w Europie i u nas nieznany dotąd czynnik oświaty, zwany kongresami naukowemi. „Towarzystwa przyjaciół postępu“ nie tylko nie przeczyłoby działaniom kongresów, ale owszem dzielniejszym byłoby motorem.

Otóż tych i innych podobnego temperamentu ludzi, do których bezwątpienia zaliczyć należy i Edw. hr. Raczyńskiego, działających rozważnie a oględnie, nie słuchało stronnictwo ruchliwsze, pragnące doraźnego, radykalnego postępu i przeobrażenia. Stronnictwo to, którego działalność Marcinkowski uważał za największą klęskę, po znanych smutnych wypadkach nagłego skonu Edw. hr. Raczyńskiego (20 stycznia 1845) i przy dłuższéj chorobie Marcinkowskiego, dało możność wziąć górę ludziom skrajnym (takim np. jak Edward Dębowski); stąd téż niebezpieczne prądy wrzeć poczęły na całéj linii postępowego obozu.

Z tych słów widzimy, że wypadki owoczesne nie były tego rodzaju, żeby uśmierzyć zdołały rozgorączkowane serce i wyobraźnią poety; owszem, przyśpieszały raczéj nieprzewidywane, ale jak dziś widzimy, wskutek nieubłaganéj logiki dziejowéj, konieczne skutki tych wybujałych pragnień i krwawych ideałów, których nieoględnym był zwolennikiem. Zbliżał się bowiem czas, któryby Zygmunt takim odmalował obrazem:

„Ach! mętne krwią i łzami płyną życia fale,
„I na nurtach potoku słychać wieczne żale!
„Z tyłu leżą przeszłości mgłą obwiane tonie,
„Z przodu niebo zamglone, krwawą łuną płonie;
„A wokoło pływaczów tak zimno i ciemno,
„Że każdy płynąc woła: „przekleństwo nademną!“

Do tych to „mętnych krwią i łzami“ wypadków mimowiednie zbliżał się nasz poeta; w końcu 1845 udał się Berwiński z młodym

obywatelem z Poznańskiego, Aleksandrem Brudzewskim, do Krakowa, a ztamtąd dalej do Galicyi, gdzie w okolicy Tarnowa przyaresztowano ich w gościnie bawiących na wsi i osadzono następnie w Wiśniczu. Było to w dniach lutowych, w przeddzień znanych wypadków 1846 roku. Całoroczne medytacye w Wiśniczu dawały sposobną chwilę do ostudzenia tego czadu odurzenia politycznego czy społecznego, a zarazem literackiego; tém bardziéj, że późniéj w czasie również niedobrowolnego pobytu w Moabicie (w Berlinie) miał możność przy lepszych nieco warunkach, spokojniejszego i dojrzalszego rozważania losów ludu i jego stanowiska w naszém społeczeństwie. Wprawdzie sam autor, rozważając te bolesne doświadczenia w 7 czy w 8 lat późniéj, mówi o nich spokojnie, jako o faktach, które minęły bezpowrotnie, jednocześnie z doświadczeniem w tak wyjątkowy sposób nabytem; ale B. stosuje myśli swe do poglądów literackich tylko, zapominając o innych, których one były wynikiem i których w dalszych kolejach swego życia stać się miał ofiarą.

Oto, co sam pisze w téj materyi: „W tym czasie (1846), znalazłem się w Galicyi w takiém położeniu, że przez rok przeszło cały mając sposobność naocznego przyglądania się wszystkim fatalnym przerachowanego kałkułu ludowych teoretyków skutkom, miałem zarazem i dość czasu w samotności do długich rozmyślań i do gruntownych dochodzeń grubéj w rachunku pomyłki. Odkryłem ją nareszcie.“ (*Studia*, str. XV). Omyłka ta leżała podług B., w fałszywém pojmowaniu prawa kształcenia się wyobraźni ludu oraz etycznego stosunku ludu do innych warstw społeczeństwa „Wynalezienie w tym względzie prawdy“ stało się naówczas jego zadaniem, któremu „mnogie godziny samotnych rozmyślań“ poświęcał; dodaje wszakże, że „trudno było pozbawionem nietylko wszelkich ze światem stosunków, ale nawet papieru i książek“ rozwiązać te zagadnienia; mówi daléj, że myśli jego wówczas innym już popłynęły korytem, niż dotychczas powszechnie o ludzie rozumiano. Jak skoro nowa zaszła w położeniu jego zmiana, nastręczyła się sposobność do „dalszego rozwijania spostrzeżeń i do wypróbowania ich prawdziwości najwięcéj praktycznego.“ „Los mnie przeniósł w r. 1847 do Berlina, gdzie obok téj saméj, co w Galicyi, do samotnych rozmyślań najwłaściwszéj pory i obok dogodnego wczasu do pracy, miałem nadto jeszcze na swoje zawołanie i wszystkie bogate téj stolicy biblioteki i zażądane książki z kraju.“

Że B. zanadto teoretyzował stanowisko swoje, że dość wytężona wistocie praca nad literaturą ludową nie była ostatecznym celem jego ówczesnych pragnień w czasie pobytu w Moabicie, mamy

na to najlepszy dowód, że zaledwie rok niespełna upłynął od czasu powrotu w strony rodzinne—a już znowu „wszedł w świat żywych“. Wypadki bowiem marcowe 1848 przywróciły wolność wszystkim więźniom politycznym, a ogólna amnestya, ogłoszona w Królestwie Pruskiém, zamknęła akta dawnego procesu. Stosunki, jakie następnie się wywiązały w Księstwie Poznańskiém, wywołały potrzebę komitetu, czuwającego nad sprawami publicznemi; Berwiński wszedł do jego składu i należał do liczby najczynniejszych członków.

Wogólności była to, jak wiadomo, chwila powszechnych wstrząśnień, chwila szczepowego grupowania się ludów. Myśl ta, zrodzona gdzieindziéj, rozpowszechniła się wkrótce i na ziemiach Słowiańskich.

Podnietą do jéj ożywienia były nietylko niesympatyczne rządy cesarsko - apostolskie Austryi, ale i zachcianki liberalnych niby Niemców, we Frankfurcie zgromadzonych, do systematycznego tępienia Słowian. Nie wchodząc w inne dziejowe szczegóły, które nateraz do nas nie należą, powiedzmy tylko, że zacnemu Jędrzejowi Moraczewskiemu, zpośród Polaków, należy myśl zgromadzenia w Pradze wszystkich Słowian, pod panowaniem austryackiém zostających, a to w celu zbliżenia się i obmyślenia środków wspólnéj obrony. Skoro za staraniem Fr. Palackiego nastąpiła sankcya cesarska, zebrał się poraz pierwszy w dziejach naszego plemienia, wiec słowiański dnia 31 maja 1848 r. w Pradze. Były tam reprezentowane wszystkie narodowości, a Polaków znalazła się pokaźna ilość, bo blisko stu osób, śród których więcéj znani byli: Jerzy ks. Lubomirski, L. Siemieński, Jan Dobrzański, Juliusz Kossak, Zygmunt Sawczyński z Galicyi, J. Moraczewski, K. Libelt, L. Łukaszewicz, z Księstwa: Edm. Chojecki, Ksawery hr. Branicki z Ukrainy itd.;—otóż śród nich był i Berwiński.

Wiec ten, podzielony na trzy grupy: Czeską (Czesi, Morawianie, Słowacy), Polską (Polacy, Rusini, Szlązacy) i południowo-słowiańską (Serbowie, Dalmatyńcy, Słowieńcy, Chorwaci), obradował pod laską Palackiego, którego wice-prezesami byli: książę Lubomirski i Stanko Wraz, Chorwat. Przedyskutowali oni wszystkie ważniejsze kwestye nie bez pewnych sporów i roznamiętnień narodowościowych, czego oczywiście spodziewać się należało, w obec tylu różnorodnych interesów poraz pierwszy do jakiejś jednoty, a przynajmniéj harmonii skierować się mających. A pośród wszystkich tych rozpraw, zrodzona myśl założenia akademii słowiańskiéj, jako wspólnego ogniska, do bliższego zcentralizowania pod względem społecznym i naukowym interesów, pomysłów i ideałów wszystkich Słowian, jakkolwiek do skutku nie przyszła i w niedalekiéj przy-

szłości nawet spodziewać się jéj nie można; to jednak sama myśl ta pozostanie pięknem świadectwem wysokiéj już kultury młodego plemienia naszego, które chce dorównać innym prastarym szczepom i dostroić się do tego kamertonu ideałów społecznych, jakie drogą wielowiekowéj cywilizacyi w nich się wyrobiły.

O udziale Berwińskiego w tych pracach niewiele mamy do powiedzenia: zbyt to były, że tak powiem, akademickie, teoretyczne roboty, żeby go silniéj poruszać mogły. Natomiast czynnym był w owym komitecie, z pośród członków wiecu wybranym, a obradującym w celu zredagowania odezwy, czyli po staropolsku mówiąc, orędzia, tj. niby listu rekomendacyjnego do starszych społeczeństw w Europie od młodego szczepu naszego. Głównymi redaktorami komitetu, jak wiadomo, byli: Palacki i Libelt, ale było dużo współdziałaczów od poszczególnych narodów; od nas tedy byli Siemieński, Jan Dobrzański i Berwiński (1). Czynność tam jego była tak drobna wobec tylu powag, że zaledwo tu warto o niéj wspominać; a jeżeli o niéj nadmieniam, to dla tego jedynie, żeby zanotować, iż umysł jego raz zwrócony w kierunku energicznych działań społecznych, nie spoczął nawet tam, gdzie mu się arcy podrzędne dostawały role. Jeżeli zaś imię naszego poety nabrało pewnego rozgłosu, to wcale nie z powodu tych obrad, w imię których wiec był zgromadzony, ale z okoliczności całkiem postronnych; a mianowicie z powodu rozpraw średniowieczno-rycerskich dwu naszych rodaków B. i Ch.,—w których czynnym był pośrednikiem.

W takich oto warunkach, śród owego ożywienia ruchliwszego stronnictwa w Księstwie, które się coraz bardziéj demokratyzowało i roznamiętniało, ubiegały Berwińskiemu dalsze chwile życia. A lubo to życie zawsze jeszcze było, że tak powiem, bezprogramowe, bez zdawania sobie sprawy, dokąd dąży i na czém ostatecznie się zatrzyma,—zawsze jeszcze bez jakiejś stalszéj podstawy w społeczności, bo tylko jako poeta i postępowy polityk, nie zaregestrowany dotąd w swojéj społeczności żadném stanowiskiem socyalném, żadnym urzędem czy inném zatrudnieniem, to jednak, niezaprzecznie, był on jednostką tego społeczeństwa już powszechnie znaną, a nawet wydatną.

Żeby to stanowisko jego zrozumiéć, trzeba go koniecznie stawić na tle tego czasu i tych ludzi, z którymi obcował: jakaś nieokreślona płochość młodzieńcza, wielki zapał i wielka miłość rzeczy

(1) Zresztą o szczegółach zjazdu patrz: „*Zprawa o sjezdu Słowańském* (Wyimek z Časopisu českeho Museum). V Praze 1848“.

świętych i szlachetnych,—rozpęd szalony ku urzeczywistnieniu tych celów, bez obliczenia sił swoich, bez przypuszczenia nawet jakichbądź przeszkód, na drodze do tego celu znaleść się mogących: oto stanowisko postępowców owoczesnych. Takim też był i Berwiński—młodzieniec w całém, szerokiém znaczeniu tego słowa, pomimo swoich trzydziestu lat życia! tak, że mimowolnie do niego zastosować należy słowa Bohdana: „Ach! i cóż to jest młodzieniec? Istność wietrzna, lekka, płocha. Jutro rzuci, co dziś kocha, dzikich marzeń potępieniec.“ Nasz młodzieniec nie rzucił wprawdzie wszystkiego tego, co kochał dawniéj: mamy dowody w szeregu listów do rodziny pisanych, w których nietylko teraz, ale i późniéj, na obczyźnie będąc i prawie nie mając już nadziei powrotu do kraju, dopytywał się o pannę W.....ówną, a zacny brat Teofil nie zawsze pocieszyć go zdołał. (Tak np. w jednym z listów, 1857 r., pisze Teofil, że W....ówna bawiła w Dreźnie, potém kilkakrotnie przyjeżdżała do Poznania, ale do matki naszego poety nie wstąpiła nawet wcale... serdeczny więc brat, w swojém i matki imieniu, zdobywa się na jakąś pociechę, po udzieleniu téj smutnéj wiadomości). Ale jeśli nie w tém, co kochał, to za to B. był prawdziwym młodzieńcem w poglądach na potrzeby działań współczesnych i istnym „potępieńcem dzikich marzeń.“

Miał tylko krótką chwilę w życiu swojém, w któréj się otrząsnął z téj bezcelowości życia, z tego marzycielstwa bezpłodnego, i z energią sobie właściwą wziął się do pracy. Było to w r. 1849, kiedy losy zetknęły go bliżéj z Karolem Libeltem i kiedy wspólnie z nim zaczął, jako publicysta stale pracować w „*Dzienniku polskim*“ wychodzącym w Poznaniu w ciągu osiemnastu miesięcy. Jestto, bez wątpienia, najczynniejszy i najwdzięczniejszy okres w jego życiu. Wiadomo, jakie naówczas stanowisko zajął w kraju Libelt: jak prędko i olbrzymio wzrosła ta posągowa postać! jak nauka, talent pisarski, wrodzona bystrość, umysł wielostronny a głęboki łączył się w nim w szczęśliwéj harmonii, z prostotą a serdecznością. Każde jego słowo na wagę złota cenić należało: postępowy, ale bez uprzedzeń, miłujący bezgranicznie kraj swój i dla szczęścia jego pracować umiejący, składający co chwila, co numer pisma, dowody „odwagi cywilnéj“, już nie teoretycznie, ale w czynie, w życiu,—Libelt był ideałem publicysty polskiego. „Dziennik polski“ był wyrazem tych opinii społecznych, narodowych i politycznych, jakie naówczas panowały w Księstwie, ale tylko wyrazem wolnym od skrajnego roznamiętnienia, od przypadkowych naleciałości, uszlachetnionym wyrazem, a co większa: doskonale świadomym siebie, dróg i celów swoich. Za godło tego pisma posłużyć by mogły słowa same-

goż redaktora w jednym ze środkowych numerów (N. 124) w kształcie takiéj rewersyi wypowiedziane: „naród nie dla tego się krwawi, aby żył; ale dla tego żyje, że krwawi się". Jakkolwiek przeto krótki był okres istnienia tego pisma, ale tak donośny, że względnie do celów, jakie to pismo sobie zakreśliło, niezawodnie zaliczyć je potrzeba do najznakomitszych pism u nas istniejących. I jeżeli będzie kiedykolwiek pisał kto dzieje oświaty naszéj owych czasów, to zapewne nie pominie owego głośnego naówczas powodu, dla którego pismo to w pełni sił swoich istnieć przestało: oto ni mniéj—ni więcéj dla tego, że urząd pocztowy oświadczył, iż z powodów wielkiego *ciężaru* numerów „Dziennika" od dnia takiego a takiego rozsyłać na prowincyą daléj nie będzie... Ten sam już fakt mówi przekonywająco o znaczeniu i żywotności pisma. Zresztą mamy dowody w saméj zawartości „Dziennika", takie artykuły, jak kilka wstępnych przy rozpoczęciu pisma, jak „Dziennikarstwo południowych Słowian", „Język polski na sejmie berlińskim", takie jak „Samolubstwo wyrozumowane", a zwłaszcza, jak artykuł, zatytułowany: „Czy wolność druku może być nieograniczona", w każdém, nawet najgłośniejszém piśmie europejskiém byłyby brylantami.

Nic przeto dziwnego, że pod tak światłém i obywatelskiém przewodnictwem i zdolności B-go urosły i dojrzały: tutaj on wyrobił styl prawdziwego publicysty—lekki, potoczysty a jędrny i poprawny, tutaj czytamy jego pióra niektóre artykuły, mające nieco trwalsze znaczenie niż zwykłe dziennikarskie roboty, jak np. Polska i Węgry (N. 7 i 8), piśmiennictwo ludowe (N. 67). Myśli o naszéj przyszłości (N. 150) i inne. A jeżeli śród zmudnych robót gazeciarskich spotykamy tam wiele rzeczy pospolitych, to i te drobiazgi bieżące opromienić umiał kolorytem żywym i zawsze w sympatyczny dla ogółu sposób przemawiać potrafił. Jak np. w N. 12 w ustępie „Wieszczenia, które mi Bóg dał w r. 1847", gdzie mówi o chwili obecnéj niby mało przyjaznéj dla poezyi, nadmienia, że dopiéro gdy „gromy bojowe przehuczą, zabrzmi harfa Eola, bo i Homer śpiewał po wojnie trojańskiéj, i Wirgili po tryumwiracie, Chateaubriand po rewolucyi: Byron po upadku Napoleona" Wieszczenia więc te niebyły żadném proroctwem, ale szeregiem dowodzeń rozmaitych objawów poezyi,—forma wszakże i tego drobiazgu tak udatna, że go po upływie od owego czasu 37 lat, z wielkiém zajęciem odczytałem. Słowem, praca jego w „Dzienniku" jest i wyraźnie określona i talentem nacechowana. Szkoda tylko, że tak była krótka, bo oto w niedługim czasie okoliczności powołać go miały na inne stanowisko.

Współpracownictwo Berwińskiego w „Dzienniku polskim", jakkolwiek nie długie, dało mu jednak dawno pożądane stanowisko—

publicysty. Dziecko szczęścia, któremu oprócz zawiedzionéj miłości, szło dotąd jak najskładniéj w życiu, gdy dawne urazy za wybuchy poetyczne poszły w zapomnienie: miał wielu przyjaciół, lubiany był i pożądany w kołach towarzyskich. Możnaby nawet powiedzieć, że otaczająca go społeczność zbyt go faworyzowała, bo bądź-co-bądź, przy całéj swojéj umiejętności wzięcia się światowego, przy pewném wyrobieniu politycznem, nie miał on wyższéj podstawy w życiu, którаby mu dawała prawo do zasłużonego przodownictwa w swoim kraju: widzieliśmy jego naukę, dorywczą i nieuzupełnioną, a późniejsze wyłączne oddanie się bądź specyalnym studyom ludowym,—bądź publicystyce, obok podtrzymywania stosunków światowych nie pozwoliły mu tych luk uzupełnić. A jednak wielu z otaczających go ludzi braków tych niedostrzegało wcale, i nasz Ryszard, jak się zdaje, nieco przeceniać siebie począł i spoglądał na otaczający go świat z wyniosłości kapłaństwa polityczno-socyalnego, do którego wszakże odpowiedniego chryzmatu nie miał. Przesadną i nieusprawiedliwioną była zwłaszcza ta jego satyryczność względnie do téj właśnie klasy ludzi, śród któréj najchętniéj przebywał, (a z niektórymi z nich jak np. z Rogierem Raczyńskim serdeczna łączyła go przyjaźń).

Kiedy jeszcze przed dziesięciu, czy przed ośmiu laty pisał namiętne swoje inwektywy na arystokracyą narodową, kiedy mówił:

„Znam was! o! znam was! Was dawnych i świetnych
Synów przeszłości po ojcach bezdzietnych!
Znam was i gardzę!" i t. d.

to słowa te usprawiedliwiały się poniekąd patosem poetycznym, ekstazyowaniem niejako dozwoloném, jako mimorzutny objaw wyższego liryzmu, oczywiście na tle panujących teoryi demokratycznych uhaftowany. Ale i z późniejszego nieco okresu, kiedy już tyle doświadczenia przybyć było powinno, takie słowa w notatkach jego czytamy:

„Ojcowie moi tak wspaniale żyli,
Taki wystawny sławny żywot wiedli:
Że czego dzisiaj nie zjedli, nie przepili,
To pewno jutro przepili i zjedli".

Ten już na zimno ukuty sarkazm, do ogółu przecież stosować się nie mogący (gdy oto dziś jeszcze Poznańskie ma tyle i nie przepitych i nie przejedzonych majątków i taką siłą ducha, że przy tak trudnych warunkach walczy jednak dość pomyślnie), był raczéj dowodem anormalności i poglądu autora na otaczający go świat i zarazem anormalności stanowiska jego w tym świecie.

Usposobienie owoczesne, rozekscytowane pragnieniami daleko sięgającemi, a może zwykła nasza słabość ustępowania przed silniej-

szym prądem, spowodowały, że ta wybujałość B-go i przecenianie zasług swoich, nietylko nie raziło, ale owszem znać jednało mu tylko szérsze koło stronników, skoro w r. 1852 dostąpił zaszczytu—posłowania na sejmie w Berlinie. Stanowisko to, jako posła na sejmie w stolicy, stanowi kulminacyjny punkt powodzenia jego w życiu; odtąd już się zaczyna upadek, albo raczéj coraz mniéj trafne postępowanie, coraz mniéj umiejętne radzenie sobie w ten sposób, żeby nie być w dysharmonii z opinią publiczną.

Nic wprawdzie w postępowaniu jego nie zaszło takiego, coby bezwarunkowo potępienia było godném, nic takiego, czegobyśmy i dawniéj w nim nie widzieli: jak pierwéj, tak i wówczas, nie zawsze sobie krytycznie zdając sprawę ze słów i czynów swoich, szedł za piérwszym popędem uczucia czy wrażenia i śmiało wypowiadał swe zdanie, łącząc się z opinią nawet mniejszości, mało w tym razie dbając, albo i wcale nie dbając o popularność. Ale właśnie dla tego, że scenaryusz życia się zmienił, stąd ta lekkość czy lekkomyślność, i za nią idące błędy, w poważném otoczeniu sejmowém wydały się dla wielu zbyt rażącemi, tak dalece, że poecie naszemu, przy braku wytrwałości, przy szybkiém zrażaniu się piérwszém niepowodzeniem, te kwasy pewnych stronnictw politycznych stały się nie do zniesienia: i ustąpił z areny politycznéj.

Zawiedziony niby na ludziach, a właściwie narzekać mający prawo tylko na siebie, gdy na męża stanu wcale stworzonym nie był, poeta nasz za powrotem do domu, gorliwie i wyłącznie się poświęcił pracy naukowéj, a owocem jéj były „*Studya o literaturze ludowéj ze stanowiska historycznéj i naukowéj krytyki*“ (Tomów 2) wydane w Poznaniu 1854 r. Pod niefortunną gwiazdą zrodziło się to pismo jego: rozpoczął je wtenczas, kiedy doświadczył piérwszych zawodów zapałów młodzieńczych, tj. obmyślał je w Wiśniczu, a pierwsze opracowanie robił w Moabicie; kończył zaś je po wspomnianym dopiero powrocie z Berlina tj. po drugim, może boleśniejszym zawodzie i rozczarowaniu w życiu. Nie wchodzimy w tém miejscu w ocenę wartości tego dzieła, a ma ono, niezaprzeczenie, względną wartość jeszcze i dzisiaj, po upływie lat przeszło trzydziestu, tém bardziéj zaś miało wysokie znaczenie dla współczesnych. Zasadniczą myślą autora było to, że wszelkie gusła i zabobony ludu, wszelkie demony i straszydła, oraz osnute na nich fanstastyczne opowieści, nie tylko przeszłością swoją nie sięgają czasów słowiańskiego pogaństwa, ale nawet niektóre z nich doszły do nas bardzo niedawno, co im nie przeszkadzało zakorzenić się głęboko w umysłach ludu i uchodzić dzisiaj za spuściznę wieków odległych. Dowodzi następnie, że lud nie ma własnych warunków życia umysłowego i samo-

dzielnéj twórczości, a jeśli ją ma, to jak dziecko: co w nie wniosą i wrzucą wewnętrzne stosunki, to *przetwarza*, ale i to niezawsze, najczęściéj *powtarza* tylko to, czego się nauczył od swoich nauczycieli—księży, panów—szlachty i każdorazowego rządu. Myśl ta nie pozbawiona jest prawdy naukowéj, wypowiedzenie jéj wszakże było nieumiejętne. Wreszcie zaletą „Studyów" był olbrzymi, poraz piérwszy u nas w takiéj ilości zgromadzony materyał do opracowania twórczości ludu.

Pomimo tych zalet dzieła, fatalizm jakiś chciał, żeby i wówczas i dzisiaj, do dni naszych nie doczekał się Berwiński sprawiedliwego o swojéj pracy sądu. Że współczesne mu stronnictwo konserwatywne nieżyczliwém na nie spoglądało okiem, temu się wcale dziwić nie należy, bo B. jest tam wskroś antykatolickim pisarzem, a nawet, jak się zdawać mogło, z lubością wywlekał z przeszłości naszéj i takie nawet objawy ciemnego fanatyzmu, zwłaszcza księży, które wprost do jego pracy nie należały; ludzie zaś na neutralnym gruncie stojący, nie wiem już z jakiego powodu, również obojętnie traktowali, a poważniejsza niby recenzya w Warszawie takiego A. Nowosielskiego (Marcinkowskiego) nietyle była krytyką właściwą, ile raczéj naciąganiem do swoich o starożytnictwie i o ludowéj twórczości poglądów, które jak wiadomo były aglomeratem jeszcze większych dziwactw, niżby je w dziele B-go znaleść można. Po paru latach ogół zapomniał o téj pracy i tylko chyba móle biblioteczne przyjęły ją w czułe swoje objęcia. Nie zbawiło smutnych losów téj książki i to nawet, że p. Merzbach przy pośrednictwie zacnego Teofila, brata Ryszarda, nabywszy je w r. 1862 dopuścił się bibliograficznego falsyfikatu i pod zmienionym wydał tytułem: „Studia o gustach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych". Losy książki były uparcie nieżyczliwe: p. Merzbach nie hojnie wprawdzie wynagrodził, bo dał autorowi 180 talarów, tak że po potrąceniu reszty pozostałych wydatków za druk i papier poeta nasz zaledwo 100 talarów dostał do ręki; ale wątpimy, czy i nabywca większym cieszył się zyskiem... Tajemnica niepopularności leżéć zresztą mogła w jéj formie odstręczającéj,—niekiedy zbyt drobiazgowo-gadatliwéj, odbiegającéj od rzeczy,—niekiedy zbyt suchéj, arcy treściwéj, a przedewszystkiém nieodznaczającéj się polskim tokiem mowy.

Po opuszczeniu sejmu berlińskiego zaczyna się drugi, smutny okres jego życia, w którym kropla po kropli musiał spijać gorycz z kielicha żywota: zaufany w dotychczasowém powodzeniu, nie umiał się oswoić z nową swoją pozycyą,—nie mając zaś wcale owéj,

wspomnianéj wyżéj „pokory ducha“ chrześciańskiego, przetwarzać siebie ani chciał, ani umiał, a owszem, najmocniéj się trzymał wyblakłych już znacznie ideałów i marzeń swoich młodzieńczych; to téż rozgoryczony, wcale nie słusznie, na świat i ludzi dlatego tylko, że ci ludzie na modłę jego kształtować się nie umieli, zapragnął nazawsze kraj opuścić, bo zdało mu się, że ta jasna gwiazda, co mu w młodości przyświécała, jeszcze wnijdzie na horyzont życia jego, choć pod obcém niebem. Niestety! szukał jéj długo.... ale już nadaremnie!

Jaki był nastrój psychiczny B-go w tym stanowczym przełomie życia, odsłania nam nieco wiersz pożegnalny tego romantyka-bajronisty, przechowany u rodziny. Odpisujemy go tu bez zmiany:

I. Czajld-Haroldowska i mnie dziś fala,
I wiatrów poświst złowrogi,
Od brzegów lądu tego oddala.
Gdzie kraj mój, tyle mi drogi....
Więc gdy go rzucam, a serce wzbrania
Powrotu dnia się spodziewać,
Haroldowską pieśń pożegnania
I ja bym chciał mu zaśpiewać....

II. Bywaj mi zdrowy! I wy, co w domu
Na dni czekacie łaskawsze,
A doczekacie łez się i sromu,
Bywajcie zdrowi nazawsze!

III. Bywaj mi zdrowy! Nim wiatr się skręci,
Co jeszcze do mnie przypędza
Woń pól twych i łąk, — a mnie w pamięci
Zatrze się blask i nędza.
Bywaj mi zdrowy — i wy co w domu
Na dni czekacie łaskawsze,
Aż doczekacie się żniwa sromu,
Bywajcie zdrowi nazawsze.

IV. Łez nie mam dla was na pożegnanie
I serce nie pęka z rozpaczy,
Choć wiem, co znaczy wieczne wygnanie,
Jak gorzki chléb jest tułaczy!
Nie płaczę jednak, bo mi jak kamień
To serce w piersi tu leży,
Co niegdyś złotych pełne omamień,
Dziś samo w siebie nie wierzy.

V. Wam i mnie jedno, dokąd popłynę
I co mi nieba przeznaczą,
Niedbam: *czy, kiedy, jak i gdzie zginę*,
Choć wiem, że po mnie zapłaczą,
Zapłaczą gorzko........

W Paryżu, dokąd wyjechał, upajał się jeszcze doktryneryą swoją, swojemi ideałami czy mrzonkami politycznemi, do których podniecenia na ówczesnym bruku paryskim znalazł pod dostatkiem materyałów, gdyż w ciągu dwudziestu przeszło lat śród rodaków B-go istna wieża Babel zapanowała: różne koła i kółka polityczne, różne ogniska patryotyczne, systemata socyalne i filozoficzne, powstające z gruzów saint-simonizmu czy furyeryzmu, z nowszego mistycyzmu czy mesyanizmu, a nawet z odświeżenia prastaréj wiedzy oryentalnéj, kotłowały jedne obok drugich, wzajemnie siebie negując, a jednak nie schodząc z pola.... Taki tedy rozgwar i odmęt rozpętanych umysłów niewiele zdołał wlać pociechy do bolejącego serca poety: pycha rozumu jeszcze jako-tako zadowolnić się tu mogła, ale serce gorszą jeszcze czuło czczość i próżnię.

W tém upojeniu i odurzeniu cóż pozostawało robić naszemu poecie, z jego ideałami ludowemi, z jego marzycielstwem i wieczną pogonią za szczęściem, którego sformułować nawet nie umiał?

Zrobił to, co zrobiło już wielu rodaków przed nim i równocześnie z nim, co zrobił największy nasz geniusz poetyczny: zapragnął nad Bosforem szukać urzeczywistnienia marzeń swoich....

Ach! ten Bosfor! ileż grozy w tém słowie! ile obrazów walk strasznych, ile krwi potoków nasuwa się tu pamięci naszéj! jakie potęgi moralne i materyalne przez ciąg dziejów ścierają się tu z sobą!

Całe szeregi najść dzikich ludów na półwysep Bałkański nalicza historya; ale któryż dziejopisarz czy historyozof wytłómaczyć nam kiedy zdołał ten niepojęty urok, jaki narody Wschodu i Zachodu w najrozmaitszych czasu kolejach i w najrozmaitszych stopniach cywilizacyi, przywiązywały do tego zakątka ziemi? W okresie pierwotnym dziejów tłumy ludów idą ku Bosforowi niby bezwiednie, a jednak niewątpliwie pod wpływem jakiegoś czarownego talizmanu, który je tu przynęca; w epoce rozrostu cywilizacyi świata ścierają się tu dwie potęgi—materyalnego Wschodu, islamizmu i potęgi duchowéj — krzyża Chrystusowego; a wszakże i dziś widzą tu politycy i strategicy tajemniczy klucz do opanowania świata!... Słowem wszyscy porówno: wielcy i mali, marzyciele i mężowie stanu, ludzie pojedyńczy i całe potęgi zbiorowe wzdychają do tego czarownego punkciku Europy! Bo oto i największy bezwątpienia marzyciel XIX w., Karol Fourier, chciał w sposób teoretyczny zrobić Bosfor ogniskiem wszechświata. Wiadomo bowiem, że w dziele swojém p. t. *Théorie des quatres mouvements* (Paryż 1808), rozpisując się szeroko z marzeniami swemi o nowym ustroju świata, dzielił społeczności ludzkie na falanstery, falangi, serye, grupy, których, wszystkich razem wziętych, najwyższym przedstawicielem miał być

„Omniarque“, czyli w przybliżeniu po naszemu „Cesarz świata“; on to w razie potrzeby zgromadza „kongres sferyczny“ świata, a ten właśnie ma ognisko swe.... nad Bosforem!

Nie wiadomo mi wprawdzie, czy Berwiński znał te marzenia Fourier'a, — ale jak widzimy, tąż samą co i on drogą zdążał do uszczęśliwienia siebie i wszystkiego, co mu najdroższém było w życiu, do urzeczywistnienia ideałów swoich!

Ale skoro wiemy, że i silniejsze od B-go jednostki, hartowne żelazną siłą woli i wielkiemi zasobami materyalnemi zbrojne, ginęły tu marnie w téj wszechświatowéj otchłani, — to cóż dziwnego, że i biednemu poecie wielkopolskiemu nie dano być tu tryumfatorem, że i on w téj otchłani pogrążyć się musiał....

Nim to ostatecznie nastąpiło, widzimy, że zamiast lutni Apolina zapisuje się w służbę Marsa i jest oficerem w pułku dragonów Otomańskich, pod wodzą Sadyka-paszy.

Niewypowiedzianie smutna jest ta jego żołnierska pielgrzymka po rozmaitych kątach Turcyi Europejskiéj, a najstaranniéj zachowana korespondencya B-go do rodziny, z tamtych stron pisywana, podałaby możność ułożenia (jeśliby to komu na co przydatném było) całéj bolesnéj jego Odyssei, gdy od Stambułu począwszy, obozuje dawny peta z kolei to w Armiros, to w Janinie, to w obozie Sałmanie pod Szumlą, to w Trykale, w obozie pod Ermią, to na Kosowém polu lub w obozie pod Salambryą. A w téj włóczędze, jałowéj, w któréj ani razu nie wydobył miecza z pochwy, ani razu nie stało się zadość marzonym celom, z dniem każdym, z każdą godziną grubiało i pospolitowało się nieustannie to dawne bożyszcze salonów wielkopolskich, postawione dziś w szeregach zbiorowiska z całego świata: Cyganów, Arnautów, Żydów, Bulgarów, Ormian, Greków, Turków, nawet Arabów, z których się składała pierwotnie hałastra Sadyka.

W prawdzie gnębiony tém bolesném otoczeniem i warunkami, w jakich był postawiony, uczuwał tę niemoc swoję i pisał:

„A szczęk się ze mnie, przy każdym mym kroku,
„Urąga szabli, którą mam przy boku!
„Tak jest: ja broń mam! I koń mój przy żłobie
Rży niecierpliwy — nogą ziemię grzebie,
I dziwném okiem pyta mnie: co tobie,
Jeźdźcu mój, powiedz, — nie poznaję ciebie!
Tyś na wojenne sposobił mnie harce,
Kiedy był pokój, a dziś kiedy w wojnie
Dzieci dokoła mordują i starce,
Ty na to patrzysz zdala i spokojnie!...
Czyż krew się w tobie na tę myśl nie ścina,

Że kiedy sława, ta gwiazda jedyna
Wzywa cię k'sobie, — ty, niepomny sromu,
Mnie trzymasz w stajni, a sam siedzisz w domu!“....

„Straszny to wyrzut i straszne pytanie!
Sam sobie nie śmiem odpowiedzieć na nie!
Odpowiem jednak“ i t. d.

I tu składa uroczyste bojowe zaklęcia, które, niestety, miały zacząć się i skończyć.... rymami na papierze.

Przy takich warunkach, przy tylu zawodach, ulatywać zeń musiał czystszy powiew natchnienia poetycznego, to też pomimo najgorliwszych szperań, nie odszukaliśmy z twórczości jego na ziemi tureckiéj nic takiego, coby wyższe jakieś estetyczne miało znaczenie. A jednak nie można i tego powiedzieć, by jego twórczość poetyczna ostatecznie już tu zamarła.

Przypomnijmy bowiem sobie, że iskra ducha bożego nie gaśnie odrazu w sercu człowieka: zbolały, pozbawiony skarbów najdroższych, marnie włóczący się po obcych obozach, miewać musiał i miewał w istocie niekiedy czysty objaw tchnień rodzimych, niby z powiewem wiatrów północnych dolatujący go szum fal Goplańskich, a w toniach tych pluskające nimfy Bogunki, co tak barwnie, tak uroczo świeciły w dniach jego młodości! Serce jego rozraniał lada listek od rodziny, a w nim jakieś serdeczne słowo Teofila, upominającego go ciągle, żeby matki pocieszać nie zapominał, że wielka miłość ku Ryszardowi jedynie trzyma ją przy życiu i dodawał, że każdy list jego matka odczytuje po dziesięć, po dwadzieścia razy, aż się nowego listu doczeka; spotykał w tych listach i pełne miłości wielkiego a tajonego bólu dopiski samejże matki, które i najobojętniejszego człowieka rozrzewnić-by mogły. Wszystko to wywoływało niezatarte wspomnienia kraju, a w nim błogiéj młodości, oraz tych chwil, kiedy jeszcze rozkoszujący się życiem, spokojny i szczęśliwy, proroczém przeczuciem wiedziony, przepowiedział sobie smutną obecną rzeczywistość w tych oto słowach:

„W wonnym sadzie mojéj matki,
Kwitły bzy i kwitły róże,
Polne maki i bławatki,
I lilije kwiatów stróże.....
Jam w dziecinnych moich latach,
Z całym rajem w młodém sercu,
Biegał skocznie po tych kwiatach
Na jedwabnym traw kobiercu;
Dziś tułactwa twarde drogi,
I los gorzki w poniewierce,
Poraniły moje nogi,
Zakrwawiły moje serce....“

W takich czystych chwilach lepszych wspomnień wobec dzisiejszego, w istocie upokarzającego tułactwa, udało mu się niekiedy stworzyć udatniejszy obrazek, przypominający piękne czasy jego twórczości. Do takich bym zaliczył np. wiersz, p. t. „*Do róży*“, łaskawie mi udzielony p. Idalią Krajewską.

„Biédna moja — biédna mała,
Coś odczepić się nie dała
Od bukietu różo!
Nie lękaj się, moja biedna,
Choć od siostr swych sama jedna
Oderwana burzą.
Nie lękaj! W świat nieznany,
Choć rzucona za Bałkany,
Śród nas bisurmanów.

Póki z ciebie na nas czysta
Będzie wiała woń ojczysta
Od wiślanych łanów.
Nie lękaj się, piękna różo
Co bądź tobie złego wróżą
Zli ludzie, zła dola;
Będziesz zawsze, jak świat światem,
Najpiękniejszym dla nas kwiatem
Ojczystego pola.

W tymże zbiorku pani Krajewskiéj znajduję dwa inne ustępy, ładne pod względem formy, a swobodny humor w nich rozlany, jakoś nie zupełnie licuje z owoczesném położeniem poety. Oto są te ustępy:

DO SOKOŁOWÉJ.

Dragon.

Dziwne są losy! Wszak i ja przed laty
Byłem skrzydlaty,
I na Pegazie, co się z orlem bratał
Wysokom latał!
A dziś?... Nie śmiejcie się! bo w najgorszym razie,
Choć nie pegazie,
Mam i dziś jeszcze okropne dwa skrzydła
Smoka straszydła!
I to nie tylko skrzydła, bo dragony
Mają i szpony!
Więc Ty, ostrzegam, choć Sokoła żona
I oskrzydlona,
Nie śmiéj się, mówię, i nie szydź z wysoka,
Ze skrzydeł smoka,
Bo gdy ze swoich dasz choć jedno pióro,
I ja będę górą.

DO PIÓRA,

KTÓRE SIĘ NIE DAŁO ODCZEPIĆ.

Raz dragon-straszydło, że ciężkie miał skrzydło
Przed żoną Sokola się żalił,
I rzekł jéj: „daj pióro, a ujrzysz mnie górą!"
I wiersze aż do niéj wypalił.
A żona Sokola odrzekła: „Twa wola
Niech będzie — masz pióro!" I dała
I pióro mu czarne i oczko figlarne
Zdrajczyni — nie czarna, lecz biała.
A dragon niezdarny, że sam był i czarny,
I ślepy, już nieco zgrzybiały,
Nie dostrzegł swawoli téj żony Sokoléj
I pióro wziął czarne od białéj.
Nie świadom mamidła, wsadził je do skrzydła
Dragona-potwora — niezdarny;

I z płaczu padołu chciał z żoną Sokoła
W nadziemskie polecić obszary.
Daremne mozoły! Inaczéj Sokoły
Piórami latają białemi;
Na czarném ów dragon nie wzleciał nad zagon
I został nieborak przy ziemi.
Więc smutkiem schylony, znów idzie do żony
Sokoła i mówi téj żonie:
„Daj białe!" A ona się śmieje z dragona
I mówi: „zapóźno, dragonie!
„Te skrzydła, com miała sokółka ja biała
„Już dziś zjedzone przez myszy!"
„Przez myszy — bogowie!" Ów dragon odpowie,
Gdy taką odpowiedź usłyszy.
I pyta jéj czule: „Skąd myszy w Stambule?
Ach, powiedz i nie bądź zbyt skrytą!"
„Z nad Gopła-jeziora, zjadły je przedwczora,
Gdy były tu u nas z wizytą!"

Oczywiście, ten humor był sztucznym, a dlatego długotrwałym być nie mógł. Stanowisko jego było takie, że wracać musiał do rozpamiętywań, porównywał obecność z przeszłością. Smutna rzeczywistość unosiła go niekiedy i dalej, do tych dni szczęśliwych, kiedy poczuł iskrę talentu poetycznego, a silny wiarą w siebie i w złote struny swéj liry, bujał tak wysoko, że marzeniom jego granic nie było.... Przypominał odnotowane kiedyś w *silva rerum* słowa Zygmunta:

„Któż opisze! kto opowie!
Bóg jest jeden, jeden, sam!
Przecież w Bogu dano nam,
Że my będziem jak bogowie!..."

I owóż ten bóg pegazowy, ten wykwintny młodzieniec, pożądany w najwyższych kołach wielkopolskich, teraz błąka się po brudnych zaułkach Galaty czy Pery, lub wylęga się w błocie obozowém, niby ów Hiob biblijny, — ale stokroć od Hioba gorszy, bo w dniach szczęścia lekceważył najdroższe skarby ziemskie i urągał się miłosierdziu bożemu — przeceniał swą siłę i wierzył jedynie w siłę woli ludzkiéj.... Maż teraz prawo zmiłowania bożego się spodziewać?... Nie, bez wątpienia! Więc daléj brnie w sidła sofisteryi własnéj, którą obałamucić chce siebie i sumienie swoje, i wmówić, wtłoczyć w swój umysł wiarę, że za pomocą pół-księżyca zbawić krzyż potrafi.... Nie dość, że jak pająk siecią doktryneryi téj fałszywéj sam siebie oplątywa, chce mu się jeszcze prozelitów, żeby ktoś przecie był na świecie, co tak samo rozumuje i tak samo jak on wierzy. Pisze więc całe traktaty i śle nad Wartę ku swoim najbliższym, szukając tam pożądanych skutków opłakanego apostolstwa swego.... Dziwnyć to bywa, zaprawdę, ten umysł ludzki w owych błędnych

manowcach swoich! Jak umiejętnie omamić zdolen nawet siebie, pozornie zburzyć nawet elementarne podwaliny historyi! Posłuchajmy téj doktryneryi, wiemy przecie, o co chodzi, — nie zgorszymy się przeto lekcyami, jakich nam udziela; tém bardziéj, że tu chodzi o rzecz drobniutką... o spotwarzenie pamięci i zasług Jana III-go! A przecię, dzięki niedawno odbytemu jubileuszowi tego bohatera, do uprzednich wiadomości przybyło dziś tyle nowych szczegółów, że i dziecko nasze wié doskonale, jaką skalą mierzyć należy pogromcę Turków!

Oto jego słowa:

„Świat wschodni tak dyametralnie przeciwny jest wybrażeniom zachodu, że piszący stąd do was, co chwila rozbić by się musiał o szkopuł spraw powszednich, gdyby się nie zgodził z wami na zasady. Jest ich kilka, które takiego porozumienia się przedewszystkiém wymagają, jak np. kwestya wyznań, kwestya narodowości i t. d. Dotknijmy tu najważniejszéj.

Po jednéj stronie Chrystus, po drugiéj Mahomet. Tam krzyż—tu pół księżyc. Dwa światy anti-podyczne! Średnicy pomiędzy nimi szukać nie będę, ani nawet siecznéj. Rzecz to dziś roztrzygnięta. Przeciął ją, sławnéj pamięci a nieoględnéj polityki, nasz Jan III, Świat chrześciański niéma dziś powodu obawiać się islamizmu. On potęgą jego zachwiał, a nawet stanowczo skruszył w Europie. Możnaby przeto kwestyą tę zupełnie przemilczéć, i jabym nie dotykał jéj pewnie, gdyby mi nie było znaném, że pewne u nas stronnictwo wydobywa nawet i ten stary, zardzewiały już dziś rynsztunek, przypomina zwycięstwo Podhajskie, z pod Chocima, Żurawna, Wiednia, Parkanów, odwołując się niby do przeszłości i historyi; mówią ci ludzie, że z tradycyą zrywać nie można, a tradycya ta uczy nas, iż jedyną historyczną naszą misyą była obrona chrześciaństwa. I dopótyśmy byli potężni, dopóki tę misyą spełniali, silni byli tylko przez nią! Tak powiadają!

Stąd wniosek prosty, że polacy zaprzeć by się musieli swojéj przeszłości, gdyby nie tylko szukali na wschodzie jakiegoś współczucia, ale jeśliby nawet i w dalsze jakieś zetknięcia się z islamizmem wchodzili. Na myśl podobną kości rycerzy naszych z pod Podhajec, Chocimia, Żurawna, Wiednia, Parkanów, w grobach się przewracają i chrzęszczą pod mogiłami, a historya naszéj przeszłości oczy sobie ze wstydu zasłania!

Historya?

Zajrzyjmy do niéj, nie do téj wstydliwéj, co oczy sobie zasłania; ale do téj, co karty swoje otwiera. Otóż w téj, pod r. 1686 zapisane są traktaty Grzymułtowskie, znane pod nazwą *pacta pudenda*—wstydliwe, albo raczéj... godne wstydu traktaty. Co to były za traktaty, warto po krótce przypomniéć.

Układy zawarte po śmierci Chmielnickiego r. 1658 z kozaczyzną w Hadziaczu, a mające na celu połączenie jéj z Rzplitą tym samym węzłem, jakim z nią była połączona Litwa, doprowadziły, jak wiadomo, do zaciętéj wojny wschodniéj. Wojna ta, szczęśliwie nawet prowadzona, zakończyła się 1667 r., jak i to wiadomo· sromotną umową Andruszowską, odstępującą mocarstwu Moskiewskiemu: Smoleńsk, Siewierz, Czernihów, całą Zadnieprską Ukrainę i Kijów „tymczasowo", tj. na 12 czy 14 lat,—o czém pamiętać trzeba. Za następnego panowania, Michała Korybuta, układy te cofnąć się nie dały z powodu przeróżnych intryg, od których historya nie uwalnia i wielkiego hetmana Jana Sobieskiego.

Po śmierci Michała, przypadającéj równocześnie ze świetném zwycięstwem Chocimskiém (1673), wielki ten hetman, Jan Sobieski, obrany na króla, czy pomyślał o zniszczeniu téj umowy? Historya pyta się o to; pyta się i odpowiada zarazem, że zaślepiony

myślą obrony chrześciaństwa, którą w niego przedewszystkiem wmawiała Austrya, nie chciał nawet korzystać z okazyi, jaką mu nastręczyła Turcya, ażeby odebrać sromotnie odstąpione posiadłości. Okazyę zaś najpomyślniejszą ku temu podawała Turcya r. 1676, pod Żurawnem, gdzie obsaczonemu z 15-tu zaledwo tysiącami rycerstwa polskiego, seraskier Ibrahim Szajtan Pasza, na czele 200,000 Turków, ofiarował pokój, pod warunkiem zaczepnego przeciw Rosyi aliansu. Wiadomo też jest dzisiaj, że ówczesnemu wezyrowi, Achmet Kiuprili Paszy, nie chodziło bynajmniéj o pobicie Jana III i o podbicie Polski,—ale i zniewolenie go raczéj do zawarcia pokoju i zaczepnego przymierza przeciwko Aleksemu Michajłowiczowi, którego szeroko założone i daleko sięgające plany, polityka Porty, jak należy, odrazu oceniła. Jan III nic nie widział: propozycye Ibrahima Szajtana Paszy odrzucił.

Następnie zmusił go cudownėm zwycięstwem do zawarcia pokoju. Ale jakąż pokój ten nam korzyść przyniósł. Odpowiada znów historya, że Turcya odstąpiła napowrót Polsce część Ukrainy, która była jéj przyznana pokojem Buczackim, zachowując dla siebie resztę téj prowincyi i całe Podole, z Kamieńcem Podolskim, który późniéj, dzięki Sapiehom, kością niezgody stał się między zapędami króla polskiego a małodusznością możnowładców Litwy. Koniec końców: lewy brzeg Dniepru, ziemie małoruskie stracone przez nas zostały; ale zawsze jeszcze tymczasowo,—o czém po drugi raz pamiętać trzeba.

Następnie wyprawa Kara Mustafy na Austryę, Jan III-ci ogłupiony wpływem najukochańszéj Marysieńki, zrywa z Ludwikiem XIV, daje odsiecz Wiedniowi, gromi Turków, r. 1683, — dogromia ich do szczętu pod Parkanami; — ale z tego, jaki pożytek dla Polski?

Idźmy daléj.

Następuje *liga Augsburska* przeciw Francyi i Ludwikowi XIV, Jan III-ci najmniejszego o niéj niema wyobrażenia, ale daje się w nią wciągnąć, nie wiedząc nawet o tém. Daje w siebie wmówić, przez Austryą i Jezuitę, nasłanego nań w zmowie z Austryą przez papieża Inocentego XI-go, że jest i powinien być obrońcą chrześciaństwa. Zaczyna się gotować do eksterminacyjnéj wojny przeciw Turcyi, która bynajmniéj chrześciaństwu nie zagrażała, ale chciała jedynie osłabić Austryą i Rosyą, stając po stronie Francyi.

Jan III, wiekopomny, potężnéj ręki, obrońca chrześciaństwa, nie zrozumiał i tego, Dał wciągnąć się w tę ligę Augsburską. Szukał sprzymierzeńców przeciw Turkom.,. aż w Persyi! Ale co dla interesów Polski rzecz najważniejsza: zawarł przymierze przez Grzymultowskiego z Rosyą r. 1681, a to dla tego, aby zapewnić się jéj współdziałania przeciw Turcyi. Rosya albowiem, acz chrześciańska, mogła była chrześciańskim zapędom króla polskiego stanąć napoprzek i nie zezwolić na obalenie Turcyi orężem polskim. Trzeba więc było zapewnić się, albo jéj neutralności, albo nadzieję współdziałania drogo okupić. Okupił ją Jan III-ci traktatem Grzymultowskim: usankcyonował tymczasową umowę andruszowską i prawomocnie odstąpił cały lewy brzeg Dniepru. Zawarł z nią owe *pacta pudenda*, wstydliwe, albo raczéj godne wstydu traktaty. Odtąd potęga Rosyi wzrasta i Piotr Wielki na tych dopiéro traktatach poraz pierwszy mocną nogę swoję w Europie postawił.

Jan III-i, wiekopomny pogromca Islamizmu, nieśmiertelny obrońca chrześciaństwa. co zyskał dla kraju? Zaufany w przymierza, rzucił się wielki ten wojownik na Turcyą, Lecz opuszczony przez wszystkich swoich chytrych sprzymierzeńców, szczęśliwym czuł się w końcu, że nie doznał klęski Bukowińskiéj i że z wyprawy téj wyniósł nagie życie i swoje i rycerstwa polskiego. Przykro jest tak dziś przemawiać o jednym z największych swego wieku kapitanów-wodzów, któremu czołobitność swoję oddawali najznakomitsi owego wieku bohaterowie.

Cześć jego pamięci! Nam karłom korzyć dziś czoła przed nim. On w dobréj działał wierze!

Po hołdzie jednak oddanym, godzi się zapytać wszakże: jaki był i jest rezultat wszystkich jego wypraw przeciw Turcyi, wszystkich zwycięstw świetnych, odniesionych na niéj, od Podhajec począwszy, a na Wiedniu i Parkanach kończąc, zwycięstw, któremi historya nasza tak chlubnie się szczyci, i my tak słusznie dumnymi ich pamiątką być możemy, jakiż był i jest rezultat?

Historya odpowiada.

Austrya zhołdowała sobie i poraz piérwszy na dobre dla domu swego podbiła, dzięki Janowi III-mu, Węgry, któremi odtąd dopiéro rozpanoszona, do dziś dnia jest silną; o potędze wszech Rosyi od tego czasu, wszyscy wiemy. Stało się to wszystko dzięki wiekopomnéj pamięci Janowi III-u, pogromcy Turków, obrońcy chrześciaństwa, Wiednia i Austryi. Cześć jego pamięci.

Jaki z tego powodu wyrobił się stosunek Polski do późniejszéj polityki zachodu, nie podobna tu wytykać, bo należało by poprzednio rozebrać całą dyplomatyczną tajemnicę owéj ligi Augsburskiéj, w którą mimo wiedzy Jan III-ci wciągnąć się dał przeciw Francyi. Na to pobieżna forma listu nie pozwala.

Dość tylko dodać, że odtąd role stanowczo się zmieniły."

Na tém przerywamy naszę cytatę, bo zdaje się, że i z tego ustępu dostatecznie przegląda ta bałamutność umysłu i to wmawianie w siebie, że się spogląda na losy narodów wyżéj nad zwykłych śmiertelników; kiedy w istocie całe to kunsztowne powiązanie myśli, oprócz wyślęczonéj ironii, było tylko sofisteryą, w celu oszukania, jeżeli nie całego świata, to przynajmniéj samego siebie i zapełnienia téj próżni umysłu, téj czczości serca, wykolejonego z normalnych dróg swoich, ale zawsze jeszcze kochającego i w imię téj miłości coś dokonać pragnącego.

Ale oto oprócz wszystkich powyżéj wspomnianych zawodów i rozczarowań, musiał jeszcze jednego, najboleśniejszego, ale już ostatniego doświadczyć ciosu. Rok 1865 krwawemi głoskami zapisał się na smutnych kartach jego żywota. Na początku tego roku, gdy jeszcze wcale nie wiedział, co go w tym czasie spotka, z powodu zamierzonego wyjazdu pp. Krajewskich do Trebizondy, taki zapisał wierszyk w imionniku p. Idalii Krajewskiéj.

„Więc znowu żegnać! Niestety, więc znowu!
Ja, którym żegnał tych, co nie powitam,
Tak dziś własnemu nie dowierzam słowu,
Że: czy cię żegnać—serca oto pytam;
A serce mówi: nie żegnaj! złowrogi
Masz głos pożegnań,—więc dla odwrócenia
Złéj wróżby, powiedz: „szczęść Wam Boże drogi
I do prędkiego prędko zobaczenia!"

Nie przeczuwał biédny poeta, ile prawdy było w jego słowach: „złowrogi mam głos pożegnań", bo to w tym samym czasie wypadło mu żegnać tego, którego już „nie miał powitać" — najżyczliwszego przyjaciela i brata, Teofila, który w tym właśnie czasie umierał w stronach rodzinnych. Jeszcze tak niedawno pisał był do Ryszar-

Dla jedynej Siostry
przy wyjeździe w świat.

Czy mi dziś smutno? – Nie wiem! Lecz Bóg widzi,
Że niewesołe mam serce i duszę –
Bo niechaj sobie kto i jak chce szydzi
Z niektórych rzeczy – ja przyznać się muszę,
Że choć od złudzeń wszelkich i omamień
Wolny już jestem – a w piersi pancernej
Niejedną bliznę, nie serce, lecz kamień
Noszę – i pozór z wierzchu mam niewierny,
To jednak jeszcze jakiś ~~już~~ we mnie szczątek
Pozostał z tego, co się dawniej śniło,
Jakaś przeszłości pamiątka pamiątek,
Jakieś wspomnienie tego, co minęło!
Więc choć spokojny jestem, – moje czoło
Choć się nie chmurzy, ani smutkiem mroczy –
Chociaż pogodnie patrzą moje oczy, –
Przyznaję jednak, że mi nie wesoło!
Ach! ale bo też, jakże się weselić
~~Żyjąc~~ W takiej oto chwili, gdy jeszcze za życia
Z tem wszystkiem wiecznie przychodzi się dzielić,
Z czem się ~~wzrastało~~ wzrastało – żyło od powicia –
Z tobą, jedyna z moich – potem z tymi,
Co tam już leżą w tej nieszczęsnej ziemi,
Ach! w tej nieszczęsnej – której, żal się Boże,
Ja ubóstwiłem więcej – niźli może
Jest dozwolono; – za to ~~[illegible]~~ sprawiedliwy
Spotka mnie wyrok – choć razem i mściwy;

da, mówiąc o niepowodzeniach w rodzinie, że on jeden tylko „trzyma głowę do góry“ — a oto szlachetny ten człowiek, ofiara miłości ku rodzinie, któréj niepowodzeniami najbardziéj się martwił, ofiara wytężonéj a tak niewdzięcznéj pracy nauczycielskiéj, zbyt wcześnie wstąpić miał do mogiły. Dopiéro po śmierci brata ocenił nasz Ryszard wartość tego człowieka i całe to wielkie osamotnienie swoje śród obcych i obojętnych, — tém bardziéj, że wkrótce za Teofilem i matka wstąpiła do grobu, a z nią pękło najważniejsze ogniwo tego serdecznego węzła, tego źródła miłości, który się rodziną nazywa.

Oczywista, że po tak wielkiéj stracie trudno już mu było bawić się w podobne, jak wyżéj wymieniono, doktrynerye, — każdy dzień przynosił mu świeże dowody całéj bezcelowości jego trudów i przekonywać się musiał, że mimowolnie stał się Don-Kiszotem XIX wieku, tylko że zamiast niewinnego otoczenia owego pseudobohatera hiszpańskiego, za nieustannego towarzysza miał człowieka (Sadyka-paszę) potwornie upadającego, wywracającego na nice, z niezwykłym cynizmem i jakieś w przeszłości zasługi swoje i wszelkie świętości społeczne i religijne. Kto tedy raczy przypomnieć sobie usposobienie poety, na którego otoczenie, jeżeli nie działało doraźnie, bo już wiek jego był nie potemu, to jednak powolnie do reszty zatruwało myśli i uczucia jego: musiał jak rdza w żelazie przetrawiać w sobie wszystko, cokolwiek najwznioślejszego, najczystszego miał w złotych czasach młodości swojéj. Tutaj właśnie jest czas przypomnieć słowa jego wydrukowane w 1843 w *Przeglądzie Naukowym* („Z rozrzuconych pism szalonego“), a które następnie usunął, wydając w osobnym zbiorku (w II tomiku), jakby jakiémś mimowolném powodowany przeczuciem:

„I ja, o hańbo! tak upadłem nisko,
„Że z nieszczęść własnych robię pośmiewisko!

Nie w mocy już jego było przeboleć i pokonać ogrom przygniatających go zawodów i cierpień.... i doprawdy, z nieszczęść własnych zrobił pośmiewisko, bo — jak to się zdarzało ludziom silniejszego uczucia złamanym w pół drogi do celu — wpadł w tenże nałóg, co np. Edgar Poë, albo Wł. Wolski.

Z Turcyi parę razy przyjeżdżał w strony rodzinne, a tam śród swoich był już jak gdyby obcym: „na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata....“ Ostatni pobyt w Poznańskiém spowodowany interesami majątkowemi, lubo dość krótki, wart jednak zanotowania z tego względu, że w nim obudził wspomnienie poetyczne tego wszystkiego, co kochał dawniéj, a zarazem przepowiedział niedługą swą przyszłość. Oto ten śpiew jego łabędzi:

DLA JEDYNÉJ SIOSTRY (1)

PRZY WYJEŹDZIE W ŚWIAT.

Czy mi dziś smutno? — Nie wiem! Lecz Bóg widzi,
Że nie wesołe mam serce i duszę;
Bo niechaj sobie kto i jak chce szydzi
Z niektórych rzeczy — ja przyznać się muszę,
Że choć od złudzeń wszelkich i omamień
Wolny już jestem, a w piersi pancernéj
Nie jedną blizną, nie serce, lecz kamień
Noszę — i pozór z wierzchu mam niewierny;
To jednak jeszcze jakiś we mnie szczątek
Pozostał z tego, co się dawniéj śniło,
Jakaś przeszłości pamiątka pamiątek,
Jakieś wspomnienie tego, co minęło!
Więc choć spokojny jestem, moje czoło
Choć się nie chmurzy, ani smutkiem mroczy,
Chociaż pogodnie patrzą moje oczy —
Przyznaję jednak, że mi nie wesoło!...
Ach! ale bo też jakże się weselić
W takiéj, ot! chwili, gdy jeszcze za życia
Z tém wszystkiém wiecznie przychodzi się dzielić,
Z czém się wzrastało, żyło od powicia!
Z tobą, jedyna z moich, potém z tymi,
Co tam już leżą w téj nieszczęsnéj ziemi,
Ach! w téj nieszczęsnéj, którą, żal się Boże,
Ja ubóstwiałem więcéj, niźli może
Jest dozwolono; za to sprawiedliwy
Spotka mnie wyrok — choć może i mściwy,
Że kości moich w niéj pewnie nie złożę! (2).

Za powrotem na ziemię turecką, śród dalszéj błąkaniny bezcelowéj rozwiały się i te „szczątki“ podnioślejszych uczuć i myśli, oraz ta „przeszłości pamiątka pamiątek“, o któréj tutaj wspomina,— a w czadzie odurzenia doczekał się z tego, co sam sobie wywróżył, t. j. że kości swoich nie złożył na ziemi ojczystéj, bo w Konstantynopolu, w szpitalu francuskim, dnia 19 listopada 1879 r. oddał ducha Bogu, szczęśliwy o tyle, że umarł po chrześciańsku, pojednany z Bogiem i opatrzony św. sakramentami przez tegoż ojca Ławrynowicza, który i wielkiego Adama przed laty dysponował na śmierć.

(1) Paulina z Berwińskich Mizerska.
(2) Facsimile listu tego załączamy przy niniejszém.

(D. c. n.) *Antoni Bądzkiewicz.*



PRZYSZŁA WOJNA.

Uczony teoretyk ekonomista, niegdyś minister austryacki postanowił liczbami okazać, ileby kosztowała najbliższa wojna, do którejby przyszło w Europie. Czytelnik może się domyśla, że tym teoretykiem jest Albert Schäffle, który od niejakiego czasu, z przekonania, czy też z amatorstwa wtóruje kanclerzowi niemieckiemu. Tak, gdy niedawno jeszcze zanosiło się na wojnę z dwóch frontów prowadzić się mającą, i gdy książę Bismarck żądał od parlamentu niemieckiego powiększenia bojowéj siły Niemiec, ażeby przez to uniemożliwić wybuch wojny odwetowéj ze strony Francyi—Schäffle uważał za swój obowiązek dowieść liczbami Niemcom, iż bezpieczniéj dla nich i mniéj uciążliwém będzie głosować za podwyższeniem sił zbrojnych a témsamém i podatku na ich utrzymanie, niż się narażać na niepewne losy wojny, a pewne i ogromne koszta, jakieby za sobą niezawodnie pociągnęła tak dla zwycięzców jak i dla zwyciężonych. Wywody swoje drukował Schäffle w czasopiśmie *Zeitschrift für die gesammte Staatswissenschaft*, i następnie ogłosił w osobnéj broszurze pod tytułem *Der nächste Krieg in Zahlen* (1887). Chociaż to praca tendencyjna, prowadząca wodę na młyn Bismarkowski, jednak liczby w niéj zawarte zdają nam się być bardzo nauczające: dlatego co ciekawsze podamy czytelnikom ku zbudowaniu i moralnemu obrokowi. Zakończymy znów te notatki uwagami innego teoretyka, p. Molinari, który nietyle cyframi, ile raczéj rozumowaniem chce przekonać, iż wojna coraz bardziéj staje się niemożebną.

Schäffle rozważa najprzód *koszta* i *długi*, jakieby przyszła wojna spowodowała. Już odpowiedź na to pierwsze pytanie, stanowczo, zdaniem jego, przemawia zarówno przeciw wojnie odwetowéj ze

strony Francyi jak i przeciw wojnie wschodniéj. Bo i cóż kosztowała Francyą ostatnia wojna z Niemcami? Ministrowie skarbu Bodet i Magne podawali urzędowy wykaz kosztów, pierwszy na 9, drugi na 10 blizko miliardów franków. Jeżeli do tego dodamy corocznie ponoszone wydatki na sprawienie materyału wojennego, okaże się, iż ostatnia wojna kosztowała *rząd* francuzki co najmniéj 12 miliardów franków. Ile stracił *naród*, trudniéj obliczyć; zawsze jednak nie lękając się przesady, można te straty szacować na 3 miliardy, co razem z powyższemi, stanowi taką fraszkę, jak 15 miliardów franków. Na cyfry te zgadzają się sami Francuzi.

Można jeszcze inną drogą sprawdzić te koszta. Pożyczki francuskie na cele wojenne równają się (urzędownie) sumie 8593 milionów frank; że jednak daleko więcéj czyniły wydatki na wojsko i uzbrojenie, świadczy pozycya w budżecie przeznaczona na procent i umorzenie długu rządowego. Przed rokiem 1870, a więc przed wybuchem wojny—procent od długu wynosił 490 milionów fr., dług zaś 12 miliardów fr. W budżecie francuskim na r. 1886, dług rządowy pochłania w procentach i amortyzacyi 1267 milionów, co reprezentuje, lekko rachując, 32 miliardy kapitału.

Z powyższego widać, jak drogo kosztowała Francyą ostatnia wojna; przyszła byłaby niewątpliwie jeszcze kosztowniejszą i w nowe długi obfitszą, albowiem wystąpiłyby przeciw sobie daleko większe siły zbrojne, niż w 1870. Środki zniszczenia są dziś doskonalsze, ale i droższe; materyał wojenny, przeznaczony na zniszczenie, daleko cenniejszy i liczba powołanych do walki ojców rodzin byłaby znacznie większa, niż wówczas. Można tedy, lekko rachując, ocenić straty w nowéj wojnie między Francyą i Niemcami na 16 miliardów, a gdyby równocześnie na wschodzie dwa drugie mocarstwa wystąpiły do zmierzenia sił swoich, na 30 miliardów marek. W razie przegranéj stanowczéj, zwyciężeni musieliby wziąć na siebie cały ten ciężar, a w najlepszym wypadku po $^1/_4$. Jakby ten nowy ciężar okrutnie zaważył na kontrybuentach, o ile trzebaby podnieść podatki, tego dowodzić nie potrzeba. Warto więc, żeby ci, co wojnę uważają za nieuniknioną, wzięli te liczby do serca i nie igrali z dyabłem: gdyby się ukazał, pomarliby ze strachu.

Ciężary, idące za taką powszechną wojną, dałyby się uczuć naturalnie temu państwu najdotkliwiéj, które podatkami już jest mocno uciśnione. Otóż dość wiarogodna statystyka pokazuje, że Niemcy stosunkowo nie są jeszcze podatkami zbyt przeciążone, gdyż na głowę przypada u nich 15 marek, w Austro-Węgrzech 21 m., we Francyi 50 m., w Rosyi 12 m. Niemniéj jednakże, gdyby przyszło tylko dwom mocarstwom zapłacić koszta przyszłéj wojny w sumie

16 miliardów, same procenta od zaciągnionego na ten cel długu uczyniłyby 640 milonów marek, przypuszczając żeby dostano pieniędzy na 4%. Rachując po połowie na każdą z obu stron walczących, i tak przyszłoby do budżetu wydatków wciągnąć po 320 milionów marek, które oczywiście tylko przez podniesienie podatków możnaby osiągnąć. Ale, gdyby, co jest najprawdopodobniejsze, pieniędzy nie można było dostać na 4%. lecz na 5 lub 6%, w takim razie trzebaby roczne wydatki państwa zwiększyć o 800, a może o 1000 milionów marek. Otóż, takiéj sumy nie zdołanoby osiągnąć ani z monopolu od tytoniu i gorzałki, ani z podwyższonych opłat stemplowych. Ztąd wniosek, że lepiéj jest przystać na zwiększenie o kilkadziesiąt tysięcy ludzi siły zbrojnéj, co może o markę lub kilkadziesiąt fenigów na głowę zwiększyć podatki, aniżeli narażać się na kolosalny dług i równie kolosalny od niego procent.

A teraz przejdźmy do siły zbrojnéj. Francya, oprócz kolonii ma okrągło 38, Austrya 38,7, Rosya europejska 88, Niemcy 46,8 milionów mieszkańców. Liczba wojsk, jakie każde z tych państw wystawić może, nie da się ściśle oznaczyć dla tego głównie, że nie wiemy na pewno o sile pospolitego ruszenia. Francya, podług teraźniejszéj swojéj organizacyi wojskowéj, mogłaby podobno wyprowadzić w pole wraz z armią czynną 3,750,000 ludzi; Niemcy około 3 milionów. Ponieważ cyfry pospolitego ruszenia nie są dość pewne, więc pozostawmy je na boku. Otóż, armia w ściślejszém znaczeniu liczy:

	na stopie pokoju	na stopie wojennéj
w Niemczech	449,355 ludzi	1,450,000 ludzi
„ Francyi	523,283 „	1,750,000 „
„ Austro-Węgrzech .	287,000 „	1,280,000 „
„ Rosyi (europ.) . .	890,000 „	2,000,000 „

Zkądinąd wiadomo, że te cyfry są za niskie, i że właściwie siły zbrojne (oprócz pospolitego ruszenia) tych czterech państw wynoszą, okrągło licząc:

w Niemczech	2,700,000
„ Austro-Węgrzech . . .	1,280,000
razem (okrągło) cztery miliony	
„ Rosyi	2,900,000
„ Francyi	2,900,000
razem	5,800,000 ludzi.

Nie biorąc w rachubę jakości żołnierza, tylko ilość, oczywistém jest, powiada Schäffle, że Francya i Rosya mają znaczną przewagę wojskową nad Austro-Węgrami i Niemcami, a zatém parlament niemiecki powinien uchwalić żądane przez kanclerza podniesienie stopy pokojowéj w Niemczech, co właśnie było do dowiedze-

nia. Wiadomo, że parlament uchwalił wzmocnienie zbrojnych sił niemieckich, ale przyczyniły się do tego nie cyfry przez Schäfflego nagromadzone, lecz złamanie partyi *środkowéj* za pomocą wpływu papieskiego.

Ale skoro wojna uznawana jest przez niektórych za konieczną, lubo tymczasem odroczoną, i skoro, gdyby wybuchła w tych rozmiarach, jakie przewidują, musiałaby przywieść do ruiny najbardziéj cywilizowane narody Europy: czyby dla jéj uniknienia nie można się rozbroić? Są tacy, którzy w prostocie ducha uważają to za możebne. Nasz autor nazywa frazes o rozbrojeniu najbezmyślniejszym, jaki kiedykolwiek wyrzeczono. Bo i któż pierwszy ma się rozbroić? Oczywiście ci, którzy najdłuższe bóty wojskowe nozsą i najliczniejsze mają armie. Tymczasem ci ani myślą się rozbrajać; gdyby zaś chciano ich do tego zmusić, przyśpieszonoby właśnie wybuch wojny, któréj pragniemy uniknąć. Kto zatém doradza rozbrojenie a nie podaje sposobu, jakby je przeprowadzić, doradza wojnę nie pokój. Rynsztunek spółczesnych narodów jest, co prawda, bardzo ciężki; można sobie życzyć, by się stał lżejszym. Jednakże, póki narody nie zrozumieją solidarności swoich interesów, póki nienawiść i żądza odwetu nie ostygną, póty o rozbrojeniu myśléć nie można. Czas taki nadejdzie, gdyż inne części świata już europejczyków przerastają i siły zbrojne i podatkowa płatniczość narodów europejskich bliskie są punktu kulminacyjnego—nim jednak to przymusowe i biegiem rzeczy spowodowane rozbrojenie nastąpi, trzeba proch trzymać suchy.

Zdaniem Schäfflego, przyszła wojna mogłaby wybuchnąć tylko w dwóch wypadkach: gdyby któreś z wielkich mocarstw chciało wyłącznie dla siebie zagarnąć Dardanelle i zamknąć morze śródziemne dla marynarki innych narodów, albo to samo uczynić z kanałem Sueskim; drugi wypadek, gdyby Francya chciała się pokusić o odebranie prowincyi utraconych. Pierwszą alternatywę, uważa nasz autor, za nieprawdopodobną; gdyby bowiem które z mocarstw chciało dla siebie wyłącznie skonfiskować Dardanelle i Suez, wszystkie interesowane państwa znalazłyby się w jednym obozie przeciw takiemu zuchwalcowi i zmusiłyby go do zaniechania projektu. Właściwie, najwięcéj obawia się tego Anglia i dlatego popycha innych, by dla niéj kasztany z ognia wyciągali. Ona-to nie puszcza wschodniego mocarstwa do Bulgaryi lękając się o Dardanelle; ona podjudza Austryą, wmawiając w nią, że interes jéj wymaga rozciągnienia protektoratu nad małemi państwami półwyspu Bałkańskiego. Tymczasem w utrzymaniu wolnéj drogi do Indyi, Azyi wschodniéj i Afryki są jednakowo interesowane wszystkie cywilizowane

narody Europy. Byłoby więc szaleństwem, gdyby Austro-Węgry dla jakiejś tam Bulgaryi, a właściwie ku pożytkowi Anglii chciały obarczyć swój budżet 600 lub choćby 300 milionami marek. Węgrzy wprawdzie pragną odwetu za Vilagos, ale przecież dla tej zachcianki niepodobna zrujnować całego państwa. Więc ze Wschodu, o tak zwaną kwestyą wschodnią, Europa nie powinnaby się obawiać wojny. Niemcy i Austryacy nie mogą i nie powinni walczyć przeciw Rosyi w obronie interesów angielskich. Gdyby tedy któreś z państw chciało drogę na Wschód wyłącznie dla siebie zabrać, wówczas wszystkie inne mocarstwa postarają się o utrzymanie pokoju i wolnéj komunikacyi: Anglia z powodu Indyi, Francya z powodu swoich osad w Azyi i Afryce, Niemcy z powodu wschodniéj Afryki, Włochy z powodu morza Czerwonego, a wszyscy z powodu Chin, z których teraz nawet herbata przez Suez wielkiemi masami idzie do Rosyi. A więc jasném jest, że żadne z państw interesowanych na Wschodzie nie rozpocznie wojny na własną rękę, gdyż byłoby przez koalicyą innych powstrzymane; wszystkim im wspólne interesa nakazują pokój, nie wojnę. Interesa te skuteczniéj przemawiają za pokojem niż wszelkie ligi pokoju i międzynarodowe nienawiści.

Druga alternatywa mieszcząca wojnę odwetową ze strony Francyi dla odzyskania straconych prowincyi niemieckich także nie powinna prowadzić do starcia. Francya od r. 1870 zyskała 23 miliony nowych poddanych w Tunisie, Algieryi, na Madagaskarze i w Indyach; może więc łatwo odboléć stratę garstki Niemców, a tém samém i wojna od Zachodu przestanie wisieć nad Europą. Nim jednak do pojednania z Francyą przyjdzie, muszą Niemcy proch suchy trzymać, to jest powiększenie armii uchwalić — co było do dowiedzenia.

Jakiż tedy ostateczny wniosek z tych cyfr? Oto, że wojna jest niemożebna, ale tylko w takim razie, jeżeli Niemcy będą gotowe odbić skutecznie wszelkie zachcianki odwetowe ze strony Francyi, czyli gdy parlament uchwali pomnożenie armii na stopie pokojowéj *(Friedenspräsenz)*. Mając silniejszą niż dotychczas armią, Niemcy mogą zbrojną przewagą swoją albo niedopuścić wojny, albo na długie lata obezwładnić Francyą — a tymczasem nadejdzie pora: gdy narody europejskie, zapomniawszy wzajemnych nienawiści, poznają solidarność swoich interesów i ufając sobie wzajemnie więcéj niż dotychczas, same obniżą ciężary wojenne. Powyższe zatém cyfry dowiodły, jak mniema autor, że Niemcy mogą sobie pozwolić na powiększenie armii, gdyż zdolność ich podatkowa jeszcze nie jest tak wyczerpana, by nie mogła wytrzymać zwiększenia podatków o jakąś markę na głowę. Gdyby Niemcy nie chciały ponieść téj

drobnéj ofiary, to znaczyłoby, że wolą w razie przegranéj obciążyć swój budżet 600—800 milionami marek i tym sposobem do szczętu wyczerpać źródła podatkowe. Nareszcie, Niemcy i Austrya pod względem ilości sił zbrojnych nie są wcale górą nad Rosyą i Francyą i nie mogą dla siebie i Europy utrzymać pokoju, jeżeli armii nie powiększą.

Z powyższego widzimy, że Schäffle wcale dobrze spełnił obowiązki adwokata Bismarkowskiego, chociaż argumenta z cyfr zbudowane nie musiały trafiać do przekonania kanclerza, skoro szukał pomocy w Rzymie. Dla nas mają znaczenie już nie te specyalne interesa niemieckie, ile raczéj ta wiara autora w przyszłą solidarność interesów międzynarodowych, która ma uczynić wojnę niemożebną. Chciałoby się wierzyć proroctwu, a jednak mimowoli ogarnia ludzi sceptycyzm co do ustania kiedyś wojny. Gdyby to dyplomaci trzymający w ręku nici spraw publicznych oglądali się na sprawy ekonomiczne, na podatkowe źródła; gdyby narody i ich pedagodzy rządzili się rozumem nie namiętnościami — możeby wojny ustały. Jak obecnie rzeczy stoją, trudno żywić podobną nadzieję; militaryzm dzisiejszy, toczący jak rak narody europejskie, musi się rozbić o własne konsekwencye. Czy te konsekwencye są już tak niedalekie, jak zdaje się sądzić znakomity teoretyk niemiecki, nie chcemy rozstrzygać; warto przecież nad niemi pomyśléć.

Wiara w konieczność ustania wojen ożywia i drugiego ekonomistę, p. Molinarego. Argumenta jego lubo nie cyfrowe, są jednak logiczne i prowadzą do takich samych wniosków, jak i u Schäfflego. W bieżącym roku Molinari wydał dzieło pod tytułem *Les lois naturelles de l'économie politique*, gdzie między innemi rozważa także widoki przyszłych wojen. Zobaczmy jak on broni swojéj tezy.

Zważywszy nadzwyczajny rozrost uzbrojeń, do jakich doszły rządy cywilizowane w ostatnich zwłaszcza pięćdziesięciu latach, należałoby wnosić, że wracamy do stanu pierwotnego, do nieustającéj wojny wszystkich przeciw wszystkim. Nigdy w istocie, nawet w tych czasach, gdy państwa cywilizowane były zagrożone ciągłym najazdem barbarzyńców, środki obronne i zaczepne nie przybierały takich rozmiarów, jak za dni naszych. Dzisiaj nietylko wszyscy zdrowi mężczyźni obowiązani są do służby wojskowéj w państwach europejskich lądu stałego, kiedy w starożytności większa część ludności wolna od niéj była; ale doczekaliśmy tego, iż w słabe ręce dzieci dają broń, organizując tak zwane bataliony szkolne i przyzwyczajając je od najwcześniejszéj młodości do polowania na swoich bliźnich. Na wszystkich granicach jeżą się twierdze i obozy ufortyfikowane; rokrocznie miliony, ba nawet miliardy idą na udosko-

nalenie materyału wojennego w armii lądowéj i morskiéj. Zdawałoby się tedy, że wojna niedługo stanie się tém, czém była w wiekach barbarzyństwa, najszlachetniejszém zajęciem człowieka cywilizowanego i nieustającą troską narodów. Czém się jednakże dzieje, iż wojna wybucha tylko z przerwami, że się stała do tego stopnia niepopularną, iż profesorowie akademii wojskowych sami radzą narodom, by sobie tego zbytku, t. j. wielkiéj wojny rzadko pozwalały, tak np. co lat 15 lub 20? Czemu narody coraz bardziéj rujnują się na uzbrojenia, a z drugiéj strony coraz więcéj zwlekają termin ich użycia? Czemu przemysł dostarczający środków zniszczenia skazany jest na próżnowanie w ciągu długich przestanków, gdy tymczasem i oręż i żołnierz rdzewieją?

Zjawisko to wynika z dwóch przyczyn: pierwszą jest ta okoliczność, iż wojna stała się przemysłem *nieprodukcyjnym*; drugą, iż wojna coraz bardziéj zamienia się na nieszczęście międzynarodowe.

Po wszystkie czasy wojna prowadziła za sobą zniszczenie, upadek, lub co najmniéj osłabienie i zubożenie zwyciężonego, a zbogacenie zwycięzcy. W epoce, gdy pobudką do wojen było ludożerstwo lub łupiestwo, nabranie jeńców zamienianych w niewolników lub sprzedaż zwyciężonych, widziano w niéj obfite źródło korzyści dla zwycięzcy. Wojnie-to Rzym zawdzięczał swoje bogactwa i wielkość; żaden inny przemysł nie byłby mu tyle przyniósł.

Przeciwnie zaś teraz. Gdybyśmy zrobili obrachunek z wojen nowożytnych, przekonalibyśmy się, że kosztowały zwykle więcéj, niż przynosiły zysku zwycięzcy; że obie strony zamykają swój bilans ze stratami; słowem, że wojna przestała być produkcyjną. Pochodzi to ztąd, że walczący używają teraz środków bardziéj udoskonalonych, ale i kosztowniejszych, nie zmniejszając ilości wojowników; dlatego téż wojna drożéj ich kosztuje, gdy tymczasem dochody na pokrycie tych kosztów maleją: nie można przecież w obecnym stanie cywilizacyi pożerać zwyciężonych, zamieniać ich w niewolników, lub tak bez ceremonii dóbr ich konfiskować, jak się to dawniéj praktykowało. Co najwyżéj, można ich obłożyć kontrybucyą, lub zabrać kawał ziemi. Tak Niemcy zabrały Francyi po wojnie 1870 Alzacyą i część Lotaryngii, a oprócz tego kontrybucyą w ilości 5 miliardów fr. Korzyści te zdają się być na pierwszy rzut oka dostatecznym zyskiem z produkcyi wojennéj. Ale gdy weźmiemy na uwagę cały naród niemiecki, możnaż powiedzieć, że ta zdobycz terytoryalna i ta kontrybucya równają się ofiarom i stratom, jakie poniósł przez wojnę z r. 1870, nie licząc tego, co go jeszcze będzie kosztowała? Przyłączenie Alzacyi i Lotaryngii wyszło na korzyść tylko biurokracyi, zwiększyło bowiem targowisko dla nie-

mieckich urzędników; za to znów wystąpili z nimi do konkurencyi Alzato-Lotaryńczycy, dla których się zamknęły posady we Francyi. Alboż ogół narodu niemieckiego skorzystał wiele z kontrybucyi 5 miliardowéj? Czyż ją rozdzielono słusznie między wszystkich co brali udział w wojnie, lub którzy opłacili ją cierpieniami? Albo może posłużyła do ulżenia podatków? Wiadomo, że inaczéj jéj użyto, a tymczasem wzrosła obawa odwetu ze strony Francyi, zkąd znów nowe ciężary spadły na niemieckich kontrybuentów. Zróbmy podobny obrachunek ze wszystkich wojen nowożytnych a przekonamy się, że żadna nie zbogaciła zwycięzców.

Daléj, wojna stając się nieprodukcyjną, przybierała coraz bardziéj charakter nieszczęścia międzynarodowego. Z początku niedole idące w ślad za wojną, jako-to: śmierć ludzi, zniszczenie własności, przerwy w pracach produkcyjnych i handlu, ograniczały się do niewielkiéj przestrzeni. Nietylko stan wojenny prawie nieustający między gromadami ludzkiemi utrudniał wymianę produktów wewnątrz kraju, a handel zagraniczny czynił żadnym, lub mało znaczącym; ale prócz tego wadliwość lub zupełny brak środków komunikacyjnych nie pozwalały na jego rozwinięcie. Gdy w takich warunkach wybuchła wojna, szkody przez nią zrządzone nie przekraczały zwykle granic, wśród których się toczyła. Zniszczono kilka powiatów, ale reszta kraju nie odczuwała tego, a jeszcze mniéj inne narody. Lecz gdy bezpieczeństwo wzrosło, gdy się środki komunikacyjne rozwinęły i udoskonaliły, gdy przemysł spotężniał, a handel stał się międzynarodowym, zmieniło się téż położenie: wojna przestała być nieszczęściem miejscowém, zamieniła się na powszechne. Trzeba téż dodać, że narody najbardziéj ucywilizowane głównie odczuwają to nieszczęście, gdyż są ściśléj ze sobą interesami związane. Podczas wojny w Unii amerykańskiéj, gdy się Stany południowe chciały oderwać od północnych, fabryki europejskie przerabiające bawełnę znalazły się nagle pozbawione materyału do przeróbki i póki zwiększona uprawa bawełny w Indyach, Egipcie i Brazylii, nie zasiliła targów, tysiące robotników ujrzało się bez roboty i spadło na barki dobroczynności publicznéj. Po skończonéj wojnie nastąpiło drugie przesilenie spowodowane koniecznością zmniejszenia produkcyi bawełny w owych krajach. Tym sposobem wojny teraźniejsze pociągają za sobą nietylko szkody bezpośrednie w miejscach gdzie się toczą, lecz sprawiają nadto szkody pośrednie odbijające się w całym świecie handlowym.

Szkody pośrednie, o jakich mowa, są rozmaitego rodzaju; spadają one wprost, lub drogą reperkusyi, na wszystkie narody w handlu powszechnym udział biorące, na wszystkie warstwy społeczeń-

stwa aż do robotnika żyjącego z dnia na dzień, owocem swojéj pracy. Gdy nadto rozważymy, że handel międzynarodowy, pomimo wszelkich przeszkód, ciągle wzrasta, przekonamy się, iż wojna będzie coraz bardziéj przybierała charakter nieszczęścia międzynarodowego. Tak np. blizko 4 miliony Francuzów zawisło dziś wprost od zagranicy co do swojego utrzymania; tymczasem przed laty 50, ledwie pół miliona było w tém położeniu. Przypuściwszy że za lat 50 obecna liczba tylko się podwoi, wowczas wojna, którąby przerwała handlowe stosunki Francyi z zagranicą, przyniosłaby ludności produkującéj artykuły wywozowe, jak niemniéj takiéjże ludności obcéj produkującéj artykuły wwożone do Francyi, szkody tak olbrzymie, iż trudno sobie wyobrazić, jakby ją zdołano przetrzymać.

Tym-to nadzwyczajnym szkodom sprawianym przez wojnę należy przypisać coraz głębszy i powszechniejszy wstręt do niéj pośród ludności oddanéj pracom produkcyjnym, jak niemniéj pewnemu postępowi w prawie narodów odnośnie do handlu morskiego. Prawo to wymaga nagrodzenia szkód zrządzonych przez wojnę. Chociaż bowiem nie można dwóm narodom zostającym w sporze odmawiać prawa zmierzenia się w wojnie i wyrządzenia sobie nawzajem szkód za nią idących; można za to odmówić im bezwarunkowo prawa wyrządzania szkód innym i domagać się ich nagrodzenia. W istocie, prawo narodów uznaje, w razie wojny a nawet rewolucyi, potrzebę indemnizacyi za szkody bezpośrednie sprawione cudzoziemcom. Gdy tę zasadę zastosują i do szkód pośrednich żaden naród nie będzie tak bogaty, by sobie mógł pozwolić na taki zbytek, jak wojna.

Jeżeli wszakże wojna staje się coraz mniéj produkcyjną i coraz większém nieszczęściem międzynarodowém, czém sobie objaśnić że narody cywilizowane coraz więcéj się zbroją? Zjawisko to znajduje swoje objaśnienie w przeciwieństwie interesów, zachodzącém między klasami rządzącemi a rządzonemi odnośnie wojny i pokoju. Klasy rządzące widzą swój interes w ciągłém powiększaniu wydatków publicznych, tym bowiem sposobem znajdują w płatnych urzędach hierarchii wojskowéj i cywilnéj ujście dla swoich synów. Pod wpływem osobistego interesu pragną to targowisko rozszerzyć. Dzięki przeważnemu wpływowi jaki im zapewnia pozycya i wyższość umysłowa, wmawiają w masy narodu, iż bezpieczeństwo jego wymaga niebywałych przygotowań wojennych. Przedstawiają mu inne narody, jako barbarzyńców gotowych ciągle do najścia i łupiestwa, albo jako zazdrosnych, niechcących uznać cudzéj wyższości wrogów, którzy czyhają na pozbawienie go wpływu i sławy. Jeżeli naród odniósł zwycięstwo w poprzedniéj wojnie, czyż nie powinien być gotów do odparcia spodziewanego odwetu?

Jeżeli, przeciwnie, został pobity, nie powinien-że czuwać nad swojém bezpieczeństwem i gotować się do odwetu?

Ludzie, dla których wojna jest rzemiosłem—oczywiście nie żołnierze zapełniający szeregi, lecz hierarchia, któréj wojna daje pole do awansu—ludzie ci ze wszystkich sił do niéj popychają. Jakoż, zdarza się pożądana okazya—wojna już wisi na włosku. Ale wnet też interesa przez nią zagrożone podnoszą alarm i całą swoją siłą popychają w stronę pokoju; rodziny dostarczające mięsa dla armat, przychodzą im w pomoc; rządy zaczynają się wahać, mija moment psychologiczny— pokój utrzymano. Zaczyna się dalsze zbrojenie w przewidywaniu przyszłéj wojny, tym razem już niechybnéj.

Nazywają zwykle utopistami ludzi wierzących w nastanie wiecznego pokoju. Jeżeli jednak zważymy drogę, jaką przebyła cywilizacya i stan, do jakiego ludy doprowadziła; należałoby raczéj utopistami nazwać umysły zacofane, wierzące, iż wojna trwać będzie wiecznie.

Tak o wojnie rozumuje stary ekonomista szkoły liberalnéj. Uwagom jego trudno odmówić słuszności; a swoją drogą, zarówno on jak i Schäffle przewidując coraz mniejsze prawdopodobieństwo wojny, a z czasem może zupełne jéj ustanie—biorą za argument jedynie względy ekonomiczne: coraz większe wyczerpanie środków materyalnych, pochłanianych przez kolosalne uzbrojenia, coraz kosztowniejsze narzędzia zniszczenia a ztąd niemożność podołania przez kontrybuentów—kosztom, zaspakajanym ostatecznie z podatków. Zapominają wszakże ekonomiści o innych momentach działających w człowieku nawet cywilizowanym, o tych pobudkach antyspołecznych grających w duszy dzisiejszych ludzi, choćby opatrzonych w dyplomy doktorskie. Przez pokost cywilizacyi, wygląda jeszcze stary barbarzyniec, ludożerca gotów w zapale, czy w fanatyzmie, jeżeli nie literalnie zjeść nieprzyjaciela, to zawsze uczynić go nieszkodliwym, to jest obłupić ze skóry.

Jeżeli do dziśdnia ludy cywilizowane, chrześciańskie mogą, w razie wybuchłéj między nimi wojny, zanosić modły do tego samego Boga o powodzenie swojego oręża, to jest ostatecznie o jak największe szkodzenie przeciwnikowi; jeżeli sumą zabitych i wielkością zniszczenia mierzą zasługi bohaterów: to oczywiście barbarzyństwo takie nietylko świadczy o dziwnie skrzywionych pojęciach religijnych, ale razem nie pozwala długo jeszcze spodziewać się ustania wojen na świecie.

Stosując jaknajopaczniéj hipotezę ewolucyjną Darwina do gromad ludzkich i życia społecznego, teoretycy widzą w tak zwanéj walce o byt, zasadę do usprawiedliwiania wojny; mającéj decydo-

wać, które organizmy narodowe są uprawnione do życia, a które są skazane na zagładę i pochłonięcie przez grube ryby. Jeżeli profesorowie uniwersytetów, uczeni *Staatslehrer* starają się przekonać prostaczków, iż wojna była od początku i będzie do końca świata jedynym sądem bożym, nie znającym apelacyi; jedyną szkołą cnót mezkich, broniącą narody od skarłowacenia, zgoła instytucyą (!) opatrznościową (!); to nic dziwnego, że są utopiści, sceptycy nie obiecujący sobie ustania kiedykolwiek wojen.

Niemniéj, przyglądając się prasie, jak ją ogarnia rozpacz, gdy nie widzi „czarnych punktów“ na horyzoncie politycznym; jak się zmniejsza liczba prenumeratorów, gdy dzienniki nie dmą w surmę wojenną; trzeba wątpić i o zachwalanéj naszéj cywilizacyi i razem przyjść do przekonania, że dziki człowiek siedzi jeszcze w skórze dzisiejszych najucywilizowańszych narodów, i nie tak łatwo porzuci wojnę, chociażby mu dowiedziono, że ten przysmak coraz drożéj kosztuje, że ta zabawa jest „nieprodukcyjną i coraz większém nieszczęściem międzynarodowém.“ Jest to fakt historycznie dowiedziony, że jedna wojna rodzi drugą; że każda z nich zostawia spory niezałatwione, krzywdy nienagrodzone, interesa ekonomiczne i moralne pogwałcone, nienawiści międzynarodowe i rasowe zażegnięte: słowem, materyał do nowych zapasów.

Jedyna nadzieja przyjaciół wiecznego pokoju leży w *niemocy* chętnych zawsze do boju pokostowanych dzikich: gdy się militaryzm rozbije o własne konsekwencye, gdy wyssie wszystkie źródła ekonomiczne, gdy nie będzie mógł budować dział rzucających pociski ważące po 2000 funtów, a pancerników pokrytych blachą grubą na 24 cale; gdy nareszcie środki zniszczenia dojdą kresu doskonałości—wtedy niemoc materyalna przetnie lub bardzo ograniczy wojny, nauczy ludzi cnoty z musu. Tymczasem człowiek o tyle się udoskonali umysłowo i moralnie, że ze zgrozą będą opowiadali starzy młodszym o czasach, w których stało po kilka milionów żołnierzy pod bronią gotowych do dzikiego tańca. Może i to utopia.

K.



LISTY CZESKIE.

XV.

Naród czeski ma w dzisiejszych czasach dwóch wrogów do zwalczenia, lub przynajmniéj do zwycięskiego odparcia, jeżeli chce zabezpieczyć i utrwalić swoje istnienie: jednego zewnętrznego, drugiego wewnętrznego. Zewnętrznym wrogiem są szowiniści niemieccy, wewnętrznym—narodowi pesymiści, i charakterystycznym zaiste jest objawem, że zarówno jedni jak drudzy odmawiają narodowi czeskiemu wszelkiego prawa bytu, gdy tymczasem ów naród czeski faktycznie z każdym dniem staje na coraz pewniejszym gruncie politycznym i społecznym i w swojém mniemaniu dąży do pomyślnéj pod każdym względem przyszłości. *Qui vivra, verra!*

Nasi krańcowi narodowcy niemieccy, mimo niepowodzeń w walce narodowéj przeciw tak bardzo niewygodnym dla siebie Czechom, a może właściwie z powodu tych niepowodzeń, doszli do takiego rozgoryczenia, do takiego narodowego fanatyzmu, że teraz już, przy każdéj sposobności, rzucają nam w twarz bez żadnéj ceremoni groźbę: *Musimy was wytępić i wytępimy.* Ponieważ wytępienie całego narodu jest już rzeczą zdecydowaną, więc dla każdego prawdziwego Niemca systematyczne gnębienie, gdzie i jak tylko się da, pojedyńczych Czechów stało się najświętszym obowiązkiem narodowym. Naturalnie wymordować całkiem Czechów w téj chwili jest niemożliwością; odkłada się to aż do wybuchu wielkiego boju sławiańsko-germańskiego, „którego pierwszą ofiarą (jak to już dziś słyszymy) paść musi naród czeski; zetrą go między sobą niby dwa młyńskie kamienie germanizm i słowianizm, resztki zaś wchłonie w siebie niewątpliwie zwycięski germanizm.“ Tak pisze recheinberska „Gazeta ludowa niemiecka“ z dnia 4 marca 1887 r., a d-r Knotz, najgło-

śniejszy przedstawiciel krańcowo niemieckiego szowinizmu, wypowiedział to wszystko nierównie wyraźniéj w izbie poselskiéj w Wiedniu 5 maja r. b. Niektóre ustępy z jego mowy zasługują na przytoczenie, bo są autentycznym wykładem poglądów naszych krańcowych liberałów niemieckich. Knotz mówił między innemi:

„W walce narodowéj, toczącéj się obecnie w Czechach, chodzi nie o równouprawnienie, ale o to, kto w tym kraju ma być panem, kto uciśnionym, kto zwycięscą, kto pokonanym. W państwie jeden tylko naród może być panującym—mniejsze narodowości muszą się poddać większéj. Musi wreszcie i z téj strony Litawy przyjść do rozstrzygnięcia kwestyi, czy Niemcy, czy téż Słowianie mają miéć przewagę — i sądzę, że to rozstrzygnięcie może wypaść tylko na korzyść Niemców. W takich warunkach jedynym środkiem przywrócenia trwałego stanu rzeczy, jest wyodrębnienie Galicyi i Dalmacyi, zjednoczenie dawnych krajów rzeszy niemieckiéj w jeden spoisty organizm, *któryby znalazł silne oparcie w zabezpieczonym politycznie stosunku do pokrewnego pod względem plemiennym cesarstwa niemieckiego.*

„Pokój może zapanować w Czechii dopiéro wtedy, kiedy Czechy przyjdą do tego przeświadczenia. Kwestya czeska jest przedewszystkiém kwestyą niemiecką i jeżeli tak daléj pójdzie, stanie się dla Niemiec najbliższą sercu sprawą, jak niegdyś kwestya szlezwicko-holsztyńska.

„Niemiecka Austrya a z nią Czechy i Morawia należały niegdyś do cesarstwa niemieckiego i tylko przez Niemcy do Austryi przeszły. Prawo historyczne narodu niemieckiego do Czechii i Moraw jest starsze, niż mgliste prawa polityczne Czech. Austrya wykrojona jest z niemieckiego ciała i ma posłannictwo wnosić kulturę niemiecką na południowo-wschodnie kresy. Do niemieckiéj Austryi zostały dopiéro wcielone inne nie-niemieckie kraje. Obecny system zdaje się zrywać z dawnemi tradycyami; na miejsce niemieckiéj Austryi ma wystąpić Austrya słowiańska. Wątpię, ażeby ten zmurszały, popękany gmach państwowy mógł znieść taką zamianę fundamentów, i lękam się, ażeby przy takiém zachwianiu ich, gruzy budowli nie zasypały nieszczęsnego budowniczego.

„W czasie, kiedy zasady narodowości coraz większe zdobywają sobie prawa, kiedy narody coraz ściśléj około siebie się grupują, państwo, tak pstro-różnolite jak Austrya, ma za zadanie zaspakajać przedewszystkiém te narodowości, które są częścią składową wielkiego potężnego na cały świat narodu, a takiemi częściami są w Przedlitawii wyłącznie Niemcy i Włosi. Dzisiejszy prezes ministrów szuka oparcia w Czechach i Słoweńcach i oddaje Włochów

na ofiarę brutalności słowiańskiéj, a Niemców na pastwę czeskich gwałtów. Jest-to największa sprzeczność między zewnętrzną i wewnętrzną polityką.

„Gdyby nawet na zewnętrzną politykę Niemiec nie działały tak silne wpływy tamtejszéj opinii publicznéj, to nieinniéj należy uwzględnić, że nasi plemienni bracia coraz silniéj odczuwać zaczynają cierpienia nasze i dochodzą do coraz jaśniejszego przeświadczenia, że pod względem narodowym do nas należą, że my jesteśmy ciałem ich ciała, kością ich kości i że wielki naród niemiecki nie może obojętnie patrzéć na jakie przemoce sławiańskie jesteśmy narażeni, my, mieszkańcy staréj Marchii wschodniéj.

„Niemcy święciły już swoje narodowe odrodzenie, naszém zadaniem jest również pracować nad narodowém odrodzeniem i opóźnienie w pochodzie cywilizacyjnym wynagrodzić. *Przestaliśmy być czynnikiem decydującym w życiu państwowém.* Siła rzeczy powróciła nareszcie nas narodowców samym sobie i *dziś już powinniśmy tylko troszczyć się o nasze własne sprawy.* Zadanie to spełniać będziemy gorliwie, ożywieni niepodzielną miłością dla naszego narodu i silni przeświadczeniem, *że stanowimy część wielkiego organizmu niemieckiego, który na długo wyrzec się nas nie może.*

„Sąd historyi wyrzecze kiedyś wyrok na *przemoc, jaką Niemcy cierpiéć muszą w Austryi*; tymczasem jednak, kiedy patrzę na bezsilny stan odrętwiałego państwa nad Dunajem, przypominam sobie odezwanie się posła saskiego przy dworze wiedeńskim w 1848 roku hr. Vitzthum. (Nadmienić tu wypada, że wtedy w pewnych dworskich sferach austryackich nazywano Austryą „Franciskerl"). Hrabia Vitzthum powiedział tedy:

— Mnie tylko jedna myśl utrzymuje, że skoro już ten dogorywający „Franciskerl" musi się rozsypać, to przynajmniéj popioły jego powinny umierzwić niemiecką rolę."

Trudno wyrazić się jaśniéj, a jeżeli *clara pacta* mogą być uważane za cenną korzyść — to nie ulega wątpliwości, że w ostatnich czasach zdobyliśmy tę korzyść nad naszymi narodowymi wrogami niemieckimi: wiemy dokładnie czego chcą i na jakich nogach stoimy? Muszę tu jednak zastrzedz, że przez niemieckich wrogów narodowych rozumiem krańcowych narodowców, w których imieniu d-r Knotz przemawiał w izbie poselskiéj i że ta krańcowo-narodowa partya niemiecka bynajmniéj nie ogarnia wszystkich Niemców w Czechach i w pozostałych krajach austryackich. We wszystkich tych krajach naprzeciw krańcowo-niemieckiéj partyi stoi stronnictwo niemiecko - austryackie, wrogo dla Słowian nie usposobione, a w samych Czechach, nie tylko w Pradze ale w miastach niemiec-

kich, szczególniéj zaś wśród niemieckiéj ludności wiejskiéj, znajduje się bardzo wielu Niemców, którzy nie podzielają poglądów d-ra Knotza i po pierwsze: wierni są Austryi, a po drugie: nie uważają nienawiści dla Słowian za pierwszą i najwyższą cnotę narodową Niemca. Ponieważ zaś stronnictwa umiarkowane w czasach burzliwych zwykle spokojniéj się zachowują i nie tak hałaśliwie a demonstracyjnie występują jak partye krańcowe, które znów doskonale wyzyskując prawo o zgromadzeniach, umieją przedstawić się wszędzie za wyłącznie ton nadające i nie cofną się przed żadnym środkiem wywierania teroryzmu stronniczego, nie można przeto zaprzeczyć, że partya krańcowo-narodowa w niemieckich okolicach Czech panuje nad życiem publicznéni i kierunek mu nadaje.

Z tego powodu program polityczny téj partyi, wypowiedziany tak bez ceremonii przez d-ra Knotza, zasługuje na uwagę nie tylko naszą ale i rządu austryackiego. Według owego programu, dla prawdziwego Niemca Austrya nie ma właściwie żadnego znaczenia; zmurszałe resztki tego państwa, popioły, jak mówi hr. Vitzthum, przeznaczone są tylko do użyźnienia gruntu cesarstwa niemieckiego, w tym celu naturalnie, aby z austryackiéj zgnilizny wykwitło nowe życie niemieckie. Jakkolwiek d-r Knotz wyraźnie tego nie powiedział, można jednak przypuścić, że Niemcy w Austryi nie zgniją, ani w popiół się nie obrócą, lecz że piękny los przekształcenia się na niemiecką mierzwę przeznaczony jest tylko nie-niemieckim narodom w Austryi, z wyjątkiem Włochów, którym d-r Knotz wspaniałomyślnie przebacza. Jako pierwszy i najważniejszy przedmiot do wytępienia, jako kandydatów, przeznaczonych *primo-loco* przez opatrzność niemiecką na metamorfozę w niemiecki nawóz, skazuje naturalnie ten program Czechów w Czechii i na Morawach. Z takiego stanowiska, narodowe, a broń Boże polityczne równouprawnienie Niemców i Czechów jest naturalnie olbrzymią niedorzecznością i ciężką obrazą niemieckiego narodu kulturowego. „Tak zwana czeska kwestya jest kwestyą czysto niemiecką“, to znaczy, że w téj sprawie mają być uwzględniane nie czeskie ale niemieckie interesa i pragnienia. „Krwią i żelazem“ załatwiona téż musi być i czeska kwestya, mówi Knotz, i wskazuje najkrótszą drogę, na któréj możnaby pozbyć się niewygodnych Czechów. Gdyby nawet nie brać téj groźby zupełnie literalnie, to jednak w programacie krańcowych narodowców niemieckich powiedziano otwarcie, że im Czechy bardzo w drogę wchodzą, że zatém należy usunąć tę przeszkodę tamującą pożądany rozwój niemczyzny.

Tymczasowo, aż do chwili kiedy nareszcie „krew i żelazo“ całą sprawę ostatecznie ureguluje, czyli, inaczéj mówiąc, do czasu,

kiedy dwa kamienie młyńskie będą mogły dokonać koniecznego zmiażdżenia wszystkich Czechów, Niemcy mają, według wspomnianego programu, być nieograniczonymi panami w Czechach i w Morawii, od ich łaski i miłosierdzia zależyć będzie pozwolenie Czechom na wegetowanie jeszcze czas jakiś, dopóki nie znajdą się stosowne środki do postawienia ich na etacie wymarcia. Te środki są już po części proponowane i wcale nie źle pomyślane. Przedewszystkiém na porządku dziennym żądań narodowców niemieckich stoi polityczne i administracyjne *rozpołowienie Czechii.*

Ten podział Czechii na jedną część niemiecką i na drugą, która tymczasowo z nazwy przynajmniéj ma być czeską, zamierzają Niemcy w następujący sposób przeprowadzić.

W niemieckiéj części wszystko ma być bezwarunkowo niemieckiém: w urzędzie, w szkole, w sądach, w kościele będzie panował jedynie język niemiecki; czeski nie powinien być cierpiany nawet w zebraniach towarzyskich; wogóle Czesi nie będą cierpiani w niemieckiéj części Czechii, prawo zaś wolnego przesiedlania się ograniczone będzie dla Czechów w ten sposób, że Niemcom ma być wolno przesiedlać się z niemieckiéj Czechii do czeskiéj części kraju — ale Czechom będzie wzbronioném osiedlanie się w części niemieckiéj: siła rozprężliwości żywiołu niemieckiego nie może być niczém ograniczona, w przeciwnym razie możnaby zamierzonego celu nie osiągnąć.

W czeskiéj części kraju język niemiecki znalazłby najobszerniejsze zastosowanie jako język państwowy w urzędzie, w szkole, w sądach i wogóle w życiu publiczném. Tam musiałoby panować nietylko zupełne równouprawnienie żywiołów niemieckiego i słowiańskiego, ale uwydatnić się powinna niczém nieuszczuplona i w całém państwie „za zasadniczą uznana,“ uprzewilejowana pozycya Niemców, któréj najważniejszym punktem, jest, jak już wyżéj powiedziano, prawo przesiedlania się Niemców do czeskiej części kraju.

Tym sposobem Czesi byliby zaciśnięci w swoim wyłącznie terytoryum językowém, jak w zakładzie karnym, i tam albo udusiliby się we własnym tłuszczu, albo musieliby uledz sile rozprężliwości żywiołu niemieckiego.

Taka jest w krótkości treść programatu działania naszych krańcowych narodowców niemieckich. Rząd nie okazuje dotychczas żadnéj skłonności do popierania tych planów i dążeń, z tego zapewne powodu, że jest bądź-co-bądź rządem austryackim i nie może pracować nad całkowitém lub choćby tylko częściowém rozpłynięciem się monarchii austryackiéj w cesarstwie niemieckiém. A kiedy się

weźmie na uwagę, że kwestya czeska, t. j. spór narodowości między Niemcami a Czechami w Czechii stoi ciągle na pierwszym planie wszystkich politycznych rozpraw w Austryi, nie można opędzić się myśli, że zarówno rządowi jak dynastyi byłoby najprzyjemniéj, gdyby Czechia i Morawia, słowiańskie ze względu na znaczną większość ludności (w pierwszym kraju $^2/_3$ Słowian, $^1/_3$ Niemców, w drugim $^3/_4$ Słowian, $^1/_4$ Niemców), były na wskróś słowiańskiemi od jednéj granicy do drugiéj. Tak jednak nie jest i zapewne żadnemu rozsądnemu człowiekowi nie przyjdzie do głowy, mieszkających tam Niemców przerabiać na Słowian. Jesteśmy więc, z najgłębszego przekonania o niecofnionéj konieczności takiego rozstrzygnięcia sporu i bez żadnych tajonych chętek słowiańskiéj propagandy, za uczciwém przeprowadzeniem równouprawnienia obu w Czechii mieszkających narodów.

Wiedzą o tém Niemcy i popełniają tendencyjną niesprawiedliwość, kiedy dla podburzenia przeciw nam swoich ziomków i utrzymywania ich w kraju w potrzebnym stanie rozdrażnienia, mówią ustawicznie na wszelkie tony o grożącém „czechizowaniu", lub téż o gwałtach, jakie Niemcy znosić muszą w Austryi ze strony Słowian. Gdyby rzecz cała nie była tak poważną, możnaby właściwie śmiać się serdecznie z rozmaitych manewrów, używanych przez Niemców w celu poniżenia Czechów w oczach cywilizowanego świata. Elukubracye dzienników niemieckich w Czechach robią w tym kierunku swoje i wzbogacają literaturę niemiecką produktami, z których naród niemiecki nie ma się co chełpić.

Mówiłem już raz o tém, jak łatwo jest nieukształconych ludzi do bezgranicznéj dzikości przeciw innym podniecić, jeżeli im się tylko podda myśl, że stoją wyżéj o całe niebo od tamtych i że mogą sobie wszystkiego pozwolić względem niżéj od nich stojących. Ciągłe prawienie o niemieckiéj wyższości a słowiańskiéj niższości nie mogło naturalnie pozostać bez skutku wśród niemieckiéj ludności Czechii, zwłaszcza że natura ludzka potrzebuje do zaspokojenia swoich nieszlachetnych popędów przedmiotu, któryby mogła nienawidzieć. Niemiec czeski, niezbyt wysoko pod względem umysłowym posunięty, ma tu sobie ustawicznie wskazywany taki przedmiot, do którego nienawiść przedstawia się jako postulat prawdziwie niemieckiego usposobienia; nikogo to więc dziwić nie powinno, że w masach niemieckiéj ludności w Czechii nienawiść do Czechów doszła do zastanawiającego stopnia.

Przytoczę tu jeden tylko przykład, z którego okaże się dowodnie, jak się objawia w życiu praktyczném ta nienawiść do Czechów.

W znanéj dobrze miejscowości kąpielowéj, Teplicach, na 47535 mieszkańców przypada 2476 Czechów (1). Jakkolwiek prawo o szkołach ludowych domaga się założenia szkoły dla 40 podlegających obowiązkowemu nauczaniu, niemieckie miasta w Czechii odmawiają systematycznie otwierania szkół czeskich dla dzieci czeskich mieszkańców. Stowarzyszenie szkolne czeskie (*Ustředni matice školská*) uważa za swoje zadanie otwierać w takich miastach szkoły prywatne na swój koszt. Przeciwko temu agitują naturalnie Niemcy wszelkiemi możliwemi środkami, ponieważ najprzód istnienie szkoły czeskiéj podaje w wątpliwość rzekomy „rdzennie niemiecki“ charakter danego miasta, a powtóre gmina niemiecka lęka się, żeby późniéj nie była zmuszoną do utrzymywania szkoły czeskiéj z funduszów gminnych.

W Teplicach istnieje od wielu lat szkoła czeska, założona i utrzymywana przez *Ustředni matice školská.* Rodzice posyłający

---

(1) D-r Edw. Herbst: „Das deutsche Sprachgebiet in Böhmen.“ Praga 1887. Przytoczona tu jako źródło broszura przywódcy niemieckiego stronnictwa, d-ra Herbsta, jest naturalnie pismem stronniczém niemieckiém, co bynajmniéj nie znaczy, ażeby zawarte w niéj dane miały być dowolnemi zmyśleniami. D-r Herbst posiada do swoich cyfr źródła urzędowe, mianowicie konskrypcyą z 1880 r. Istniała w ówczesnych listach popisowych tendencyjnie przez niemiecko-narodowe ministeryum Auersperga wymyślona rubryka: *język używany*, która specyalnie miała służyć do zmniejszenia liczby Czechów osiadłych w Czechii i Morawii, w ten sposób, że wmawiano w nich, iż nie potrzebują podawać swojéj narodowości, lecz tylko język pospolicie używany, którym naturalnie w miejscowości zamieszkałéj przez Niemców musiał być niemiecki. Mimo to mówiono wtedy na podstawie tak sporządzonych list konskrypcyjnych i mówi się dziś jeszcze (czyni to i d-r Herbst w swéj broszurze): „w takiém a takiém mieście niemieckiém mieszka tylu a tylu Niemców i tylu a tylu Czechów. Jeżeli zatém w Teplicach np. mimo wszelkich wysiłków zredukowania do minimum liczby mieszkańców używających języka czeskiego, listy konskrypcyjne z 1880 r. wykazują cyfrę 2476 takich mieszkańców, to każdy bezstronny człowiek musi z góry dojść do przekonania, że nie jest-to dokładna cyfra. W 1883 r. założyła „Macierz szkolna“ w Teplicach szkołę ludową 5-klasową. W 1885 r. uczęszczało już do niéj 547 dzieci, która to cyfra wzrosła w 1886 r. do 628, a w 1887 przewyższyła liczbę 700. W téj ilości 315 przypada na miejscowość kąpielową Teplitz-Schönau; reszta pochodzi z okolic, gdzie nie istnieją szkoły ludowe czeskie. Według zwykłego obliczenia (10 procent liczby mieszkańców stanowią dzieci szkolne), możnaby na podstawie 315 dzieci czeskich uczęszczających do szkoły liczbę Czechów mieszkających w Töplitz-Schönau oznaczyć na 3000. Wiadomo jednak, że około 200 dzieci czeskich chodzi w Teplicach do szkół niemieckich,—cyfra przeto mieszkających w Teplitz-Schönau Czechów dochodziłaby do 5000. — 27-go stycznia 1886 r. mieszkańcy kąpielowéj miejscowości Teplice podali prośbę do rady szkolnéj krajowéj o założenie w tém mieście czeskiéj szkoły ludowéj, na utrzymanie któréj łożyłaby naturalnie gmina miejska. Tu nastąpiły opisane wyżéj prześladowania i ucisk czeskich rodziców w celu zredukowania liczby czeskich dzieci, mających prawo do korzystania ze szkoły czeskiéj, niżéj ustanowionego prawnie minimum 40. Władze szkolne nie dały jeszcze w téj sprawie żadnéj odpowiedzi.

dzieci do téj szkoły należą po większéj części do klasy rzemieślniczéj i roboczéj. Otóż w celu zmuszenia tych rodzin, żeby dzieci nie posyłały do szkoły czeskiéj, władza gminna i ludność niemiecka rozpoczęły systematyczne przeciw nim prześladowania. Gospodarze domów takim proskrybowanym winni wymawiać mieszkania; fabrykanci i pracodawcy muszą opornym rodzicom odmawiać pracy, kupcy nie dawać im kredytu, dopóki nie wykażą, że ich dzieci uczęszczają do szkoły niemieckiéj. Pewien doktór L. publicznie oświadczył, że tepliccy Czesi wtedy dopiéro uwolnią się od tego prześladowania, kiedy wyrzekną się żądania szkoły czeskiéj, a odpowiednia deklaracya krąży od domu do domu i podawana jest do podpisu właścicielom domów i kupcom. Tak chce stowarzyszenie niemieckie narodowe, ogarniające wszystko swoim teroryzmem. Trzech prześladowanych w ten sposób Czechów przedsięwzięło podróż do Pragi i 13-go kwietnia na posłuchaniu u namiestnika Czech, barona Krausa zaniosło skargę na te trudne już do zniesienia stosunki. Namiestnik przyrzekł, że *według możności* będzie się starał temu zaradzić. Gdyby się okazało, że zaradzenie przez organa rządowe *jest niemożliwém*, to widocznie rzeczy u nas w Czechach tak stoją, że radykalne środki są naglące potrzebne. Zresztą każdy nieuprzedzony czytelnik musiał i tak już dojść do przekonania, że stosunki publiczne w Czechach ułożyły się tak, jak nie powinny się układać w prawidłowo prowadzonéj gospodarce państwowéj.

Rząd austryacki znajduje się w tak zwanéj przymusowéj pozycyi i w swojéj wewnętrznéj polityce nie ma dotąd swobody ruchów. Względy na potężnego sąsiada niemieckiego wywierają tu zawsze bardzo znaczne wpływy. Kiedy w 1871 r. po rozwianiu się dla Austryi wszelkiéj nadziei odzyskania w Niemczech jakiejkolwiek ważniejszéj pozycyi, zamierzono radykalną zmianę w wewnętrznéj polityce i w tym celu postawiono u steru przyjazny Słowianom gabinet Hohenwartha, wiadomy był prawie powszechnie wpływ dworu berlińskiego, który spowodował upadek ministeryum po dziewięciomiesięczném zaledwie jego trwaniu i przywrócenie rządu stronnictwa niemiecko-narodowego. W 1879 r. ks. Bismarck był w Wiedniu; czasy i poglądy zmieniły się nieco. Widocznie w Berlinie zrodziło się przekonanie, że niepodobném jest, że nawet może być szkodliwém przekształcanie Austryi gwałtem na państwo narodowo-niemieckie. Poczęły się nowe kombinacye, które umożliwiły utworzenie gabinetu Taafego, przynajmniéj nie wrogo usposobionego dla żywiołów słowiańskich. Ale to ministeryum musi bardzo troskliwie baczyć, aby Niemcy austryaccy nie mieli usprawiedliwionych powodów do takich skarg i użalań, któreby dwór berliński mógł

przyjąć za dowody ucisku żywiołu niemieckiego. Ministeryum Taafego może więc swój program, zawarty w słowach: „Austrya będzie bezpiecznem schronieniem i ostoją dla wszystkich swoich ludów", tak starać się przeprowadzać, aby systematyczny ucisk i germanizacya ludów nie-niemieckich nie były uważane za najwyższy postulat jego zdolności do rządzenia,—ale też nie może stanowczo występować przeciwko Niemcom we wszystkiém tém, co uważają oni za stosowne i konieczne dla obrony swojéj zakwestyonowanéj hegemonii.

Kiedy więc chodzi o zasłonięcie Czechów od narodowych zapędów Niemców w Czechii, ministeryum znajduje się w pewnym kłopocie—dla tego téż wątpić można, czy władze rządowe pomogą cokolwiek uciśnionym Czechom w Teplicach. Przeciwnie, gdyby coś podobnego zdarzyło się Niemcom w mieście czeskiém, np. w Pradze, gdyby tam za pośrednictwem władz gminnych, lub za pomocą agitacyi wywierano nacisk na niemieckich rodziców, żeby dzieci swoich nie posyłali do szkół niemieckich, wtedy rząd wiedziałby dobrze, co należy przedsięwziąć w celu przeszkodzenia temu naciskowi.

Można więc z zupełną słusznością powiedzieć: że czeskie mniejszości prześladowane w niemieckich gminach, czescy obywatele, krępowani przez Niemców w swojéj szczuplejszéj ojczyznie w używaniu swoich praw obywatelskich, nie znajdują dziś jeszcze u rządu austryackiego żadnéj opieki.

To téż krańcowe stronnictwo narodowców niemieckich, które, jak powiedzieliśmy, przez agitacyą systematyczną bądź burzy i podnieca ludność niemiecką, bądź téż ją teroryzuje, głosi bez przeszkody jako najgłówniejszy punkt swego programatu: usunięcie ludności czeskiéj z tak zwanego „zamkniętego terytoryum mowy niemieckiéj." Na to istnieją najprzód „niemieckie stowarzyszenia narodowe", mające za zadanie krzewić wśród ludności prawdziwe zasady i poglądy. Rada gminna, rzetelnie w duchu niemieckim nastrojona, musi swoję prawomyślność w ten sposób objawiać, żeby żadnego Czecha do związku nie przyjąć; rzetelnie po niemiecku czujący właściciel domu ma obowiązek nie przyjmować Czecha do siebie na lokatora, a już mieszkającemu mieszkanie wymówić; prawdziwie niemiecki fabrykant nie powinien przyjmować żadnego robotnika czeskiego, a rzemieślnik-niemiec ma obowiązek odmówić roboty każdemu czeskiemu robotnikowi lub terminatorowi; gospodyni z niemiecką duszą nie ma prawa przyjmować służącéj czeskiéj a szczerze niemiecki piwosz obowiązany jest wstręt uczuwać do piwa z browaru pilzeńskiego, ponieważ większośc rady zarządzają-

céj tego browaru jest czeską. Obok „Stowarzyszeń narodowych“ odgrywających rolę kierowników sumienia patryotycznego, którzy ton nadają, istnieją we wszystkich miastach niemieckich „Stowarzyszenia rękodzielników niemieckich“ mające za zadanie przestrzegać, ażeby niemieckich terminatorów i czeladników było zawsze podostatkiem; nadto „Stowarzyszenia niemieckich gospodyń“, które powinne dbać o dostateczną ilość prawdziwie niemieckich służących, kucharek i mamek. „Niemieckie stowarzyszenia językowe“ troszczą się wszędzie o możliwą czystość mowy niemieckiéj w tych *Vereinach* i o usunięcie z niéj wszystkich wyrazów cudzoziemskich. Rzetelnie po niemiecku nastrojone reprezentacye gminne starają się wszędzie przeszkodzić tworzeniu stowarzyszeń czeskich. Gdzie tylko grono Czechów w celu rozrywki towarzyskiéj zapragnie założyć „besedę“, tam gminy niemieckie mają obowiązek wynaleźć takie przeszkody, któreby urzeczywistnienie tego zamiaru uniemożliwiły. Tu znów natrafiamy na środki praktykowane bezkarnie przez Niemców przeciwko Czechom a niepodobne do użycia w odwrotnym stosunku. Ani jedna reprezentacya gminy czeskiéj nie odważyłaby się tak postąpić względem stowarzyszeń niemieckich, jak gminy niemieckie poczynają sobie z czeskiemi. Powiedzieliśmy już wyżéj, że stan rzeczy u nas nie jest bynajmniéj takim, jakimby być powinien: równouprawnienie narodowe Czechów i Niemców nie stało się jeszcze pewnikiem i stanie się nim wtedy dopiero, kiedy zbiegiem szczęśliwych konstelacyi politycznych Austrya dojdzie do zupełnéj i niczém nie skrępowanéj swobody działania względem cesarstwa niemieckiego.

Niemcy będą mieli nawet i wtedy wielką w Austryi przewagę nad Czechami, bo Czesi mogą mieć pretensyą do narodowego i politycznego równouprawnienia, jedynie w prowincyach korony czeskiéj, podczas gdy Niemcom będzie zawsze zapewnione takie równouprawnienie we wszystkich pozostałych krajach monarchii austryackiéj.

Obok tego zewnętrznego wroga, tj. krańcowéj partyi narodowców niemieckich, która dość nam daje do czynienia i któréj pokonanie nie jest bynajmniéj tak prędko przewidywaném, ma naród czeski w ostatnich czasach wroga wewnętrznego do zwalczenia — chcę mówić o partyi pesymistów narodowych. Nazywam to partyą bo gdzie są uznani i ton nadający przywódcy, gdzie istnieją ich stronnicy i wielbiciele tam może być mowa o stronnictwie. Nadmienić zresztą wypada, że od początku 1887 r. a ściśléj mówiąc od 20 grudnia 1886 r. stronnictwo posiada własny organ—„Čas“.

Pesymiści istnieli zawsze i wszędzie tak samo, jak zawsze i wszędzie byli i są optymiści. Równie dobrze wiadomém jest, że prawdziwego bo przedmiotowego poglądu na świat szukać należy pośrodku między zbyt ufającym optymizmem i zabardzo niedowierzającym pesymizmem. Gdyby ktoś u nas, tj. w specyalnie czeskich sferach narodowych, był tego zdania, że zwycięstwo sprawy narodowéj do wrót już kołacze, że stare czeskie prawo polityczne zdobyło sobie całkowite, niczém nieuszczuplone uznanie, że cała Praga stanie się zupełnie czeskiém miastem, że wszyscy Niemcy w Czechii z przyjemnością przyklasną takiemu radykalnemu przekształceniu naszych stosunków publicznych, to podobne poglądy i nadzieje byłyby zbyt optymistyczne. Ale kiedy znowu ktoś, po bezprzykładném podźwignięciu się narodu czeskiego w ciągu ostatnich 40 lat, występuje niespodzianie z twierdzeniem, że nie osiągnęliśmy nic pod względem narodowym i że w przyszłości nic doniosłego nie zdobędziemy ani zdobyć nie możemy, że wszystkie nasze dążenia były bezowocne i takiemi nadal muszą pozostać, że narodowi czeskiemu nic innego nie pozostaje prócz dobrowolnéj germanizacyi, jeżeli nie chce uledz germanizacyi przymusowéj,—to ma się prawo wyrzec, że takie zapatrywania grzeszą zbytnim pesymizmem.

Kilka przytoczeń z organu nowego stronnictwa pesymistycznego wyjaśni nam, czego ci panowie właściwie chcą i do czego zmierzają. W pierwszym zaraz numerze „Czasu“ czytamy:

„Wyobraźmy sobie walkę na śmierć i życie między Czechami a germanizmem. Z konieczności nadszedłby dzień, w którym ten lub ów musiałby postawić sobie pytanie: *Czy wątpliwa egzystencya tego narodu warta jest, żebym wszystkie siły mego ducha, które mogłyby być zwrócone do pozytywnéj pracy około postępu wiedzy, zużywał bezowocnie na wysiłki nie zdążające właściwie do tego postępu*? A gdyby ten naród mimo wszelkich moich wysileń musiał zginąć? Czyż nie moglibyśmy się przyłączyć do intensywnego i ekstensywnego życia umysłowego wielkiego narodu i zdobyć tym sposobem dla ludzkości i dla siebie więcéj aniżeli zdobyć możemy teraz obecnemi ograniczonemi siłami i środkami?“... „*Czy warte jest istotnie nasze istnienie narodowe wysiłku na podtrzymanie go,* czy cywilizacyjna jego doniosłość jest rzeczywiście tak bardzo wielka?“ Tyle „Czas“.

Według téj teoryi, każdy rozsądny ojciec mający dziecko słabowite, powinienby także postawić sobie pytanie: „Po co ja mam tracić czas i pieniądze na utrzymanie tego chorowitego, może nie zdolnego do prawidłowéj egzystencyi dziecka? Rzucę je do wody, tak jak się topi szczenięta lub kocięta, których się nie potrzebuje. A rozsądny syn, mający starego schorowanego ojca lub słabowitą

matkę, winien sobie także powiedzieć: Po co mam podtrzymywać na tym świecie niedołężnego ojca, który się już na nic w tym życiu nie przyda? Lepiéj go zabić razem ze schorzałą matką a czas mój i pieniądze korzystniéj zużytkować. Wreszcie rozsądny żołnierz powinienby według téj teoryi—zadawać sobie pytanie przed każdą bitwą: Czy jest pewność, że zwyciężymy? A jeżeli niema pewności, czy nie lepiéj byłoby, gdybym się na darmo nie wysilał, témbardziéj że i kule świszczą naokoło i że jedna z nich zupełnie niepotrzebnie trafić mię może!

Słowem, nasi panowie pesymiści są właściwie pospolitymi egoistami, którzy wskutek właściwéj sobie natury umysłu zupełnie o tém zapominają, że w życiu ludzkiém nie zimny rozsądek lecz gorące uczucie główną rolę odgrywa, tam gdzie ofiarność i zaparcie się siebie mogą poprowadzić do wyższych celów. Stary, praktyczny statysta angielski Mr. James Anthony Froude mówi w opisie swoich podróży po koloniach angielskich, kiedy się spotkał z pretensyonalnemi nieco objawami miejscowego patryotyzmu, że w tych rzeczach ostatecznie wszystko rozstrzygać i usprawiedliwić musi uczucie; bo „przywiązanie do rodziny jest uczuciem, przyjaźń jest uczuciem i patryotyzm jest także uczuciem. *Naród, w którymby wymarło uczucie, musi wkrótce przestać być narodem*". Tak się zapatruje stary, praktyczny angielski mąż stanu, a słowa jego powinniby wziąć do serca nasi młodsi pesymiści, jeżeli w nich obliczające na zimno samolubstwo wszelkiego nie wystudziło uczucia. Ale posłuchajmy jeszcze daléj tych panów:

„Naród czeski, pisze „Czas", wlecze nędznie pozorną tylko egzystencyą, a objawia się w nim nadto choroba moralna, na którą narody zwykle umierają—wielki upadek moralności narodowéj."

Co zaś ma robić, ten „umierający" czy téż „niezdolny do życia" naród czeski, o tém dowiadujemy się wyraźnie z następnych słów:

„Po miastach naszych mieszkali w znacznéj większości Niemcy, było tak nawet w Pradze: cała hierarchia była niemiecka, zacząwszy od biskupów aż do ostatniego kanonika; bogate prebendy, klasztory, duchowne fundacye znajdowały się w rękach księży niemieckich; na dworze Przemyśliczów język czeski był gościem zaledwie cierpianym w ukrytych zakątkach; poeci nasi i prozaicy pisali swoje dzieła w ciągu kilku stuleci według wzorów niemieckich i łacińskich, a nawet te łacińskie wzory, otrzymywali tylko za pośrednictwem Niemców; nasza zamożna szlachta przyjęła obyczaje niemieckie i zamkom swoim nadawała niemieckie nazwy, słowem naród nasz przed wybuchem wojen husyckich był tylko odpadkiem niemieckiéj kultury, przyczepką do niemieckiego cesarstwa."

Profesor uniwersytetu czeskiego Masaryk, właściwy założyciel téj partyi pesymistycznéj, znany już dostatecznie jako inicyator ostatniego sporu o autentyczność starożytnych rękopisów, naucza z katedry czeskiéj wszechnicy, ku lepszemu zrozumieniu tych pesymistycznych na życie poglądów, że ten wyższy zakład naukowy, nie może być czém innném, tylko instytucyą germanizacyjną (?).

Nie myślę polemizować z p. Masarykiem, ani z „Czasem“ ani wogóle z partyą pesymistów: wszystko to samo na siebie sąd wydaje; ograniczę się tylko na wyjaśnieniu możliwości takiego narodowego stronnictwa pesymistycznego.

W dniu 11 maja 1887 r. zanieśliśmy do grobu jednego ze starych bojowników w sprawie narodowéj, dyrektora czeskiéj szkoły handlowéj Antoniego Skřivana. Założył on w 1856 tę instytucyą a dopiero w 1860 r. rozpoczęły się w niéj wykłady w języku czeskim. Jeszcze przed trzydziestu laty, całe życie handlowe szło w kierunku niemieckim i w żadnym interesie nie było ani jednéj firmy czeskiéj. Od 15 lat istnieje w Pradze czeska akademia handlowa, utworzona przez kupiectwo czeskie, a czeskich firm znajduje się w świecie handlowym korony czeskiéj przynajmniéj tyle co niemieckich, przy czém nadmienić należy, że liczba ich nagle wzrasta. Skřivan umarł z przeświadczeniem, że do podźwignięcia narodu czeskiego przyłożył swoję cegiełkę i że powodzenie jego patryotycznéj działalności prześcignęło wszelkie początkowe, najśmielsze oczekiwania. Tak jak Skřivan, myślimy wszyscy pierwsi starzy pracownicy na polu narodowém, my co patrzyliśmy na drobne początki, z których wynikło tak zwane „odrodzenie“ narodu czeskiego, my co pracowaliśmy, nie pytając o zapłatę, nie dręcząc sobie głowy możliwém powodzeniem lub niepowodzeniem, my co poświęcaliśmy sprawie narodowéj czas i pieniądze, nie troszcząc się kto nam za to podziękuje, powodowani jedynie patryotyzmem, który, jeżeli ma istnieć, musi być uczuciem gorącém, nie zaś zimnym rozsądkiem, regulującym czyny ludzkie według korzyści osobistych. Wszyscy jesteśmy zadowoleni z tego, co zdobyliśmy dla narodu bezinteresownym uczciwym wysiłkiem, spodziewamy się, że stopniowo można będzie więcéj osiągnąć, ale nie oddajemy się żadnym przesadzonym nadziejom, ani téż nie mówimy, żeśmy nic nie zrobili dla tego, że nie możemy miéć wszystkiego odrazu jak Niemcy, pamiętając dobrze o tém, że jesteśmy małym, młodym narodem, podczas gdy Niemcy są narodem wielkim i starodawnym.

Ale za nami weszli na arenę walki narodowej ludzie młodzi, którzy nie widzieli drobnych początków nowego życia narodu czeskiego i nad temi początkami nie pracowali. Oni to porównywają

ciągle wszystko, cośmy już zdobyli, nawet to, czegośmy jeszcze nie osiągnęli, z bogatym i zabezpieczonym oddawna dobytkiem Niemców; to lub owo wydaje im się małém i niewystarczającém i przy pewnéj ambicyi (chciwości nie chcę tu już przypuszczać) mogą mniemać, że w tych, według ich zdania drobnych stosunkach nie będą mogli zadowolnić swoich serdecznych dążeń do znaczenia, zaszczytów, władzy i bogactwa. Z tém łączy się jeszcze racyonalny, czyli mówiąc po dzisiejszemu, ściśle naukowy kierunek obecnych czasów a właściwie kult rachującego na zimno rosądku, wynikiem zaś tego wszystkiego są teorye pesymistyczne „Czasu".

Pan Masaryk szuka obecnie gdzieindziéj szerszego pola do swéj działalności—nie opłaci mu się pracować dla małego, czeskiego narodu; naród ten jednak, mimo niewątpliwie niekorzystne wpływy na młodzież ludzi przemawiających w tym duchu z katedry narodowéj wszechnicy, z takim trudem zdobytéj,—przeżyje szczęśliwie, jak sądzę, narodową partyą pesymistyczną.

W lecie 1886 r. w niemieckiém uniwersyteckiém mieście, Halli odbyło się zebranie studentów doprowadzone do skutku staraniami berlińskiego Stowarzyszenia szkolnego. „Ucisk Niemców" w Czechii a szczególniéj „zagrożona pozycya uniwersytetu niemieckiego w Pradze" przedstawiane były przez wielu mówców w nader jaskrawych barwach; od zgromadzonéj zaś młodzieży zażądano, ażeby uciśnionéj braci niemieckiéj w Czechach przychodziła w pomoc, wysyłając na zmianę jaknajwiększą liczbę studentów z cesarstwa do prazkiéj wszechnicy niemieckiéj z zobowiązaniem wysłuchania choćby jednego kursu. Do cesarskiego ministeryum w Niemczech wystosowano naturalnie petycyą, żeby czas spędzony w uniwersytecie niemieckim w Pradze liczony był studentom niemieckim tak, jak gdyby słuchali kursu w jednéj z wszechnic niemieckich. Zdaje się, że ta prośba musiała być załatwiona w pożądany sposób, bo dwa organa naszych krańcowych narodowców niemieckich (Gazety Tetschen-Bodenbaska i Litomierzycka) umieściły jednocześnie 6-go kwietnia następujący artykuł:

„*Niemieckie posiłki*".—„Jako rezultat starań komitetu cesarsko-niemieckich studentów, na czele którego p. Eckert w Halli prowadził agitacyą na korzyść zagrożonéj wszechnicy niemieckiéj w Pradze, przybędzie 3-go maja r. b. oddzielnemi pociągami przez Bodenbach do Pragi 213 studentów na stały pobyt w tém mieście. Jaki wpływ wywrze na *rozwój niemiecko-akademickiego życia w Pradze* udział młodzieży niemieckiéj w losach uniwersytetu prazkiego,—nie potrzebujemy mówić. Zasilana dopływem szerokiego prądu inteligencyi niemieckiéj, wszechnica prazka musi stanąć na wyżynie,

która ją zabezpieczy *od wszelkiéj przemocy i despotycznych zachcianek konkurencyi czeskiéj. Życie akademickie, podniecone nowym entuzyastycznym pierwiastkiem niemiecko-narodowym z cesarstwa, zbliży się szybko pod działaniem tego impulsu do okresu rozkwitu. I inne towarzyskie stosunki w Pradze zyskają również na tém wzmocnieniu energicznego żywiołu narodowego*". „Niemiecka studenterya w Pradze, jako najżywiéj zainteresowana i ucieszona spodziewanym faktem, z radością przygotowuje się do godnego przyjęcia przybyszów. Należy się spodziewać, że ludność niemiecka wszędzie po drodze okazywać będzie żywą sympatyą miłym gościom. *Przybysze powinni się dowiedzieć, że wjeżdżają do kraju niemieckiego*, którego bronić uważają również za swój obowiązek, powinni także dowiedzieć się jak wdzięczném sercem ludność niemiecka Czechii umie ocenić udział współplemienników z cesarstwa w jéj losach. Więc dowidzenia 3-go maja".

Zanim wypowiem mój pogląd na tę sprawę, niech mi wolno będzie przytoczyć artykuł, poświęcony jéj przez wiedeński „Vaterland", organ zachowawczéj arystokracyi austryackiéj. Dziennik, pod każdym względem umiarkowany, ocenia słusznie ten manewr narodowców niemieckich, z takim hałasem rozpoczęty, jako fazę od wielu lat systematycznie prowadzonéj agitacyi, poddaje stosunki w niemieckim uniwersytecie w Pradze zasłużonéj surowéj krytyce i mówi dosłownie co następuje:

„Rząd nasz dawniejszy (niemiecko-liberalny) powołał na uniwersytet prazki cały zastęp profesorów z Niemiec i proteguje ich w sposób niesłychany. Nie do nas należy oceniać, jak dalece naukowe wykształcenie tych wszystkich uczonych usprawiedliwia przedsięwzięcie podobnych środków. To tylko jest wiadomém, że niemałe grono powołanych wzięło natychmiast udział w agitacyi niemiecko-narodowéj. Byłto pierwszy krok na drodze prowadzącéj do rozterki w łonie dostojnéj *Carolo-Ferdinandea* i narażającéj młodzież uniwersytecką na niebezpieczeństwo wzrastającego rozdrażnienia narodowego. Uniwersytet niemiecki stał się narzędziem walki dla partyi niemiecko-liberalnéj do tego stopnia, że każdy docent, pragnący trzymać się zdala od tych namiętnych zapasów politycznych i poświęcić się wyłącznie swemu zawodowi, ma tam poprostu niemożliwą egzystencyą. To spaczenie i zepsucie uniwersytetu ma się podobno wzmódz jeszcze przez tłumny napływ studentów zagranicznych niemieckich. Mogą się zdarzać pojedyncze wypadki, że student niemiecki, któremu na sercu leży przedewszystkiém naukowe wykształcenie uważa za stosowne szukać sobie znakomitych profesorów na uniwersytetach austryackich, i w takich razach cie-

szyć nam się tylko z tego wypadnie. Tacy téż potrafią tak się znajdować, jak na podobnych pożądanych gości przystoi. Ale wątpimy, ażeby z przejrzenia dokumentów 213 cesarsko-niemieckich studentów, którzy jak słychać mają odbyć w dniu 3 maja wjazd tryumfalny do Pragi, okazało się, że ich wszystkich ryczałtem jedynie naukowy bodziec popchnął do téj podróży. Ktoby miał takie cele, ten nie zaczynałby od tego, ażeby się pozwolić użyć do podburzających politycznych demonstrancyi na obcém terytoryum. Jeszcze tylko téj gromady młodocianych fantastów i amatorów widowisk brakowało nam właśnie do dzieła pojednania! Tymczasem kto wie co jest prawdą w téj pogłosce — a gdyby nawet projekt istniał, — to do dnia wykonania go jest dość czasu na *nieprzewidziane wypadki*."

Tak pisze „Vaterland", a „nieprzewidziane wypadki" spełniły się prawie że w téj saméj chwili, kiedy powyższe słowa były kreślone. Z drugiéj strony bowiem słychać, że studenci z cesarstwa niemieckiego muszą do Pragi przybyć przed 22 kwietnia, tj. przed ostatnim dniem zapisów, jeżeli chcą być na letni semestr przyjęci do uniwersytetu i reżyser téj całéj wyprawy wydal téż do interesowanych odezwę, zapraszającą ich na zjazd do Drezna, w celu udania się stamtąd 21 kwietnia pierwszym pociągiem do Pragi.

Jeżeli teraz całą sprawę i wszystko, co o niéj w różnych dziennikach napisano, poddamy przedmiotowéj ocenie, to okaże się mniéj więcéj co następuje:

Najprzód wychodzi tu znowu na jaw znana już nam dostatecznie zasada, według któréj Niemcy działają w każdéj sposobności: *Quod licet Jovi, non licet bovi*, czyli jaśniéj mówiąc: My Niemcy możemy sobie wszystkiego pozwolić, bo jesteśmy narodem kulturowym. Więc zarozumiałość i przecenianie samych siebie muszą stanowić główne czynniki składowe téj nowożytnéj kultury, któréj przedstawicielami chcą być Niemcy, bo inaczéj nie mogliby tak mówić i postępować, jak mówią i czynią. Nie potrzeba tego dowodzić, że takiéj demonstracyi narodowéj, jaką teraz niemieccy studenci urządzają w Pradze czeskiéj, nie pozwoliłby rząd niemiecki urządzić ani Polakom w Poznaniu, ani Francuzom w Alzacyi; Niemcom w Czechach nie tylko jest dozwoloną, ale nawet niemiecko-narodowe dzienniki wzywają poprostu rząd austryacki, żeby Niemców wszelkiemi rozporządzalnemi środkami bronił przeciw opornym Czechom.

Jakiż jest jawnie głoszony cel całéj wyprawy? Oto ratować od zguby zagrożony uniwersytet niemiecki w Pradze i równie zagrożoną niemczyznę w Pradze poprzéć, wzmocnić. Na to można odpowiedzićć, że po pierwsze, uniwersytetowi niemieckiemu nikt i nic

nie zagraża, bo byt jego jest najdoskonaléj zabezpieczony. Że uniwersytet niemiecki w Pradze po swojém przepołowieniu, nie jest już tém, czém był dawniéj, winni temu sami Niemcy, którzy koniecznie domagali się rozdziału. Co się zaś tycze „zagrożonéj“ w Pradze niemczyzny, to przybycie 213 studentów nie postawiłoby jéj w innéj pozycyi aniżeli ta, w jakiéj się obecnie znajduje. 213 studentów z cesarstwa niemieckiego będzie albo pilnie studyować, albo nie. Jeżeli rozsądnie wybiorą pierwsze, to obecności ich w Pradze nikt się nie domyśli. Jeżeli zaś przybysze, jak niektórzy ludzie zdają się pragnąć, w ten sposób zechcą „wzmacniać żywioł niemiecki“, ażeby po wszystkich restauracyach a może i na ulicach wszczynać zwady z pierwszym lepszym Czechem, to zajmie się niemi poprostu policya prazka i łatwo sobie poradzi.

Tymczasem nadszedł 22 kwietnia i nie sprowadził nam ani cieplejszéj pogody, ani 213 studentów niemieckich. Artykuł niemieckiéj „Gazety ludowéj“, głównego organu naszych krańcowych narodowców, pozwala się domyślać, że owi goście nie przybędą wcale, a za powód dość dziwny tego nieprzybycia podaje się w artykule obawa „złych Czechów“. I istotnie—minął 3 maj a studenci niemieccy nie pokazali się. Wychodzący w Mnichowie „Miesięcznik akademicki“ odzywa się w następujących słowach o téj całéj sprawie:

„Drezno! 20 minut przystanku! przyczepić wagon dla 200 studentów do Pragi“—to powinniśmy byli usłyszéć na dworcu Drezno-Altstadt, gdyby odezwa niejakiego Eckerta, studenta w Halli, miała była spodziewane powodzenie. Wiadomo, że w swoim czasie w Halli odbyło się wielkie anty-czeskie zebranie studentów, które postanowiło „wzmocnić“ żywioł niemiecki w Pradze, za najwłaściwszy zaś do tego środek uznano przyjazd studentów niemieckich do Pragi. Wskutek tego nastąpiło owo wezwanie i 200 przeszło studentów miało być w pogotowiu, jeżeli się na to zgodzą rodzice, do przesiedlenia się do Pragi, ażeby obecnością swoją podnieść o parę stopni respekt Czechów dla Niemców: w medycynie nazywa się to transfuzyą.

„Ale co też właściwie będą robić ci młodzi panowie dla osiągnięcia swego chwalebnego celu? Usunąwszy na bok studya, które z całą sprawą nic wspólnego miéć nie mogą, wypadnie mówić tylko o wmieszaniu się do dotychczasowéj walki między dwiema narodowościami. Więc ci goście wyjdą naprzykład ostentacyjnie z restauracyi, jeżeli na stole znajdą spis potraw po czesku sporządzony, zechcą uprawiać dawne „bursze wychodźcie“ w nowożytnéj formie lub walić Czecha i *vice versa.* Żart jednak na stronę, ten plan, którego wykonanie jest projektowane, należy do najnieszczęśliwiéj po-

myślanych. Co może obchodzić niemiecką uczącą się młodzież walka narodowości w Austryi? Czy takie ostentacyjne wmieszanie się w stosunki państwa obcego, a w dodatku przyjaznego, nie doprowadzi z konieczności do zaostrzenia sprzeciwieństw?“

„Już zamierzony „wspólny wjazd do Pragi“, jak niemniéj okoliczność, że po drodze różne miejscowości niemieckie „zaczynają się szykować do oficyalnego przyjęcia“, kryje w sobie dość powodów do rozdrażnienia narodowego. Jeżeli więc władze austryackie (rzetelnie *austryackie*, nie niemieckie) przygotują téj narodowéj demonstracyi nieprzewidziane przeszkody, nikt nie będzie miał do nich pretensyi.“

Takie zdanie wygłasza kompetentny organ niemiecki fachowy, reprezentujący interesa uniwersytetów niemieckich o sprawie, któréj nie można odmówić burszowsko-studenckiego, właściwie niedojrzałego charakteru. Mogą więc mówić sobie teraz z cichą tęsknotą nasi niemieccy *ultrasi* w Pradze: „Tak pięknie obmyśliliśmy to wszystko! 213 studentów z cesarstwa, wystrojonych galowo, z tęgiemi kijami, w towarzystwie wielkich psów! Wtedy złota słowiańska Praga musiałaby tak wyglądać jak Getynga, Marburg albo Erlangen, gdzie studenci ton nadają, a czeskim filistrom nicby innego nie pozostawało, jak swoję narodowość czeską skromnie w domu zostawić, na ulicach zaś pokazywać się w charakterze niemieckich filistrów — i wielkie dzieło byłoby spełnione, niemiecka cecha Pragi byłaby stwierdzona przy pomocy kilkudziesięciu niemieckich kijów i niemieckich brytanów. Ale niestety! nie było sądzoném, aby się tak stało!

Powiedzieliśmy wyżéj, że rząd austryacki mógł przyczynić się potrochu do zaniechania téj wizyty 213 studentów niemieckich w Pradze. Zresztą, nasz rząd ma w Czechii między a raczéj po nad obiema partyami narodowemi bardzo trudną pozycyą, jak to każdy, kto na rzeczy patrzy bez uprzedzenia, z następującego faktu oceni.

Niemieckie stowarzyszenie gimnastów w Pradze zamierzyło urządzić wielki, imponujący jubileusz, na który miały być zaproszone wszystkie stowarzyszenia niemieckie z Austryi a nawet z Niemiec. Przyjęcie zagranicznych gimnastów na dworcach kolejowych zwykłemi w takich razach powitalnemi mowami, wielka uczta z koniecznemi toastami, wspaniały pochód wszystkich gimnastów i t. d. wszystko to miało się złożyć na wspaniałą demonstracyą niemiecko-narodową. Rząd niechętnie patrzy na takie rzeczy tu w Pradze, gdzie usposobienie i tak jest podniecone, pozwolił więc sobie nie zgodzić się na projektowany pochód wszystkich gimnastów, ani na hałaśliwe przyjęcia na dworcach kolejowych. Niemieccy gimnaści

bardzo to źle przyjęli — uchwalono więc z oburzeniem zaniechać całéj uroczystości jubileuszowéj. Czesi uznali postępowanie rządu za rozumne i byli bardzo zadowoleni.

Ale i czeski „Sokół“ (stowarzyszenie gimnastyczne) zaprojektował również podobną uroczystość jubileuszową, na którą nie tylko miały być zaproszone wszystkie czeskie stowarzyszenia gimnastyczne z Czechii i Morawii, słowiańskie z innych krajów austryackich, ale i czeski „Sokół“ z północnéj Ameryki wizytę swoją zapowiedział. Rząd uważał za stosowne zabronić i tym razem pochodu przez ulice miasta i wszelkich innych manifestacyi publicznych. Stąd wielkie niezadowolenie między Czechami i natychmiastowa uchwała rady zarządzającéj „Sokoła“ praskiego, że cały jubileusz będzie zaniechany. Rząd chce widocznie zachować względem obu partyi narodowych jednakową surowość i ściąga na siebie naturalnie tylko obustronne niezadowolenie. Może byłoby lepiéj okazywać jednemu i drugiemu stronnictwu jednakową łagodność.

Niepodobna zresztą nie zauważyć, że w stosowaniu téj surowości rząd niejednakowéj trzyma się miary i że dla Niemców ma zawsze pewne względy. Gdyby rząd postępował według niewzruszonéj zasady, że niemiecko-narodowe demonstracye dozwolone są w zupełnie niemieckich miastach, a czesko-narodowe w miastach zupełnie czeskich, wzbronione są zaś jedne i drugie w miastach z mieszaną ludnością, w takim razie możnaby powiedziéć, że przestrzegany jest pewien system. Ale kiedy w Pradze, gdzie zaledwie $^1/_5$ części ludności jest niemiecką, nie dozwala się czeskich uroczystości narodowych, podczas kiedy podobne uroczystości niemieckie bywają dozwalane bez żadnych ograniczeń (nawet w Budziejowicach, gdzie połowa ludności jest czeską), to można pozwolić sobie uwagi, że system rządowy polega na większéj względności dla Niemców aniżeli dla Czechów. Przyczynę takiego postępowania łatwo pojąć: rząd austryacki ma ważne powody obawiać się więcéj rozdrażnienia Niemców aniżeli Czechów.

Spór narodowościowy w Czechii zaostrzył się jeszcze w ostatnich czasach z powodu rozporządzenia rządu, które my Czesi uważamy jako przyznanie przysługującego nam prawa, a Niemcy jako nową, wyrządzoną im krzywdę.

Minister sprawiedliwości, baron Prażak, wydał 23-go września 1886 r. następujący reskrypt do najwyższego trybunału krajowego:

„W celu ograniczenia do niezbędnéj tylko potrzeby bardzo licznych i często wydarzających się przekładów decyzyi najwyższego sądu krajowego, uważam za odpowiednie postanowić, że począw-

szy od 1 stycznia 1887 r. we wszystkich wypadkach, gdzie decyzya najwyższego trybunału krajowego wydana jest w jednym tylko z dwóch jęyków krajowych, wnioski referentów, projekt decyzyi i motywa jéj, dla stron przeznaczone, mają być redagowane w tym języku, z którego według istniejących przepisów strony mają prawo korzystać. Jeżeli na mocy tych przepisów decyzya ma być wydaną w obu językach, w takim razie pozostaje w swojéj mocy obowiązek tłómaczenia, które jednak zawsze ma być dokonane pod odpowiedzialnością referenta i przewodniczącego w senacie."

W komisyi wyznaczonéj z powodu rozpraw sejmu czeskiego nad kwestyą językową, jako główny motyw skargi na nieuwzględnienie równouprawnienia językowego przytaczano okoliczność, że o sprawach czeskich, wprowadzonych na sądy czeskie w języku czeskim władze sądowe rozprawiają wyłącznie po niemiecku, że w niemieckim języku redagowane są wyciągi z akt, umowy, narady, zbieranie głosów, że wreszcie w tym języku zapadają decyzye.

W sprawozdaniu komisyi zwrócono uwagę, że wskutek takiego postępowania w kwestyach spornych, przy których rozstrzyganiu częstokroć główną rolę odgrywa brzmienie dokumentu, albo jedno zdanie piśmienne, dokładne pojęcie o sprawie jest niemożliwém i że strona bywa pokrzywdzona w swoich prywatnych prawach, a w sprawach karnych, gdzie jakiś ważny moment złego zamysłu, jedynie z własnych słów obwinionego da się wyświetlić, właściwe ocenienie karygodności czynu poważne napotyka przeszkody. Wogóle, rozpatrując całą kwestyą bez uprzedzenia, niepodobna zgoła zrozumiéć, dla czego wyroki, które mają być wydane po czesku, nie są odrazu formułowane w języku czeskim przez referującego sędziego, jeżeli ten doskonale ów język rozumié. Każdemu nastręcza się pytanie, w jakim celu te wyroki z akt całkowicie czeskich mają być najprzód po niemiecku redagowane, ażeby późniéj jakiś pomocnik referenta napowrót je na czeski język tłómaczył?

A taka procedura praktykowała się rzeczywiście w najwyższym trybunale krajowym w Pradze i Brnie. Jedna tylko okoliczność może to wyjaśnić, mianowicie, że w czasach, kiedy bardzo mała liczba sędziów władała językiem czeskim ustnie i piśmiennie, trzeba było uciekać się do takich środków, jak obrabianie po niemiecku czeskich akt i powtórne tłómaczenie na czeski decyzyi zredagowanych po niemiecku. Dziś jednak, kiedy w najwyższym trybunale krajowym w Pradze, sędziowie nie mogą tłómaczyć się nieznajomością języka czeskiego, kierownik ministeryum sprawiedliwości uznał za rzecz na czasie utrwalić na przyszłość naturalną i jedynie słuszną procedurę w podobnych wypadkach. Prezydyum naj-

wyższego trybunału krajowego w Brnie otrzymało jednocześnie polecenie wprowadzenia u siebie takiejże procedury.

To drugie rozporządzenie językowe z 23 września 1886 r. wywołało równie wielkie wzburzenie w łonie partyi niemiecko-narodowéj, jak pierwsze z 19 kwietnia 1880 r. Chcąc zrozumiéć to oburzenie, to „głębokie zaniepokojenie niemieckiéj ludności w Czechii", nie trzeba zapominać, że dzięki systematycznie prowadzonéj agitacyi krańcowych narodowców, niemiecka ludność Czechii znajduje się, bez wszelkiego rozporządzenia językowego, w stanie wysoce namiętnego podniecenia, że w *credo* politycznem podburzanéj w ten sposób ludności niemieckiéj, na samym froncie figuruje zdanie, że rozumiéć lub mówić po czesku jest hańbiącém upokorzeniem dla prawdziwego Niemca, a być zmuszonym do uczenia się tego języka, jest jeszcze sromotniejszém pogwałceniem i ujarzmieniem niemieckiéj myśli, stojącéj wysoko po nad takiemi nędzotami. Żaden prawdziwy Niemiec nie powinien rozumiéć ani mówić po czesku, a popełniłby coś nakształt samobójstwa narodowego, gdyby zgodził się na uczenie języka czeskiego. Na gruncie takich-to poglądów i mniemań wyrosło w październiku r. 1886 owo wielkie oburzenie z powodu reskryptu ministeryum sprawiedliwości z 23 września. Reprezentacye gminne w miastach niemieckich Czechii i niemieckie stowarzyszenia narodowe otrzymały od przywódców partyi surowe polecenia, ażeby w odpowiedni sposób wyraziły oburzenie i głębokie zaniepokojenie. Organa partyi zamieściły piorunujące artykuły wstępne o „Ostatnim bohaterskim czynie Prażaka." — „Te reskrypta ministeryalne — pisano tam — niszczą jednolitość administracyi, są ustępstwem zrobioném dla „państwowego prawa" Czechów, są—właściwym federalizmem. Niemcy obstają przy tém i wnioskują stąd, że opozycya ich przeciwko gabinetowi Taafego powinna być jeszcze zaostrzoną. Między poglądami Niemców austryackich a temi rozporządzeniami ministeryum sprawiedliwości niema żadnego kompromisu — Niemcy austryaccy domagają się odwołania reskryptów z większym jeszcze naciskiem, aniżeli cofnięcia słynnych rozporządzeń językowych. Od tego najprzód musi się rozpocząć „pojednanie" z Niemcami. I my Niemcy nie poddamy się."

Przywódcy stronnictwa niemiecko-liberalnego czyli partyi niemiecko-austryackiéj, którym i tak krańcowi narodowcy zarzucają oziębłość narodowego nastroju, musieli téż pośpieszyć się z zamanifestowaniem swego oburzenia z powodu dekretu ministra sprawiedliwości. D-r Magg i jego współtowarzysze wnieśli interpelacyą do izby poselskiéj rady państwa, a baron Chlumetzky nazwał 8 października 1886 r. w izbie deputowanych rozporządzenie ministra

„uderzeniem maczugi w jednolitość administracyi i ciosem skierowanym wprost na Niemców, który ich naprzyszłość wykluczy z całego szeregu sądów kolegialnych.“

Wymagać zatém od Niemca znajomości języka nie-niemieckiego, jako koniecznego warunku wejścia do służby rządowéj, nazywa się wyłączać Niemców z téj służby, co dość wyraźnie daje do zrozumienia, że państwo względem Niemców nie ma prawa żadnych stawiać warunków co do posad w służbie rządowéj, lecz że Niemcy muszą miéć przed innemi narodami przywiléj niewypełniania tych warunków i powinni mimo to otrzymywać posady.

13 października 1886 r. w komisyi językowéj izby poselskiéj prowadzono dość ożywione rozprawy nad rozporządzeniem z 23-go września, w których zarówno prezes ministrów hr. Taafe, jak i minister sprawiedliwości br. Prażak dawali wyjaśnienia na napaści opozycyi, zapewniając, że rząd w całym swoim składzie bierze zupełną odpowiedzialność za wydane 23-go września rozporządzenie. Tymczasem ukazywały się rozmaite protesty i rezolucye niemieckich stowarzyszeń narodowych i reprezentacyi gminnych, z bezpośredniém wezwaniem do rządu, żeby cofnął rozporządzenie z 23-go września, a podobne dokumenta w tym tylko wypadku na jaw nie wychodziły, jeżeli władza rządowa uznała za stosowne zgromadzenie rozwiązać, albo zapadłą uchwałę wstrzymać.

9-go grudnia 1886 roku zebrał się sejm czeski, a 18-go wniósł d-r Knotz interpelacyą do namiestnika Czech co do przeszkód, jakie rząd zamierza stawiać demonstracyom przeciwko dekretowi językowemu ministra Prażaka. Wszystko to było tylko prologiem do tego, co miało nastąpić. 22-go grudnia motywował Plener w sejmie czeskim wniosek lewicy niemieckiéj w przedmiocie cofnięcia dekretu ministra sprawiedliwości i politycznego, jak również administracyjnego rozpołowiania Czech. Plener starał się naturalnie dowieść w długiéj mowie, że tylko tym sposem stosunki w Czechach mogą być ostatecznie uregulowane: zamilczał jednak zupełnie, że niemiecka mniejszość sejmowa już była postanowiła ustąpić z sejmu, gdyby większość nie uwzględniła z całą gotowością jéj życzeń.

Ks. Karol Schwarzenberg w imieniu wielkiéj własności ziemskiéj wniósł następującą propozycyą do załatwienia wniosku Plenera:

„zważywszy, że wniosek postawiony przez d-ra Plenera identyczny jest pod względem treści z postawionym przez tego samego posła na przeszłorocznéj sesyi wnioskiem, który po gruntownem rozpatrzeniu odrzucony został uchwałą sejmową z 18 stycznia 1886 r.;

„zważywszy, że rząd ma być wezwany do cofnięcia rozporządzenia z 23-go września 1886 roku, którém odpowiedział, w grani-

cach niewątpliwéj swojéj kompetencyi, na wystosowane do siebie w uchwale z 18 stycznia 1886 r. wezwanie;

„zważywszy daléj, że motywowanie tego wniosku opiera się na premisach sprzecznych z zasadami równouprawnienia, zabezpieczonemi w zasadniczém prawie państwowém, a myśl przewodnia dąży do podziału kraju, a zatém zagraża stosunkom konstytucyjnie poręczonym, tak, że przyjęcie tego wniosku oddaliłoby jeszcze więcéj od siebie obie narodowości, którym przeznaczono jest żyć wspólnie w spokoju;

„zważywszy wreszcie, że rozprawiać nad wnioskiem sprzeciwiającym się z ducha i litery uchwałom powziętym przed niecałym rokiem nie odpowiadałoby powadze postanowień sejmowych, że zatém takiéj dyskusyi od sejmu domagać się nie wypada, — *sejm przechodzi nad wnioskiem d-ra Plenera do porządku dziennego.*“ (Oznaki ironicznéj aprobaty i oklaski lewicy).

Plener odpowiedział, że większość czeska w sejmie w chwili, kiedy ludność niemiecka w Czechii raz jeszcze rękę jéj podaje, odtrąca ją szorstko i tym sposobem zaświadcza przed całym światem swoją zawziętość, dowodząc, że jéj zupełnie nie idzie ani o pokój, ani o pojednanie. Ludność niemiecka w Czechii będzie wiedziała, co ma znaczyć takie postanowienie. Plener nie zdradził jednak ani jednéni słówkiem, że mniejszość niemiecka (jak to można było wnosić z jéj oklasków) tylko czekała odrzucenia wniosku, ażeby spełnić obmyślane wielkie *coup*, t. j. wystąpić z sejmu czeskiego.

Najwyższy marszałek krajowy, ks. Jerzy Lobkowitz, nie przeczuwając tego wszystkiego, przystępuje spokojnie do głosowania i wniosek przejścia do porządku dziennego zostaje przyjęty znaczną większością (głosowali za nim czescy posłowie i wielka własność ziemska).

Odzywa się znowu z lewicy „burzliwy, minutę trwający, ironiczny poklask.“

Marszałek krajowy mówi następnie: „Wniosek przejścia do porządku dziennego przyjęty. (Nowe oklaski i ironiczne wołania lewicy. Wielki ruch w całéj izbie). Następującym przedmiotem na porządku dziennym jest.....

D-r Schmeykal (przywódca Niemców). Proszę o głos i niech mi wolno będzie dać tu pewne wyjaśnienie.

Marszałek. Proszę mówić.

D-r Schmeykal. Większość sejmowa odrzuciła w pierwszém już czytaniu nasz wniosek, który mógł dać podstawy do porozumienia między obiema narodowościami i nie poddała go nawet rozprawom

w komisyi. Naród Niemiecki w Czechii (1) pragnie spokoju i porządku w tym kraju. Ale większość nie chce nawet rozpatrzéć jego skarg i życzeń. Wobec takiéj postawy, wszelkie usiłowania pojednawcze nie mają żadnych widoków, dla reprezentantów niemieckiego narodu niema już miejsca w tym sejmie. *Oświadczam zatém w imieniu tak samo jak ja myślących, że nie możemy już brać udziału w pracach tego sejmu, i dopóty zdala od niego stać będziemy, dopóki nie uzyskamy rękojmi, że nasze skargi i propozycye będą przedmiotowo oceniane.*"

Po tém oświadczeniu wszyscy deputowani niemieccy opuścili salę sejmową. Taki był *exodus* 22 grudnia 1886 r.

Następnie 26-go grudnia posłowie niemieccy, którzy wystąpili z sejmu (było ich 72) wydali manifest „do ludu niemieckiego w Czechii", usprawiedliwiając się w nim ze swego postąpienia i wykazując, że inaczéj zrobić nie mogli, bo (są słowa manifestu) „uchwałą z 22 grudnia większość sejmu czeskiego wykluczyła nasze wnioski, dążące do uspokojenia kraju, z pod wszelkich obrad i z tém odtrąceniem złączyła ciężką obrazę uczuciu narodowemu ludu niemieckiego."

Wiele mówiono i pisano o tym znaczącym wypadku, o tak zwanym „exodzie Niemców z sejmu czeskiego." To pewna, że ten krok nie był postawiony w chwili namiętnego podrażnienia; postanowiono go dawno i oczekiwano tylko na najdogodniejszą ku temu sposobność. Przyczyny do tego szukać należy nie w rozporządzeniu językowém, ani w odrzuconym podziale Czechii: tkwi ona gdzieindziéj. Niemcy pełni przeświadczenia o swojéj wyższości narodowéj uważają za coś niegodnego ich powagi zasiadać w sejmie, gdzie Czesi mają większość i gdzie zupełnie *sans façon* można mówić, rozprawiać po niemiecku albo po czesku. Niemcy ukrywali starannie w tajemnicy powzięte już 22 grudnia 1886 postanowienie opuszczenia w danym razie sali sejmowéj, ponieważ mieli wszelki powód obawiania się, że większość czeska zrobi wszystko dla przeszkodzenia zamierzonemu ustąpieniu Niemców. Ostentacyjne oklaski zdradzają widocznie radość z powodu pomyślnego udania się planu, o którego dawném przygotowaniu świadczy szczególniéj ostatni frazes przemówienia Schmeykala; chwilowe podrażnienie byłoby niezawodnie podyktowało inne słowa.

To też wszystkie te deklaracye i manifestacye Niemców nie miały takiéj cechy szczeréj prawdy i otwartości, jaką im nadać usiłowano; bo Niemcy wiedzą o tém sami bardzo dobrze, że my to

(1) To wyrażenie wprowadził w modę d-r Knotz.

właśnie, Czesi, z tęsknotą pragniemy porozumienia się i pojednania mieszkających w tym kraju narodowości, a oni to właśnie wszelkiemi możliwemi środkami przeszkadzają temu pojednaniu. Proponować przeciwnikowi tak zwane warunki pokojowe, wiedząc z góry że ich przyjąć nie może, a potém kiedy nie przyjmie, głosić, że nie chciał przyjąć pokoju — znana to i łatwa do przeniknienia taktyka.

Po wyjściu posłów niemieckich z sejmu czeskiego, prowadziło to zgromadzenie daléj swoje prace zupełnie tak samo, jak niegdyś niemiecka większość sejmu nie przerwała prac swoich, kiedy czescy posłowie opuścili salę sejmową. Deputowani czescy stali przez lat kilka zdala od sejmu i wszystko szło zwykłym porządkiem, być może, iż tak samo będzie i teraz, gdyby Niemcy chcieli przez lat kilka nie pokazywać się w sejmie.

Posłowie niemieccy, którzy ustąpili z sejmu, zostali wezwani w początku stycznia 1887 drogą urzędową do zajęcia swoich miejsc w sejmie; gdy jednak przepisany dwutygodniowy termin upłynął i posłowie nie wrócili, ogłoszono ich mandaty za stracone. Rozpisane będą nowe wybory, a dziś już możliwy ich wynik niepokoi trochę Niemców. Przynajmniéj 62 posłów niemieckich muszą się zdeklarować za abstynencyą, jeżeli ta taktyka ma być daléj bez szkody dla nich prowadzoną; bo sejm czeski ma obecnie 242 członków, a według istniejących przepisów zmiany w ordynacyi wyborczéj do sejmu mogą być przedsiębrane jedynie przy obecności $^{3}/_{4}$ całkowitéj liczby posłów, t. j. 181. Muszę tu zresztą nadmienić, że ani rząd, ani czeska partya narodowa nie zamyśla bynajmniéj o podobnéj, jakimbądź kosztem przeprowadzonéj majoryzacyi Niemców, i że przeciwnie, tak ze strony władz rządowych, jak z naszéj zrobi się wszystko, co będzie można, aby teraz jeszcze urzeczywistnić nasze pragnienie spokojnego i przyjaznego pożycia z sobą dwóch mieszkających w Czechii narodowości. Uczciwie, otwarcie pojmowane i przeprowadzane równouprawnienie musi tu naturalnie głównym być warunkiem.

Spór o nowe rozporządzenie ministra sprawiedliwości z 23-go września został tymczasem ostatecznie w izbie panów załatwiony.

Kawaler von Schmerling, prezes najwyższéj izby sądowéj, postawił tam 28-go października 1886 roku następujący wniosek przeciwko rozporządzeniu językowemu ministra sprawiedliwości z dnia 23 września:

„zważywszy, że język niemiecki jest służbowym w sądach i we władzach politycznych;

„zważywszy, że téj zasady trzymać się należy w interesie państwa i jednolitości administracyi;

„zważywszy, że rozporządzenie wysokiego ministeryum sprawiedliwości z 23 września 1886 r. N. 17520 staje w sprzeczności z tą zasadą;

„zważywszy, że to rozporządzenie nie da się również pogodzić z kilku punktami najwyższego patentu z 3 maja 1853 r. (Dziennika praw N. 81);

„zważywszy, że to rozporządzenie wpłynęłoby szkodliwie na wymiar sprawiedliwości, i że ogranicza możność spożytkowania pewnéj części sił sądowych;

„zważywszy wreszcie, że to rozporządzenie budzi także poważne obawy pod względem prawnopaństwowym i politycznym;

„wyznacza się z łona wysokiéj izby komisya z 9-ciu członków w celu rozpatrzenia tak ze strony prawnéj jak pod względem ogólnéj doniosłości rozporządzenia wysokiego ministeryum sprawiedliwości i złożenia o tém wysokiéj izbie raportu, *respective* odpowiednich wniosków."

Powyższy wniosek, zawierający jawne oskarżenie rządu, był z początku uważany w kołach izby panów za przedmiot przekraczający granice kompetencyi izby i pod względem załatwienia téj sprawy panowało zdanie, że wniosek przy pierwszém zaraz czytaniu musi być *a limine* odrzucony przez proste przejście do porządku dziennego. W organach opozycyjnych rachowano się z tém zdaniem i przystrajano przewidywane niepowodzenie w płaszczyk patryotyczny, głosząc, że wniosek Schmerlinga nie może być wpisany na porządek dzienny, dopóki nie skończą się rokowania ugodowe z Węgrami, bo oczywiście niestosownem byłoby podczas trwania tych układów wyprowadzać na jaw rozterki w łonie drugiéj połowy cesarstwa. Już można było przypuszczać, że wniosek złożony został po cichu *ad acta*, kiedy ku ogólnemu zdziwieniu podano do wiadomości, że wniosek Schmerlinga, t. j. pierwsze jego czytanie i motywowanie przez wnioskodawcę znajduje się na porządku dziennym pierwszéj sesyi izby panów, naznaczonéj po świętach wielkanocnych, t. j. na dzień 22 kwietnia. Wnosząc ze znanego zakończenia całéj sprawy, można przypuszczać, że prezydyum izby panów postąpiło w téj kwestyi zgodnie z wyraźnem życzeniem rządu. To przypuszczenie motywuje się w ten sposób, że prezes ministrów hr. Taafe na posiedzeniu z 22 kwietnia 1887 r., kiedy kawaler von Schmerling wniosek swój uzasadniał i starał się dowieść nielegalności rozporządzenia ministra sprawiedliwości z 23 września,—*odczytał* oświadczenie, które oczywiście musi być uważane za głos całego składu ministeryum i w którém wyraźnie jest powiedziane, że cały rząd staje w obronie prawności rozporządzeniu ministra sprawiedliwości.

Deklaracya owa, zbijająca wszystkie „zważywszy“ wnioskodawcy, kończy się następującemi energicznemi słowami:

„*Z* tego powodu, według przekonania rządu, prawność rozporządzenia ministeryum sprawiedliwości z 23 września 1886 r. nie może ulegać wątpliwości. Ponieważ zaś, jak się wyżéj powiedziało, stosowność tego rozporządzenia nie może być kwestyonowana, ponieważ okazuje się ono potrzebném wobec poręczonego zasadniczém prawem państwowém równouprawnienia językowego, przeto i politycznéj jego stronie zarzutów stawiać nie wypada.

„Wskutku tego, rząd nie może uznać za uzasadniony wniosek, aby wyznaczona była komisya w celu rozpatrzenia tak ze strony prawnéj jak pod względem doniosłości politycznéj rozporządzenia ministeryum sprawiedliwości z 23 września 1886 r. i złożenia o tém wysokiéj izbie raportu, *respective* odpowiednich wniosków. *Ale rząd nie lęka się wyznaczenia takiéj komisyi*, w któréj nastręczyłaby mu się sposobność osłabić bardziéj jeszcze argumenta p. wnioskodawcy, niezgodne z prawem ani z faktycznemi stosunkami, i silniéj wystąpić w obronie rozporządzenia, które wydał z zupełną świadomością swoich obowiązków i swéj odpowiedzialności. Ponieważ wnioskodawca postawił swój wniosek 28 października zeszłego roku a pierwsze jego odczytanie dziś dopiero się odbywa, można się obawiać, ażeby ze względu na urzędowe stanowisko wnioskodawcy, zarówno opinia publiczna jak i sfery sądowe nie uległy w swoich poglądach na tak ważną sprawę działaniu jednostronych wpływów. Zmuszony więc jest rząd wyrazić naglącą do wysokiéj izby prośbę, ażeby wniosek jego ekscelencyi kawalera von Schmerlinga załatwiony był ostatecznie z możliwym pośpiechem, ze względu na konieczność położenia tamy dalszemu obałamuceniu ludności.“

Życzeniu rządu uczyniła zadość izba panów, załatwiwszy w drugiém czytaniu wniosek Schmerlinga 7 maja 1887 r.; ważność zaś przedmiotn w ten sposób została zaakcentowaną, że w myśl propozycyi hr. Falkenhayna, wybrano komisyą z 15 członków do zbadania sprawy i opracowania o niéj raportu.

Posiedzenie austryackiéj izby panów z 7 maja 87 r. (właściwie dwa posiedzenia, bo odbyła się jedna sesya dzienna od 11 do 4-éj i jedna wieczorna od 8—10 godz.) zajmie zaszczytne miejsce zarówno w historyi parlamentaryzmu austryjackiego jak w dziejach publicznych stosunków w Austryi. Dla historyi sporu narodowościowego w Czechach ma ono rozstrzygające znaczenie; wprawdzie wysoko bijące fale namiętności narodowych nie odrazu ułożyły się do równowagi pod działaniem uchwał izby panów z 7 maja 1887 r., niemniéj jednak te uchwały tworzyć będą trwałą podstawę, na któréj stopnio-

wo stanie się możliwém uspokojenie umysłów i ostateczne pojednanie między walczącemi stronnictwami.

Chcąc sobie ułatwić zrozumienie tego, co poniżéj nastąpi, należy pamiętać, że członkowie austryackiéj izby panów dzielą się na trzy partye: na prawicę, lewicę i tak zwane stronnictwo środka. *Prawicę* można nazwać partyą rządową: składa się ona podobnie jak prawica w izbie poselskiéj z przedstawicieli nie-niemieckich ludów Austryi, takzwanéj partyi klerykalnéj i z kilku Niemców stawiających wyżéj ludzkość i sprawiedliwość nad narodowe chętki przewodzenia. *Lewica* składa się cała z Niemców i stawia opozycyą z zasady przeciwko rządowi, który nie uznaje politycznéj przewagi Niemców za warunek istnienia państwa austryackiego. Stronnictwo *środkowe* składa się również z Niemców, którzy jednak pragną być przedewszystkiém Austryakami i dla tego nie mogą oponować z zasady przeciwko rządowi austryackiemu, lecz stanowisko swoje zmieniają każdorazowo, stosownie do tego, co im się korzystniejszém wydaje: przystać do prawicy czyli téż do lewicy.

Członkowie komisyi bywają zawsze wybierani w izbie panów według stosunku partyi, w tym razie 6 z prawicy, 6 z lewicy, 3 ze środka, co wskazuje, że prawica może osiągnąć większość jedynie przy pomocy środka. Z téj to komisyi z 15 członków wyszły trzy wnioski, nad któremi *plenum* izby panów miało 7 maja obradować i wydać co do nich decyzyą. Na sprawozdawcę wybrany został szczególniejszym trafem, a raczéj naturalną rzeczy koleją członek stronnictwa środkowego, nie było bowiem żadnéj nadziei, żeby członek prawicy lub lewicy otrzymać mógł większość głosów. Sprawozdawca, były minister oświaty, baron Konrad von Eybesfeld postawił wniosek, którego pierwsza połowa była po myśli prawicy, druga zaś obliczona była na to, żeby opozycyą ugłaskać. Pierwsza połowa uzyskała następnie w komisyi moc uchwały głosami prawicy i środka (6+3), druga zaś połowa stała się uchwałą głosami lewicy i śr ka (6+3).

Wniosek komisyi brzmi zatém jak następuje:

„Wysoka izba raczy uchwalić:

1. Nieprawność rozporządzenia ministra sprawiedliwości z 23 września 1886 r. nie da się wywnioskować z istniejących przepisów, tem mniej z najwyższego patentu z 3 maja 1853 (Prawica i środek).

2. Wzywa się wysoki rząd, ażeby utrzymał nadal bez zmiany wyraźnie przez siebie uznane dotychczasowe stanowisko języka niemieckiego, jako służbowego w urzędach i rządach“ (Lewica i środek).

Powyższy wniosek nie przypadał naturalnie w zupełności do smaku prawicy, ani też odpowiadał całkowicie życzeniu lewicy; prawica nie chciała żadnej nagany rządu, a lewica pragnęła czegoś jeszcze więcéj prócz téj nagany. W komisyi zatém zarówno prawica jak lewica złożyły oddzielne wota mniejszości.

Wotum mniejszości lewicy brzmi tak:

„Wysoka izba zechce uchwalić:

„Rząd ma być wezwany, ażeby rozporządzeniu, wydanemu 23 września 1886 przez ministra sprawiedliwości do najwyższego sądu krajowego w Pradze, odjęta była moc obowiązująca".

Wotum mniejszości prawicy domaga się:

„Wysoka Izba zechce uchwalić:

1. Stwierdza się niniejszém, że nie istnieje żaden powód kwestyonowania ze strony prawnéj dekretu ministra sprawiedliwości z 23 września 1886 r.

2. Stwierdza się, że przeciw wspomnianemu rozporządzeniu nie można postawić żadnego zarzutu pod względem jego politycznéj doniosłości."

Austryacka izba panów przedstawiła zebranéj tłumnie 7 maja na galeryach publiczności rzadki widok licznego i zarazem imponującego zgromadzenia. Mów było niewiele, ale zato pełnych treści; do najwydatniejszych należały niewątpliwie mowy b. ministra w gabinecie Auersperga, znanego z uczoności prawnika, byłego profesora uniwersytetu wiedeńskiego Ungra (lewica) i czeskiego profesora uniwersytetu, radcy dworu Randy (prawica).

Ponieważ polityczne znaczenie całéj sprawy o wiele przewyższa prawną jéj doniosłość, szczególnéj wagi nabiera przed wszystkiemi mowa profesora Maassena—tak, że słowa wyrzeczone przez Maassena w izbie panów znajdują zasłużony oddźwięk w sercu każdego prawego austryaka. Maassen określił w następujący sposób swoje polityczne stanowisko:

„Pokój prazki z 1866 rozwiązał ostatecznie związek niemiecki, a 18 stycznia 1871 r. król pruski ogłoszony został cesarzem niemieckim, co bezwątpienia czyni na przyszłość niemożliwém istnienie państwa niemieckiego, ogarniającego cały naród niemiecki z Austryą na czele. *Restitutio in integrum* musi być dla każdego myślącego w Austryi polityka niedopuszczalném, rozdział Austryi i Niemiec jest stanowczym"... „Zjednoczenie Austryi z niemieckiém cesarstwem mogłoby się dokonać jedynie przez wcielenie jéj do Niemiec, zjednoczenie części Austryi z Niemcami byłoby możliwém tylko przez poddanie naszego monarchy pod władzę cesarza niemieckiego"... „Niemcom w Austryi nie pozostaje nic innego prócz zaakcep-

towania rozdziału Austryi i Niemiec jako ostatecznego faktu. Jesteśmy zawsze złączeni z Niemcami w cesarstwie węzłami narodowości i literatury, ale pod względem politycznym zostaliśmy rozdzieleni. Dla Austryi, która teraz sama sobie jest pozostawioną, wytwarza się względem różnych jéj ludów zadanie złożenia z nich, na podstawie sprawiedliwego równouprawnienia, jednéj całości harmonijnéj. Żyjemy w wieku, w którym poczucie narodowości, narodowe ambicye, gorliwość w rozwijaniu i uwydatnianiu charakteru własnego narodu, doszło do niebywałéj przedtém wysokości. Takie państwo jak Austrya, złożone z rozmaitych narodów, musi liczyć się z tym faktem".

Maassen mówił daléj słusznie, że Niemcy w Austryi, tak jak każdy naród, mają niezaprzeczone prawo każdą wyrządzoną sobie lub téż grożącą tylko niesprawiedliwość najenergiczniéj i wszelkiemi środkami prawnemi odpierać, ale że jednocześnie muszą uznać, iż nie może być mowy o jakiémś z zasady istniejącém pierwszeństwie Niemców przed innemi narodami Austryi, słowem o przywileju narodowym; wreszcie dodał mówca, że uważa to za prawdziwą wygraną dla mocarstwowego stanowiska Austryi. *Poważanie dla Niemców w Austryi opiera się nie na historycznych już przyczynach, ale na własnéj ich wartości, na tém, czego sami zdolni są dokonać.* Poszanowanie dla cudzych właściwości bardzo podupadło w kursie u Niemców w ostatnich czasach, bo wielkie militarne powodzenia otumaniły masy narodu; zdaniem jednak Maassena, sprawiedliwość jednego narodu względem drugiego pozostanie zawsze nieodbitém przykazaniem moralności chrześciańskiéj, bez któréj spadlibyśmy do pogańskiego barbarzyństwa.

Więc téż Maassen znajduje tylko słowa bezwarunkowego uznania dla rządu pracującego nad ciężkiém zadaniem przywrócenia pokoju między narodami Austryi, podziwia jego wytrwanie i poświęcenie, które tylko na prawdziwym patryotyzmie opierać się może. Dla tego zgadza się w zupełności na rozporządzenie ministra sprawiedliwości z 23 września, wychodzące z zasady że: *sądy są dla narodu a nie naród dla sądów.*

Opozycya niemiecka znalazła się ze swoją napaścią na rozporządzenie językowe w szczególniejszém położeniu. Członkowie izby panów nie mogą, jak mówca szynkowniany Knotz, mówić bez ceremonii: „My Niemcy chcemy i musimy być panami w Austryi; równouprawnienie polityczne wszystkich narodowości jest kompletną niedorzecznością." Musieli więc uciec się do wszelakiéj sofistyki dla utrzymania swéj tezy, a uczony bardzo jurysta z niemieckiéj lewicy, Unger, wydobył nawet na jaw między innemi coś bardzo dziwnego,

byle tylko wykazać nielegalność rozporządzenia z 23 września. To rozporządzenie jest, według Ungra, pogwałceniem *prawa zwyczajowego*. Rząd wychodzi z zasady że nie istnieje żadne prawo uznające ogólnie język niemiecki za urzędowy. Jestto jednak błędne utożsamienie przepisów ustawy z prawem, bo przecież istnieje prawo oparte na niespisanych zasadach, mianowicie zwyczaj. I praktyka administracyjna jest również źródłem prawa a na takim zwyczajowo-prawnym procesie opiera się także prawne znaczenie języka niemieckiego w Austryi, jako urzędowego. Taki właśnie artykuł publicznego prawa zwyczajowego uznał język niemiecki w Austryi za urzędowy. Tyle jest słów uczonego jurysty Ungra.

Zwykły zdrowy rozsądek mógłby wiele zarzucić téj prawniczéj erudycyi i zburzyć całą szczególną teoryą o mocy prawa zwyczajowego. Ze wszystkiego, co zwykły zdrowy rozsądek mógłby tu uczonemu juryście odpowiedzieć, ja przytoczę tylko, co następuje. Panujący z dynastyi Habsburgów byli w długo ciągnącéj się linii cesarzami niemieckimi i uważali naturalnie tę pozycyą za rdzenną część składową swojéj potęgi i dostojności. Ci panujący byli monarchami nie konstytucyjnymi, ale nieograniczonymi władcami i jako tacy, nie powodowali się jakiemiś szczególnemi względami na narodowe czy też polityczne żądania swoich ludów. Supremacya w całych Niemczech była zawsze rzeczą główną w ich polityce wewnętrznéj i zewnętrznéj. Wskutek tego musieli w swoich austryackich krajach wysoko trzymać sztandar niemczyzny, krótko mówiąc usiłowali germanizować wszystko, o ile tylko mogli, i to jest właściwy powód nadania językowi niemieckiemu charakteru urzędowego. My w Czechii wiemy o tém dobrze i moglibyśmy to i owo opowiedziéć, bo mieliśmy dość długo język niemiecki w urzędzie, w sądach, w szkołach a nawet w kościele, słowem w całém życiu publiczném. W państwie zatém rządzoném absolutnie przez monarchę, którego dążeniem musiało być utrzymanie i utrwalenie supremacyi w Niemczech, urzędnicy austryaccy przyzwyczaili się urzędować po niemiecku, ponieważ im to z góry było nakazane.

Otóż obecnie, miejsce absolutnéj Austryi zastąpiła Austrya konstytucyjna, to nowe państwo wykluczone zostało od 1866 r. z rzeszy niemieckiéj, a od 1871 r. Austrya weszła w taki stosunek do niemieckiego cesarstwa, że wszelka myśl supremacyi jéj w Niemczech musi być porzuconą. Z tego powodu polityka panujących austryackich nie wymaga już faworyzowania niemieckiego żywiołu w Austryi, a konstytucyjne państwo austryackie nie toleruje już systematycznego ucisku swoich ludów w ich prawach naturalnych i swobodach. Wewnętrzna polityka Austryi nie ma więc żadnego rozsąd-

nego powodu germanizowania nie-niemieckich ludów, i jeżeli tego nie czyni, daje tym sposobem dowód, że doskonale pojmuje zmienioną pozycyą Austryi, jak również wynikające stąd koniecznie nowe zadania rozumnéj polityki wewnętrznéj i że według tego zdecydowaną jest postępować. Jeżeli zatém tak zwani liberaliści niemieccy w swoich pretensyach do hegemonii narodowéj w Austryi, po pierwsze, nie biorą w rachubę zupełnie przekształconego stosunku Austryi do Niemiec, a powtóre, chcą te swoje pretensye opierać na prawie zwyczajowém urzędników państwowych pochodzącém z czasów absolutyzmu, to można o nich słusznie powiedzieć: „Niemcami są oni ale w jaki sposób mogą zwać się liberalnymi, to już chyba tylko prawem zwyczajowém da się objaśnić.“

I cóż właściwie mówi ogołocona z uczonych fatałaszków owa teorya jurysty Ungra o prawie zwyczajowém, według któréj w całéj Austryi mowa niemiecka musi zostać uprzywilejowanym językiem urzędowym? Nic innego, prócz tego, że urzędnicy państwowi austryaccy *przyzwyczaili się* oddawna urzędować po niemiecku, a ponieważ do tego przywykli, więc tak musi pozostać i żaden naród w Austryi nie może rościć pretensyi do uwzględnienia swego języka w urzędzie i sądzie, *bo w przeciwnym razie żywioł niemiecki jest w Austryi zagrożonym*!

Profesor uniwersytetu czeskiego, radca dworu Randa odpowiedział w izbie panów bardzo trafnie na te wywody: Żywioł niemiecki nie jest zagrożonym. Zagrożone są tylko wygody niektórych radców najwyższego trybyuału i takich, którzy do tych urzędów wzdychają“ (ale znów za bardzo lubią wygodę, aby się po czesku nauczyć). Randa odparł gruntownie w swojéj dowcipnéj mowie wszystkie prawne wątpliwości, podniesione przeciwko rozporządzeniu językowemu z 23 września i dowiódł bezzasadności wszelkich zarzutów w sposób jaknajbardziéj przekonywający. Zauważył téż słusznie w zakończeniu mowy, że powtarzane ustawicznie ze strony partyi niemieckiéj twierdzenie jakoby rozporządzenie językowe miało wywołać zaniepokojenie wśród ludności niemieckiéj, niema żadnéj podstawy (1), właściwą bowiem przyczyną panującego wśród téj ludności rozdrażnienia (nie zaniepokojenia) jest narodowy szo-

---

(1) Niech mi wolno będzie do tego ogólnego twierdzenia p. Randy dodać specyalny przykład z mego osobistego doświadczenia. Na sesyi sejmu czeskiego w 1880 r. wspominano pierwszy raz publicznie o „głębokiém zaniepokojeniu“, które, według zapewnień posłów niemieckich, spowodować miało wśród ludności niemieckiéj pierwsze rozporządzenie językowe z 19 kwietnia 1880 r. Byłem wtedy w sejmie, zabrałem głos i oświadczyłem, że w miejscu mego urodzenia, w niemieckiém miasteczku Wartenbergu podobne zaniepokojenie nie istnieje i powołałem się przytém na list mieszkającego tam podówczas brata mego, który pisał do mnie, że nikogo nie niepokoi myśl przyznania Czechom ich pra-

winizm, rozpowszechniony bez miary od czasu niemieckich zwycięstw 1866 i 1870 roku, pielęgnowany kunsztownie przez agitatorów narodowych, szowinizm, który już i w izbie poselskiéj w ten sposób się wyraził, że Niemcy otwarcie wypowiedzieli żądanie, żeby niemieckiemu plemieniu w Czechii przyznane było nieograniczone panowanie nad skazanemi konstytucyjnie na wieczną niewolę Czechami.

Przy głosowaniu odrzucono wnioski Schmerlinga i sprawozdawcy, a wniosek mniejszości prawicy, za którym w *plenum* izby panów głosowała także i partya środkowa, został znaczną większością przyjęty. Oświadczyła zatém austryacka izba panów uroczyście, że przeciwko rozporządzeniu ministra sprawiedliwości z 23 września niema nic do nadmienienia ani pod względem prawnym ani ze strony politycznéj, że więc potrzebę jego i użyteczność w zupełności uznaje. Tę uchwałę izby panów z 7 maja 1887 r. można zapisać jako doniosłe zwycięstwo w walce narodowéj, którą my Czesi musimy prowadzić przeciw nieograniczonéj żądzy panowania i pysze narodowéj Niemców. Nieprzyjaciel jednak nie został bynajmniéj na głowę pobity, a to, czego z utęsknieniem pragniemy, zawarcie trwałego i rozumnego pokoju, nie jest jeszcze bliskiém.

Do historyi walki o rozporządzenie językowe ministra sprawiedliwości z 23 września, w tak gwałtowny prowadzonéj sposób, dodać jeszcze wypada, że ta partya, która obecnie namiętnie występuje przeciw rozporządzeniu, jako przeciw rzeczy nielegalnéj, sama uroczyście składa dowody, że wszelkie jéj dzisiejsze przeciw rozporządzeniu temu stawiane zarzuty i twierdzenia, zupełnie pozbawione są podstawy.

Dr. Edw. Herbst przywódca dzisiejszéj, niemieckiéj opozycyi, w 1868 (23 lutego) jako minister sprawiedliwości ówczesnego „wierno-konstytucyjnego", wrogiego Słowianom gabinetu Auersperga, wystosował reskrypt do prezydyów najwyższych trybunałów krajowych we Lwowie i w Krakowie, który brzmi jak następuje:

---

wa narodowego w sądzie i w urzędzie, byle tylko Niemcom prawa tego nie odjęto, czego znów nikt nie przypuszcza. To rozsądne wyjaśnienie wywarło naturalnie silne wrażenie na wszystkich bezstronnych słuchaczów. Ale partya niemiecka musiała je zatrzéć. Pewien poseł, członek stronnictwa niemieckiego, był przypadkiem szwagrem burmistrza wartenberskiego. Poseł wymógł na szwagrze deklaracyą, stwierdzającą „głębokie zaniepokojenie" wśród ludności wartenberskiéj z powodu rozporządzenia językowego i znaglił go do odczytania na posiedzeniu rady miejskiéj w Wartenbergu. Burmistrz zrobił tę przysługę swemu szwagrowi, panu deputowanemu, odczytał deklaracyą ale w nieobecności mego brata (który był również rajcą miejskim, lecz nie potakiwał bezwarunkowo p. burmistrzowi), i prosił uprzejmie innych rajców, ażeby rzecz całą uchwalili, bo ją panu szwagrowi, który się śpieszy, odesłać trzeba. Tak urządzano wtedy t. z. „adresy o zaniepokojeniu".

„Przyczyniłoby się to wielce do szybkiego załatwiania spraw i wzmocniłoby zaufanie w zasadność rozpraw sądowych, gdyby w sądach pierwszéj instancyi tamecznego okręgu najwyższego trybunału krajowego, jak niemniéj w samym najwyższym trybunale (jak to ma miejsce w sądach okręgowych), w sprawach, które z mocy istniejących przepisów nie w niemieckim, lecz w polskim języku (dla Lwowa w rusińskim) są prowadzone, i w których decyzya i wyrok wydają się w języku stron, — *już właściwy referent sporządzał wyciągi z akt, wnioski i ich motywa w tym języku, w jakim podanie do sądu zostało wniesione, jak również, żeby rozprawy w tymże odbywały się języku, przy takiéj bowiem procedurze ustałaby potrzeba pochłaniającego czas przekładu zapadłych już decyzyi i ich motywów, co dla samego przebiegu spraw mogłoby być tylko z korzyścią.*“ Wezwane są nadto w tym reskrypcie prezydya odpowiednich trybunałów krajowych, „ażeby podały do wiadomości członków najwyższego trybunału krajowego, że nie tylko skuteczność tego środka nie podlega żadnéj wątpliwości, *ale że taka procedura odpowiada interesom sądownictwa.*“

Mimo tó opozycya niemiecka w izbie poselskiéj rady państwa walczy namiętnie przeciw wzmiankowanemu rozporządzeniu ministra sprawiedliwości dlatego, że ono teraz Czech dotyczy; korzysta więc ze sposobności rozpraw nad budżetem i przedstawia istnienie monarchii austryackiéj, jako zagrożone i zachwiane w podstawach, ponieważ na rzecz narodowego równouprawnienia Czechów zrobiono ustępstwo.

W ostatnich czasach d-r Schmeykal, przywódca polityczny Niemców w Czechii, w mowie programowéj, wygłoszonéj w Czeskiéj Lipie na zgromadzeniu wyborczém, wskazał kurye narodowościowe jako środek, którym-by tamę położyć można opłakanéj walce narodowości w Czechii. Te kurye narodowościowe proponowane były najprzód na sejmie czeskim 1871, kiedy rozpatrywano i uchwalono prawo o narodowościach, w którém § 10 brzmi: „Dla zapewnienia nietykalności praw obu narodów, dzieli się sejm czeski na dwie kurye narodowe.“ Zadaniem tych kuryi miało być samodzielne rozstrzyganie spraw dotyczących jednéj tylko narodowości. Nasza partya narodowa powitała z radością propozycyę d-ra Schmeykala, jako wskazaną przez nas już w 1871 r. drogę do załatwiania sporu narodowego. Ale organa krańcowych narodowców niemieckich dodają do projektu przywódcy niemieckiego uwagę, że kurye narodowościowe mogłyby być przyjęte tylko po spełnioném administracyjném i politycznem przepołowieniu Czechii. Dalecy więc jeszcze jesteśmy od zawarcia pokoju narodowego, bo wątpić należy, czy spełni się ten przedwstępny warunek. W przyszłym liście będę

miał sposobność donieść o dalszym przebiegu tych pozornie pokojowych rokowań.

Na zakończenie pozwolę sobie jednéj jeszcze reasumującéj uwagi. Opisałem znów różne fazy nieszczęsnego sporu narodowości i zbrakło mi miejsca na inne sprawy. Czytelnik tego listu zostanie może pod wrażeniem, że walka między Niemcami a Słowianami w Czechach prowadzona jest w sposób świadczący o spotęgowaniu się jéj gwałtowności, i że ten bój prowadzony nierównemi siłami, w nierównych warunkach, jest dla narodu czeskiego rzeczywistą walką o byt, co o stronie niemieckiéj nie da się powiedziéć. W tych zapasach rozterki stronnicze, przytrafiające się u Niemców nie mają bynajmniéj tego fatalnego znaczenia, téj doniosłości jak u Czechów. O narodowych pesymistach czeskich wspominałem już i wyraziłem nadzieję, że te dążności nie przyniosą dotkliwéj szkody pomyślnemu przebiegowi sprawy narodowéj. Przeciwnie, można stąd odnieść małą korzyść, bo młodo- i staro-czesi, napadani i potępiani jednakowo przez pesymistów, nader energicznie *viribus unitis* prowadzą walkę przeciwko téj *soi-disant* „partyi narodowéj.“ Czy młodo- i staro-czesi okażą się i w innych sprawach wiernemi sprzymierzeńcami, trudno dziś jeszcze przesądzać; osobiste względy więcéj tu niestety znaczą, aniżeli przedmiotowy sąd o rzeczy i prawdziwy patryotyzm.

Praga, 16 maja 1887 r. *D-r Gabler.*

P. S. Jeszcze w możliwie krótkiém streszczeniu najnowsza wiadomość, z któréj dzienniki niemieckie usiłują wnioskować o wielkiéj fatalnéj rozterce w narodzie czeskim.

Zakaz policyjny, wzbraniający uroczystego pochodu na 25-letni jubileusz praskiego „Sokoła“ a datowany dn. 6 maja, doręczony był temu stowarzyszeniu 7 maja.

11 maja d-r Rieger zaprowadził deputacyą „Sokoła“ do prezesa ministrów hr. Taafego i popierał jéj prośbę o cofnięcie zakazu. Hr. Taafe oświadczył, że nie może tego uczynić po odpowiedzi, jaką dał w radzie państwa niemieckiemu posłowi Bendlowi na interpelacyą jego w przedmiocie policyjnego wzbronienia pochodu niemieckiego stowarzyszenia gimnastów w Pradze.

W tym samym dniu uchwala jednogłośnie czeski klub posłów do rady państwa, żeby podać rządowi w téj sprawie *promemoria*, w którém postępowanie rządu ostro jest zganione i na to *promemoria* zgadza się także w zupełności d-r Edward Gregr.

Po tém posiedzeniu klubowém d-r E. Gregr popełnił niedyskrecyą, zasługującą pod każdym względem na naganę, jedynie bo-

wiem dla zaszkodzenia w opinii publicznéj prezesowi klubu Riegerowi, przekręcił w zaufaniu wyrzeczone przez niego słowa w ten sposób, jak gdyby d-r Rieger otwarcie oświadczył, że naród czeski jest teraz skazany na zbieranie choćby pod stołem porzuconych mu (przez rząd) okruchów i udzielił swemu bratu do jego dziennika „Narodni listy“ tak przekształcone wyrażenie Riegera, przeznaczając je do dalszéj publikacyi i tendencyjnego komunikowania.

16 maja 52 posłów czeskich do rady państwa potępiło w uroczystéj manifestacyi postąpienie d-ra Gregra, jak na to zasługiwało, a d-r Rieger wezwany został do reorganizacyi klubu czeskiego.

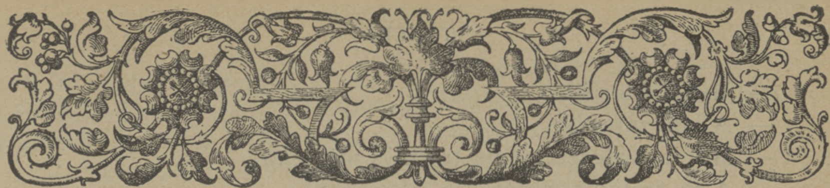
18 maja rozwiązano klub czeski; d-r Rieger zaprosił wzmiankowanych wyżéj posłów czeskich, ażeby zajęli się przetworzeniem klubu czeskiego, co téż zostało dokonaném 19 maja. Sześciu posłów czeskich, mianowicie d-r Gregr, d-r Engel, Adamek, hr. Kaunitz, d-r Vašaty i Veselý nie podpisali wotum zaufania dla Riegera, nie wezwano ich téż do rekonstrukcyi klubu czeskiego. Dwóch z nich, Adamek i Veselý, uczynili to późniéj i zgodnie ze swém życzeniem zostali znów przyjęci do nowego klubu czeskiego.

21-go maja czteréj pozostali: d-r Gregr, d-r Engel, hr. Kaunic i d-r Vašaty przedstawili do odczytania w izbie poselskiéj wniosek, w którym rząd był wezwany, aby cofnął zakaz tyczący się uroczystości „Sokoła“, co do formy zaś proponowali odesłanie wniosku do komisyi z 15 członków pod obrady i do zdania sprawy.

Wniosek został jednogłośnie przez całą izbę odrzucony, widziano bowiem w nim dziecinny manewr zgotowania kłopotów nowemu klubowi czeskiemu. Jakkolwiek klub wystosował w téj sprawie nader energiczne *promemoria* do prezesa ministrów, głoszą jednak „Narodni listy“ swoim czytelnikom, że obecnie w radzie państwa tylko d-r Gregr broni praw i swobód narodu czeskiego.

Następnie, 23 maja wydał d-r Gregr manifest do swoich wyborców, w którym broni swego postępowania i potępia d-ra Riegera. „Twierdzenie — mówi d-r Gregr — jakobym zdradził tajemnicę klubową, jest nieuczciwą, złośliwą, nędzną potwarzą. W czeskim klubie nie działo się dotychczas nic takiego, coby warte było zachowywania w tajemnicy.“ Cytata powyższa wystarcza do scharakteryzowania d-ra Ed. Gregra. D-r Engel i hr. Kaunic są osobistościami bez znaczenia, a d-ra Vašatego nazwały raz „Narodni listy“ podejrzanym charakterem. Co zaś do samych „Narodnich listów“, istnienie ich da się tylko wytłómaczyć małą jeszcze polityczną dojrzałością ludu czeskiego. Z zupełną prawie pewnością można przewidywać, że ta gazeta w niedalekim czasie zupełnie w opinii upadnie.

Praga, 25 maja 1887. *D-r Gabler.*



SALON PANI MARCINOWÉJ.

(OBRAZEK Z BRUKU WARSZAWSKIEGO).

Każdemu, kto choć raz w życiu szedł na Powązki, albo dźwigał uciułane grosiwo do kasy oszczędności, albo zresztą miał przed laty interes do Dyrekcyi ubezpieczeń, albo do drukarni Ungra, znaną być musi ulica Popielata, a na niéj jedna z najosobliwszych w Warszawie kamienic, oznaczona N. 000. Osobliwą jest ona z wielu względów: raz dlatego, że, szukając mieszkania stróża, można kark skręcić, a stróża nie znaleźć; bo schody, prowadzące do piwnicy, w któréj warszawianie przywykli szukać stróży, są bardzo kręte i ciemne, a stróż tam nie mieszka; nie mieszka też ani pod schodami, ani na strychu, ani w żadnéj budzie, ani przy bramie, ani przy śmietniku, ani na żadném inném miejscu, uprzywilejowaném dla warszawskich rycerzy miotły; powtóre, że ma obszerny dziedziniec, oświetlony wieczorem latarnią gazową, i cały wybrukowany kostkowym granitem daleko gładziéj i trwaléj, aniżeli jakakolwiekbądź ulica warszawska. Powiadają o tym bruku...—ale to do rzeczy nie należy. Potrzecie... Chcąc się dowiedzieć tego „potrzecie", szukasz stróża: kręcisz się więc po bramie, oglądając się wkoło niespokojnie, azali cię nie podejrzą o złe zamiary i, spostrzegłszy jakąś mocno zasmoloną dziewczynę szybko wchodzącą w bramę, zapytujesz słodziutkim głosem:

— Panieneczko śliczna, czy panienka tutejsza?

— Abo ja to śliczna?—A czego pan chciał?

— A gdzie tu stróż mieszka?

— A w bramie!

Oglądasz się, dziewczyna znikła, a stróża jak nie było, tak nie ma. Nadbiega jakiś chłopczyk.

— Kawalerze, gdzie tu stróż mieszka?

— A co pan chciał od niego?

— Mam interes?

— A jaki interes?

— Mój kawalerze, gdzie tu stróż mieszka?

— A to za temi szklanemi drzwiami!

Otwierasz drzwi szklane, znajdujesz paradne schody, a pod schodami żadnéj komórki, żadnego „czegoś“‘ coby zdradzało pomieszkanie stróża. Rejterujesz znowu do bramy i zaglądasz na dziedziniec: Aż oto z jakiejś pomalowanéj na czerwono sionki wychodzi niski, barczysty jegomość, schludnie i dostatnio ubrany, z miną czupurną i postawą, oznaczającą co najmniéj przyzwoitego rzemieślnika. Dzierży on jednak w rękach godło swego urzędu, po którém poznajesz stróża. Aliści, niepewny, czy taka persona może zajmować tak podrzędne stanowisko, gapisz się jeszcze, póki nie ujrzysz, jak persona z całą powagą wywija w prawo i w lewo długą miotłą, bynajmniéj nie zważając na to, że jakiś przybysz łazi po bramie.

— Marcinie! ty niezdaro! a pójdź tu! — zapiszczał cierpki głos tuż za twemi plecami.

Na dźwięk tego głosu podniosła głowę persona z miotłą i, popatrzywszy w bramę, odwróciła się pogardliwie, pełniąc daléj swoję powinność.

— Marcinie! Powiadam tobie, pójdź tu zaraz! Jak ty śmiesz, heretyku, w uroczysty dzień zamiatać! A bodajeś ty skisł! bodajeś się zaprzepaścił! Jeszcze czego! żydom w niedzielę podwórze zamiatać! A nie położysz ty mi miotły! A cóż ty sobie myślisz? czyś ty nie katolik, czyś ty nie szlachcic z dziada pradziada! Bodajem cię nie widziała! Pójdź tu zaraz! Panowie po gazetach pisują, że stróż przecież nie bydlę, a ty jak bydlę żyjesz, niedzieli świętéj nie znasz! A bodajbym była ręce i nogi połamała, zanim ja za ciebie wyszła, ty niezdaro!

— Stultum pyskum! — rzekła z powagą persona, obmiatając śmietnik.

— Ja ci mówię pójdź tu! — zawrzasnęła kobieta.

— Mar-ci-nooo-waa! co Marcinowa za hałas robi? — odezwał się z lufcika jakiś głos przeciągły i flegmatyczny.

— A bo pani Boga w sercu nie ma, że mojemu każe w święto zamiatać! A cóż to? bez ten jeden dzień podwórze się zaprzepaści, czy co? Przecie i stróż musi iść do kościoła, kiedy jest katolik i do tego szlachcic! On by mógł być szwajcarem i woźnym, żeby chciał, tylko że głupi niezdara! A bodajem ręce i nogi połamała! Póki tu był katolik, to nie było takiéj aprehencyi!

— Marcinooowaa! ja wam coś powiém! Idźcie do ślusarza, coby wam gębę zamknął.

— Widzicie ją! jaka mi pani! Tfy ! — odrzekła pod nosem Marcinowa, rumiana z bystremi, buremi oczkami kobiecina, spoglądając pogardliwie, czy z bojaźnią na zamykający się lufcik.

— A pan czego?—zapytała opryskliwie.

— Gdzie tu jest stróż?

— A bo co?

— Czy jesteście stróżką?

— Widzicie go! *Jesteście... stróżką...* — mówi przedrzeźniając z gestem pogardliwym.

— Moja pani łaskawa!...

— Mnie tu wszyscy nazywają panią Marcinową.

— Moja pani Marcinowa...

— Po prostu: pani Marcinowa!

— Do kroćset, gdzie tu stróż, pytam!

— A bo co?

— Gdzie tu mieszkanie do wynajęcia?

— Już wynajęte... a powtóre, czyś pan katolik?

— Héj! stróżu!

— Nie potrzeba wołać, bo ja jestem stróżka czyli odźwierna. Ale dziś niedziela.... jeżeliś pan żyd, to trza było przyjść wczoraj.

— Stultum pyskum, ty niegodziwa babo!—w samą porę zainterpelował dzierżyciel długiéj miotły, chowając oznakę swéj godności za drzwiami piwnicy.

— Czego to pan chciał?

— Gdzie tu jest mieszkanie?

— Powiedziałam, że już wynajęte,—odpowiada kobieta.

— A czemu karta wisi?

— Stultum pyskum! do milion fur beczek!—czyni apostrofę pan stróż do swéj kobiety i daléj ciągnie innym tonem:—Mieszkanie jest kawalerskie.

— No, właśnie!

— Niech pan pozwoli.

Idziesz tedy za nim,—przechodzisz przez drzwi szklane, potém przez czerwone, ozdobione numerem zwykłego lokalu, rozglądasz się po ciemnéj kuchni, dość obszernéj, mijasz drzwi drugie i wchodzisz do dużego pokoju o weneckiém oknie.

— Czy to tutaj?

— Nie; tutaj my mieszkamy. Mieszkanie zaraz panu pokażę, tylko klucza poszukam.

— Kiedy go zabrali...

— Ejże, Weronisiu! Stultum pyskum! Czy pan kawaler?

— Kawaler.

— A kto panu usługuje?

— Naturalnie, że służący.

— To pan ma lokaja?—zapytuje się pani Marcinowa z niejakiem uszanowaniem, lecz powątpiewająco mierząc cię od stóp do głowy.

— A to pan tu nie będzie mieszkał—odpowiada Marcin. — Bo tutaj tylko my możemy usługiwać kawalerom.

— Doprawdy?

— A tak, bo inaczéj gospodyni nie wynajmie.

— A to powiédz gospodyni...

— Już ja wiem;—że pan nie wynajmie.

W ten więc sposób odkryliśmy nie tylko trzecią osobliwość rzeczonéj kamienicy, a mianowicie nader obszerne i dogodne mieszkanie dla stróża, warte co najmniéj dwieście złotych kwartalnie. Odkryliśmy téż, jak się rzekło, inne osobliwości, które, że do rzeczy nie należą, przeto je się pomija.

Ta siedziba stróża, ten obszerny pokój o weneckiém oknie, dość schludnie utrzymywany — to salon pani Marcinowéj, salon, w którym odegra się krotofila tak dobra, jak w każdym innym salonie...

* *
*

— Poszedł sobie... Niech go milion fur beczek! A tak pokaźnie wyglądał!

— A ja ci mówię, Marcinie, żeś niezdara, bo przy niedzieli nie robi się żadnych interesów! A widzisz! a mówiłam ci, że to naprożno, że tylko twego pyska szkoda!

— Głupiaś, Weronisiu i basta! stultum pyskum!

— Głupiaś! widzicie go! A nie przyogarnij-no mi się, to ja cię tu zaraz nauczę rozumu! Ja ci powiem: „stultum pyskum"!—zobaczysz!—rzekła Marcinowa z energicznym gestem, przed którym cofnął się podbródek Marcina.

— Czego ty chcesz ode mnie?

— A to się przyogarnij, bo dziś święta niedziela; a powtóre, cóż to? zapomniałeś, że przyjadą Polikarpy?

— To i cóż?

— A bodajeś ty skis! To ty może z miotłą im się pokażesz? A bodajem ręce i nogi połamała, zanimem za ciebie wyszła! To tak postępuje szlachcic legitymowany? Czy ty 'masz Boga w sercu, żeby cię wszystka szlachta językami obmiotła? A jakżebyśmy na cząstkę potém wrócili? A jakżeby my Kundzię dla Walusia dostali? Oj ty płocie, płocie! tylko do ciebie szkapę uwiązać!

— A no, to prawda! A czyć oni pewnie przyjadą?

— Róbno ty com kazała, to obaczysz! Jeno żywo, bo mi się zdaje... Hi! hi! hi! Tak mi Boże do skonania dopomóż... Hi! hi! hi... Czy ty wiész, kapuściana głowo? A mnie się zdaje, że to nie bez kozery! Oni właśnie zjadą na oględziny, a może i Kundzię przywiozą!

— A zkądże ty wiész?

— A nie pisali li to, że woleliby krewniaka, byle Kundzi wpadł w oko? A my przecie najbliższe krewieństwo. Twój ojciec i Polikarpowa matka to byli sobie od wujecznych cioteczno-stryjeczni, a moja matka i Polikarpowéj matka to byli sobie krewieństwo od siódmego pokolenia, i mój ojciec był im téż powinowaty obojgu, a twoja matka to jakby od cioteczno-ciotecznych z ciotką matki Polikarpa i ze szwagrem Polikarpowéj przecie w blizkiém krewieństwie, oni sobie nawet mówili: brat i siostra.

— Toć prawda!

— Ogarnij że się!

— Trza się ogolić.

— Nie mogłeś tego wczoraj zrobić, jeno dzisiaj, przy niedzieli—na ostatni moment?

— I ty mówisz, że daliby Kundzię Walusiowi?

— Oj ty rogu barani! oj ty nogo stołowa! A cóż to ja ułamek? nie mam głowy na karku?! Niech no oni tylko tu zjadą, a do tego z Kundzią, to obaczysz!

— Toć prawda! A no, matka, daj ciepłéj wody!

— O la Boga! o rety! a wyjrzyj-no oknem! toć to oni po dziedzińcu łażą!

— A oni!

— I z Kundzią!

— I z Kundzią! toć prawda.

— Gólże się, gól, a ja lecę po nich.

Za chwilę do salonu pani Marcinowéj wgramolili się: pani Marcinowa na czele, pani Polikarpowa, dość fertyczna kobiecina, pan Polikarp, niski, barczysty, ogorzały szlachetka z miną zawadyacką i oczami przebiegle na wszystkie strony latającemi, i na ostatku ładne, ogorzałe, wysmukłe, lecz niezgrabne i nieśmiałe dziewczątko.

— Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen!

— Pokój temu domowi!

— I ludziom dobréj woli!

— Witajcież, kumie, na tém miejscu!

— Witajcież mi, panie bracie! A przyjmij-że, Weronisiu, chlebem i solą!

— Dobre słowo starczy.

— A tośmy się przecie obaczyli!

— A jakże, góra z zgórą się nie zejdzie... Aleć też tu u was ludno w téj waszéj Warsiawie!

— Weselić to u nas na ojcowiznie!

— A i tęsknicież do zagona?

— Bogać! Toć człek uciułał w téj ono Warsiawie para groszaków; ino się ogląda, żeby wartało jeszcze przysporzyć, a dopiero kupić cząstkę co się zowie!

— Widzi się, jakoby Warsiawa nie macocha, kiéj grosz ciułacie a i dostatnio pono żyjecie.

— Toć prawda! Nie dał Pan Bóg dostatniéj schedy, ale za to rozumu nie poskąpił; toć człek sobie radzi!

— Ale téż i wyglądacie rzeźko!

— Bogu dzięki. I wam téż, panie bracie, Bóg daje zdrowie.

— Łaska boska! A oto i nasza córka Kundzia! Przywieźliśmy ją do Warsiawy, bo to ciekawe; niech téż się światu napatrzy.

— Niczego dziewczyna! Dał Bóg urodę, i wiano téż musi jest szlacheckie.

— Toć jeszcze nie przepiliśma ojcowizny!

— Uchowaj Boże! Pewnikiem Pan Bóg co przyłożył?

— Ha, tak tam trochę się przysporzyło, z łaski boskiéj.

— Dziewczynie tylko za mąż!

— Młode to jeszcze, ale że mamy z tém kłopot,—bo się rwie do gospodarstwa, a pracowite to, gospodarne, wychowane w łasce boskiéj,—nie będzie jéj człek chował w komorze.

— Toć prawda. Siadajcież, mili goście!

— Czémże was téż uraczyć? — odezwie się pani Marcinowa, która, jak obyczaj każe, odezwała się nie pierwéj, aż na nią koléj przyszła.

— O la Boga! co się tam mata szkodować!

— O! toćże my jeszcze, chwała Przedwiecznemu, nie *zbankretowali*! Mówcież, kumusiu, ale tak przez żadnéj *czyrymonii*; czemubyście téż najbardziéj radzi?

— Ej! co się ta mata szkodować!

— Możeby kawy sporządzić?

— Bóg zapłać za kawę; toć jéj nie ułakniema w domu!

— To możeby z bawaryi co przynieść?

— Bóg zapłać za bawaryą!—odrzekła kobiecina wahająco, rzucając pytające spojrzenia na męża.

— E, bo widzita, kumusiu, — ciągnie z uśmiechem wyższości pani Marcinowa—bo my tu w Warszawie nie chodzimy po gorzałkę, ani po piwo do karczmy...

— A to też to mój się nadziwować nie może, co w takiém wielkiém mieścisku ani karczmy ani austeryi spotkać nie można..... A czemuż mi się za kieckę trzymasz, Kundziu?

— A bo my téż gadu, gadu, a wy stoita... Siadajcież, prosimy.

— Bóg zapłać; toć żeśmy bez całą drogę nasiedzieli się do syta.

— Ale co tam! Siedzenie nigdy nie zawadzi! Siadajta i już!— I z témi słowy pani Marcinowa sadza na kszesełkach dwie swoje przyjaciółki, rozglądając się pilnie, gdzieby usadowić kuma, bo w stancyi nie było krzeseł do zbytku.

— A to wiész co, matko — odzywa się Marcin — skoknij ty naprzeciwko, abo do tunelu, po bawarskie...

— A co myślisz, Marcinie, żeby tak jeszcze kimlu trzeci numer i *blutwurszczu*, albo co?

— Aj kimel, to ci panie, kimel my tu mamy. Już ci ty wiész, stara, co najlepsze; wystąpże pokaźnie, jak Pan Bóg przykazał. Toć przecie mamy na to.

— Duchem się wrócę, — mówi Marcinowa do podlasianki, — siedźtaż tu kumeczko, a gwarzcie z moim starym. Ho, ho! to nielada głowa!—rzekła głaszcząc Marcina po twarzy.

— O la Boga!—zauważyła matka Kundzi—toć nie całujtaż się aby przy dzieciakach!

— Co téż, kumusiu, przychodzi wam do głowy! Toć-że człek jeszcze nie zheretyczał w Warszawie.

— Biegaj, stara, biegaj, a zawracaj duchem! Bo musita wiedzieć, pani kumo, — mówi Marcin po wyjściu żony — że my żyjemy w bojaźni bożéj, i Pan Bóg nam błogosławi. Zebraliśmy, niechwaląc się, para groszaków, daliśma edukacyą dzieciom... syn, panie, jest jurystą...

— Jurystą! patrzajcież! Toć on i po łacinie musi potrafi?

— A bogać... i po szwajcarsku i po francusku... i z żydami, panie, galancie się rozmówi...

— Co téż, panie bracie, *padata*!

— A jakże... Córka, panie, téż po francusku spedyte... że i ja, chociaż na starość, sfrancuziałem ta krzyneczkę od niéj... *parle... parlé... ui... ui...*

— A bo téż tu w téj Warsiawie, to ponoć straszecznie naród uczony, ino heretycki ma być...

— Ej, to bajki, panie bracie... różnyć tu jest narod, co prawda...

— Tatusiu...—odzywa się Kundzia bojaźliwie.

— A no, mów, dziecko, mów... boć i moja dziewucha, choć na cząstce hodowana, potrafi się taj do ludzi odezwać!—objaśnia szlachetka.—Mów, dziecko!

— Bo we dworku, tośmy zawżdy słyszeli ino,—mówi Kundzia, patrząc w ziemię — że we Warsiawie, choć to piękne miasteczko, bezbożeństwa dużo... ale jak my do Warsiawy wjeżdżali, to ja mówię do ojczaszków: toć nieprawdziwie Warsiawę obnieśli; dyć patrzta, ojczaszki, we Warsiawie musi jest kościół przy kościele...

— Ej, to nie kościoły, moja krewniaczko — odrzekł Marcin — jeno te wspaniałe budowle, to kamienice.

— To też, kiéj my do Warsiawy wjechali,—odzywa się matka Kundzi—dziwno nam było, gdzież tu ludzie *mięszkają*, kiéj tu same kościoły...

— A ja matusi zaraz mówię: — przerywa Kundzia — widzi mi się, matusiu, że to nie kościoły, ino dwory takie wspaniałe, jak to w książkach opisują, — mówi dobitniéj — aż tu hen my obaczyli kościół prawdziwy, potém i drugi...

— Oj! że piękne, to piękne te wasze kościoły... ale co figury, to już dziw nad dziwy... Patrzymy z mostu, stoi figura... Takiéj dużéj jako żyw nie widziałem. Pytam też ludzi, co to za święty...

— Ej, to pewnie Zygmunt...

— Toć święty Zygmunt. Musi apostoł, bo ma krzyż wielki...

— Proszę tatusia... Bo to widzi pan Marcin, ja przekładam tatusiowi, że w *Ołtarzyku Złotym*, ile zapamiętałam, nie ma świętego Zygmunta apostoła, tylko święty Zygmunt królewicz...

— Toć i ja mówię — odzywa się Polikarpowa—że Kundzia jakoby sprawnie mówi. Bo ono i święty na figurze w drugiéj garści ma miecz, a na głowie widzi się koronę.

— Bogać ja temu przeciwny. Ino kalkuluję, że może to święty Zygmunt królewicz, a może święty Zygmunt apostoł, boć apostołowie święci orężnie walczyli za naszą świętą wiarę... Cóż, panie bracie, nie mam że racyi?

— Mnie się widzi,—odpowiada Marcin—że *wiency* jakoby było wedle Kundzi podobniejsze do prawdy. Bo tutaj poprostu powiadają, że to król Zygmunt.

— Tak... to tedy święty Zygmunt, król?

— A prawda, tatusiu, jest święty Zygmunt król... jest w „*Wielbij duszo*“. I mnie się widzi, że to ten sam święty królewicz popóźniéj królem się ostał...

— Tu w Warszawie to mówią, jakoby to nie był żaden święty.

— Chryste Panie!—przerywa Marcinowi Polikarp—a za cóż by mu figurę stawiali... i z krzyżem...

— Toć i ja mówię to samo Weronisi, ale kiéj się zawżdy ze mnie uliczniki *śmiały*, jak się żegnałem krzyżem świętym przed figurą Zygmunta.

— *Śmiali* się! a to heretyki!

— Tak ja téż tera dałem pokój...

— I nie żegna się?

— Żegnam się! a jakże!... toć Pana Boga w sercu mam — ino żegnam się w duchu.

— O, Chryste Panie! to może i prawda, co gadali o Warsiawie!

— Ej, nie! bo tu lud bardzo nabożny. Żebyśta przyjechali rankiem, to poszlibyśmy do kościoła... ludu jak nabił w każdziutkim kościele... a to, panie, gmachy, nie kościoły... a postrojone to, panie, odświętnie, wszystko przykładnie modli się na książkach...

— No, to jakże? kościoły piękne mają, figury stawiają, a jakoś nie wszystko jest tak, wedle naszych obyczajów...

— Jużci co kraj...

— Prawda!—to obyczaj.

. . . .

— Dajże, Marcinie, kieliszki! — mówi Marcinowa, wchodząc z butelkami.

— O Jezu Chryste! pocóż to tyla?

— To kimel trzeci numer; drogi bo drogi... ta kapka dwa złote i groszy dwadzieścia.

— La Boga!

— Bawar... to takie piwo... My tu innego nie pijamy... Po piętnaście groszy flaszka.

— Ho! ho!

— I funt rozmaitości.

— A to dobrześ zrobiła, Weronisiu!

— Funt rozmaitości kosztuje u nas, kumusiu, trzy złote...

— Jezu Chryste! toście się téż kumciu wyszkodowali!...

— Ej, co tam! Niech wam będzie na zdrowie! Mój, jak pójdzie ze swoją kompanią na bawaryą, to potrafi i trzy ruble i więcéj stracić.

— Chryste Panie!

— Co téż gadasz, Weronisiu!... Przeszłéj niedzieli straciliśma oboje na Kępie, widzi się, sześć rubli... Ale cóż! widzita, panie kumie, w Waszawie to taki obyczaj! Z ludźmi żyć trzeba...

— A jużci — wléziesz między wrony...

— Krakaj jak i ony, — kończy Marcin; — to téż, panie kumie, straci się, to się straci! Ale w Warszawie to fracha! Pieniądz płynie, że nie wiadomo zkąd! Człowiek żyje bogobojnie, a choć to cza-

sem straci się z dobrymi ludźmi, to i tak *w dubelt* Pan Bóg da i do kaletki się schowa. W ręce wasze, panie bracie.

— Daj Bóg zdrowie! Ja do mojéj staréj.

— Ej, nie wypada! Przepij do kumci.

— Pijcie, panie bracie, do mojéj.

— A to, pani kumo, to w ręce wasze!—Ho! ho! *Padam* ci Łucko, że to panie napitek.....

— A co, panie kumie! nasz kimel!

— Ja myślę, że to gorzałka, ale jakaś chyba nie tutejsza.

— A tylko.... to hen, hen, aż zza morzów do Warszawy wszystko idzie. No, zakąścież!

— Bóg zapłać, nie głodniśwa! — przy tych słowach Polikarp łakomie spogląda na zakąskę i ciekawie przygląda się onym kawałkom rozmaitości. Marcin, świadomy obyczajów podlaskich, wtyka gościowi kawał chleba z szynką.

— Widzi się, że to szynka.... A oto znowu kiełbasa.

— To téż to *rozmaitości!*

— Aha! No, sprobujta Łucko i Kundziu, chociaż wy nie głodne. Alež to specyały!

— A co téż powiecie na bawarskie! — mówi Marcinowa, obdzielając kobiéty. — Naléj no, Marcinie!

— Popróbujtaż pani kumo, popróbujta, panie kumie! pijta na zdrowie! A i krewniaczka niech téż pokosztuje!

Kundzia chciwie lecz ukradkiem wypija pół szklanki i krzywi się, Polikarpowa robi tak samo, spoglądając kolejno to na męża, to na Marcinową i Marcina.

— Ale, panie kumie, widzi się, że to haniebnie gorzkie!

— A gorzkie, ale bez to trza się przyzwyczaić, ale potém toby człek *żłopał* i *żłopał!* Powiadam wam, panie kumie, że my czasem oboje ze starą wypijemy bez jedno posiedzenie dwanaście kufli!

— Co mówisz, stary! Toć że my zaprzeszłéj niedzieli wydoili po dwadzieścia kufli i po cztery!

— Chryste Jezu! toć kosztuje kupa!

— A kosztuje! Po dziesięć groszy kufel!

— Patrzajta! O! dostatnio, dostatnio żyjeta! Bogu dzięki, że téż się wiedzie naszemu krewieństwu!

— Jeszczeby się, dałby Bóg, lepiéj działo, żeby nie ten kłopot o dzieciaki! — mówi Marcinowa, spoglądając znacząco to na Kundzię, to na jéj rodziców, kolejno.

— My się, Bogu dzięki, o nasze dziecko nie frasujemy. Dał Bóg tylko jedno, dał téż i trochę chudoby.....

— Ja téż tak myślę—przerywa Marcinowa — że nasza kochana krewniaczka, to jużci znać, że z dobrego szczepu, że to krew nasza. Nasze téż chłopczysko niczego. I bardzo uczony....

— Ha, za boską wolą—odzywa się Polikarp tajemniczo—niechby tam! Co swojak, to swojak.... ino że to już w mieście wyhodowane.... *Alegant* pewnikiem.... A Kundzia swojskiego chowu, chociaż po bożemu, po bożemu....

— O, nie myślta panie kumie, żeby i nasz Waluś miał złe zasady. Toć przecie, nie chwalący się, krew nasza!

— A no.... niechby ta.... toć obaczymy! — mówi Polikarp, jedząc i popijając, gdy Kundzia zasłania oczy fartuszkiem.

— Nie powstydzę ja się mego dziecka! Oj, pewnikiem wpadnie wam w oczy! Tylko co patrzéć. Ale bo téż i na Kundzię miło popatrzéć!

— Bóg wam zapłać, kumeczko, za dobre słowo!—mówi rozczulona Polikarpowa, ściskając serdecznie Marcinowę. Polikarp téż, połą usta obtarłszy, zabiera się do uroczystéj oracyi. W téj chwili jednak przez uchylające się drzwi odzywa się głos męski:

— Marcinie!

— A co tam? — woła donośnie Marcinowa.

We drzwiach ukazuje się wysmukła postać przystojnego, bladego eleganta, z postawą pańską i ładnym czarnym wąsikiem.

— Interes nieduży, ale pilny!

— Baw, Marcinie, gości—mówi Marcinowa znacząco.—Co pan życzy? — odzywa się ciszéj do gościa, podchodząc doń żwawo, dość konfidencyonalnie, lecz z pewném uszanowaniem.

— Dziesięć rubli na mój zegarek, jaknajprędzéj!

— Marcin nie może teraz odejść, a pewnie tamtego i w domu teraz nie zastanie.

— Moja Marcinowo, nie róbcie ceregieli. Wiecie, że dobry daję procent i Marcinowi za fatygę....

— Ja wiem, ja wiem, ale dziś mamy gości, krewniaków....

— E, co mi tam!

— Niech pan ciszéj mówi!

— Za pół godziny będzie?

— Do pierwszego?

— Naturalnie. Tylko, moja Marcinowo kochana, niech Marcin biegnie zaraz na jednéj nodze! Nie marudźcie.... dam więcéj niż zwykle, byle prędzéj!

— Ale jak go nie zastanie? — mówi Marcinowa, odbierając zegarek.

— Do kroćset!

— Panie! nie ma się pan o co gniewać. Mój robi grzeczność. A te tam parę złotych, to nie skarby.... Powiem panu gdzie, może pan sam....

— Moja Marcinowo poczciwa! Ja dziś jestem zły jak chrzan....

— Ja téż uważam.... My wszystko zrobimy dla pana—szepcze po cichu Marcinowa — dlatego, że pan bardzo grzeczny!

— Więc nie marudźcie, kochana Marcinowo, potém powiem, dlaczegom zły....

— Ja się już domyślam!

— Więc wiecie, że nie mam czasu. I wam podziękuję. Będzie zgoda. Tylko niech Marcin przyniesie na górę.

— Przyniesie.

— Ale z pewnością? Za pół godziny najdaléj!

— Już ja się postaram. Jak Józefa nie zastanie, to do żyda, co?

— Mniejsza z tém!

— Marcinie! biegnij no zaraz!

— Już, już.... ino czapkę znajdę — odpowiada Marcin, kręcąc się po izbie. Tymczasem młody człowiek uśmiechnął się z zadowoleniem, kiwnął głową Marcinowéj i znikł szybko za drzwiami.

Marcin wyjrzał oknem i spokojnie siadł na poprzedniém miejscu, na dużym kufrze obok Polikarpa.

— A może wygląda, czyś poszedł?

— Ej, nie. Pobiegł pędem na górę.

— To nasz serdeczny przyjaciel—mówi Marcinowa do gości.— To panek! Ma dwa tysiące rubli rocznie w fabryce.

— Patrzajcie!

— Ale cóż... Nieraz przed pierwszym prosi się o dziesięć rubli....

— Nie gadajcie!

— W Warszawie to prawie wszyscy tak! Ale bardzo grzeczny człowiek i rzetelny. Trzeba mu wygodzić. On nam téż nieraz się odwdzięczy. Mój jest rządcą tego domu, zna się ze wszystkimi lokatorami. No, i z téj znajomości jest dochód....

— O!

— A tak. Bo w Warszawie trzeba różnie. Aby grosz do grosza! Żeby się wszyscy zwiedzieli, że mój chowa fanty do swojego kufra, toby się tu drzwi nie zamykały. A każdy po znajomości chciałby przez fantu i przez procentu!

— Ba! toby i pozarywali!

— A to téż! A bez znajomość trza ludziom wygodzić, no i profit jest z tego!

— Ho! pewnie! Ino... że w świętą niedzielę nie godzi się....

— A no, cóż robić! Dobrego człowieka trza ratować! On się durzy w jednéj *marmuzeli*.... pewnie dziś z innym jedzie na spacer, a on musi za nią. Oj, będzie awantura! Ale jutro jużby nie potrzebował, a u nas jużby jego noga nie postała. Schowajże, Marcinie, zegarek i zanieś mu te dziesięć rubli.

— Jeszcze nie ma pół godziny.

— Zanieś, bo gotów przylecić. Jemu się czas dłuży. A powtóre od czego głowa? ocieraj pot z czoła!

— Ho, ho! widzi mi się, że pani kumie rozumu nie brak! Toć słyszę w Warszawie rozum popłaca!

— A patrzcież, kumostwo kochani, co my tu mamy fantów przeróżnych! To jeszcze nic! W komorze wisi garderoba. Futra idą do kuśnierzy na schowanie. Jest pieniądz u ludzi! Procent rośnie, i tak grosz do grosza....

— Uzbiera się na fortunkę. A nie zarwią was ludzie?

— A Bóg łaskaw! Z tego, że mój jest rządcą i meldunki trzyma, zna każdego! Przyjdzie hołysz, to mu się nie da i kwita! Idźże, Marcinie!

— Idźcież, braciszku, idźcież, kiéj interes.

— Ja się duchem wrócę, bo to ino w dziedzińcu.

— Tylko się z nim nie zabawiaj cygarami! W dobréj kompanii to mój przecie cygara pali.... Otóż jest mój syn Waluś! Poznałeś ty Polikarpów?...

— *Laudetur Jesus Christus!* — poważnie wycedził na środku izby młody fircyk, ubrany pretensyonalnie w przechodzoną garderobę, z któréj każda część pochodziła z innéj epoki.

— *In secula seculorum!*—odpowiedział Polikarp, podnosząc się z kufra. — Oho! zaraz znać uczonego jurystę! Mógłby i księdzem zostać!

— Co to księdzem! to fracha! — odrzekł lekceważąco nowoprzybyły.—Ja mecenasem wkrótce zostanę! Toż to czci najgodniejsi państwo Polikarpowie, o których mama tak mile zawsze wspomina. Moje najgłębsze uszanowanie! — mówi z pretensyonalnym ukłonem przed Polikarpową, a potém przed Polikarpem.

— A widzisz, to Kundzia.

— *Buona dżiorne, siniorctta!* — ciągnie Waluś, zbliżając się do Kundzi w wymuszonych poruszeniach i podając jéj rękę. Kundzia dygnęła, mocno zapłoniwszy się, spuszczając oczy i chowając ręce pod fartuszek.

— Podajże Kundziu rękę Walusiowi — mówi Marcinowa — tu, w Warszawie jest taki obyczaj, kiedy się młodzi witają. Mój syn umié się znaleźć w salonie!

— No, to podaj, Kundziu, panu Walentemu rękę! — mówi Polikarp.

— Ośmielże się Kundziu — zachęca ją matka — przecie i ty się umiész znaleźć między ludźmi.

Kundzia nieśmiało podsuwa się bokiem ku Walentemu i przeciąga doń rękę, którą Walenty końcem palcy dotyka.

— Prawdziwie, zbytek szczęścia tłoczy moje biedne serce, że mam to szczęście rozkoszować się poznaniem pięknéj kuzyneczki— prawi przesadnie Walenty do kryjącéj się za matką dziewczyny.— Bo téż prawda, mamciu, że nasza kuzyneczka to nie to, co te nasze blade warszawianki.

— Nie wstydaj się Kundziu! — mówi do córki Polikarpowa.— To bardzo miły kawaler! — szepcze do męża.

— I tobie téż niczego nie brak, mój jurysto!—zabiera głos Polikarp—mina panie bracie pańska.... znać ułożenie, braciszku... ino się obawiałem, czy aby serca nie zepsowały miejskie obyczaje; ale mopanku, widzę, wszedłszy zaczynasz od boskiego słowa i to w uczonéj mowie.... Oho! braciszku, zajdziesz daleko!

— Czcigodny wujaszku! wszak mamcia mówiła, że pan Polikarp jest jakoby moim wujecznym wujaszkiem?

— A juści, pewnie, że bliskie krewieństwo.

— Tak, tak! — potwierdza Polikarp. — Parenteli naszéj szereg długi; głowa skłopotana przy gospodarce, panie bracie, to się ta wszystkiego nie pamięta. Ale papiery są! o są!

— Więc kochane wujostwo na długo do Warszawy?

— Jak Bóg zrządzi. Ja mam trochę jakoby interesów....

— Tuszę sobie, że kochany wujaszek obdarzy mnie zaufaniem; ja we wszystkich interesach prawnych, finansowych, administracyjnych *et cetera et cetera* mogę konferować i dać najlepsze informacye.

— A no, zobaczymy, zobaczymy! Tymczasem kobiety się rozejrzą po téj tu ano przesławnéj waszéj Warsiawie.

— Otóż właśnie w to mi graj! Tu już *parfors* ofiaruję damom moje ramię! *Excellentissime* znam całą Warszawę. Mam tu szerokie stosunki. Nikt lepiéj nie może służyć za *czyczerone!*

Kundzia z rosnącym podziwem wlepia oczy w Walusia, kryjąc się za matkę, ile razy Waluś spojrzy w jéj stronę.

— Czy uważa kumcia, jak mój syn salonowo się wyraża?

— Że uczenie, to uczenie! U nas by tam we dworku bez całe życie tego nie usłyszał. Cóż ty, Kundziu?

— Ja ta nie wiem, mamusiu!

— Galanty chłopiec, co? — pyta ciszéj Polikarpowa.

— Chyba.... kiéj matusia tak mówi! — odrzekła cicho dziewczyna, ukrywając twarz za plecy matczyne.

— Mogę sobie to przyznać, że pandekta, jurysprudencya, instytucye Justyniana, encyklopedya, filozofia, to są moje specyalności. Całą procedurę mam w głowie. W kancelaryi naszego mecenasa ja jestem pierwszy. Stary nazywa mnie zawsze kolegą. Ileż to razy on mnie się radzi! Ja mu podpowiadam przed kratkami, ja wyrabiam najzawilsze sprawy, ja — to jego prawa ręka, bezemnie nie miałby téj wziętości. On mojemu talentowi zawdzięcza swoję sławę. Ale, co prawda lubi mnie. Nieraz, gdy obrabiam referat, stary cytuje mi artykuł wcale nieistniejący, albo dyktuje excepcyą, gdzie potrzebna opozycya trzeciego, a ja wtedy konkluduję, i moja górą! Wtedy stary konfidencyonalnie nazywa mnie synem. Uważacie państwo: „*synem*“! A ma śliczną córuchnę, dalipan śliczną! palce lizać! No, ale moje serce obojętne dla niéj. Ona blondynka, a ja lubię szatynki, jak moja kuzynka. Ona blada, ja lubię twarzyczki rumiane; *kwi ejusdem komparentem*.... jak moja kuzyneczka. Ach, w Warszawie jest ładnie, bardzo ładnie: teatr, orkiestry, Łazienki, Doliny, kobiety *e tutti kwanti*.... ale cóż z tego? Kto w pierś młodocianą chłonął powietrze wioski zacisznéj, kto w niemowlęctwie kołysał się na skrzydłach zefiru, kto słuchał arfy Eola, dźwięczącéj w lasach nadbużnych, ten nie może zżyć się z gwarem gwarnego a pustego miasta, z pedantyczną biurokracyą, z tą hydrą, czyhającą ciągle na marną mamonę. Dla mnie tu pusto, tu bezludno, bezdusznie.... Sioło urocze, zieleń błonia, zapach naszego Podlasia, to czar, to poezya!... Nieprawdaż, kuzyneczko? Gdzieżbyś wolała mieszkać: tutaj, czy w dworku zacisznym? Nie mówisz mi, kuzynko?.... Wierzę.... Ze mną *tetatet* naprzykład, źlebyś się czuła zarówno tam, jak tutaj! — ciągnie Waluś patetycznie.

— Ej nie.... matusiu...—nieśmiało szepcze Kundzia, zapatrzona w Walusia i wahając się, czy ukryć twarzyczkę za plecy matczyne, czy patrzéć i słuchać.

— A jednak.... ja czekam na odpowiedź z bijącém sercem.... Być może od twych słów, kuzynko, zależy w téj chwili rozwiązanie hamletowskiego: *być albo nie być*.....

— Panie Walenty.... ja nie wiem.... ja nie uczona po warsiawsku....

— Porozumiemy się, kuzynko! — odpowiada Waluś wesoło, kontent, że swą mówką na całém zgromadzeniu sprawił arcypochlebne wrażenie.

— Żeś uczony, to uczony, mój jurysto, i gadasz jak z książki, to nie ma co!—odzywa się Polikarp. — Ino mi tylko powiédz, jakie-

go świętego wyobraża figura świętego Zygmunta; juźci tu w Warszawie, ta *wielgachna*, co ją widać zaraz z mostu.

— To nie żaden święty.....

— Jakże.... figurę mu postawili....

— W wielkich miastach wielkim i historycznym ludziom stawiają pomniki i kolumny. Mamy pomnik Kopernika, Jana Sobieskiego....

— No, ależ ta figura Zygmunta?

— Jest to kolumna króla Zygmunta, założyciela Warszawy, który, ożeniony z Dąbrówką, królewną czeską, pierwszy przyjął wiarę chrześciańską i poszedł ją krzewić nie tylko w Wielkopolsce, Kujawach, Mazowszu, Podlasiu, ale i na Litwie. Dlatego wyobrażony jest z godłem wiary świętéj...

— Toćże on równy świętym apostołom, toćże on chyba święty...

— Właśnie że byłby kanonizowanym, gdyby nie intrygi krzyżackie, z którymi musiał wieść krwawe walki—i dlatego, jako zwycięzca, wyobrażony jest z mieczem w drugiéj ręce.

— A to prawda! No, a któż mu figurę postawił?

— Po zniesieniu zakonu krzyżackiego, papież Inocenty kazał mu pomnik postawić na pamiątkę 500-letniego jubileuszu chrześciaństwa w Polsce.

— I dawnoż stoi ta figura?

— Przeszło trzysta lat. Dokładnie daty nie pamiętam!

— Patrzajcie! Więc to nie święty! A ja, panie bracie, kląkłem przed jego figurą i pacierz zmówiłem....

— Pobożności nigdy nie ma dosyć.

— Pięknie rzekłeś! Otóż to miło posłuchać! Zawszeć on prawie jak święty!

— Nie bredziłbyś téż, mój kochany, nie bredził! Ja tu stoję za tobą i słucham, jak tumanisz prostaczków! — odezwał się basowy głos nowego przybysza za plecami rozpromienionego Walusia.

— Mój panie! Coś ty za jeden? My tu nie prostaczki, my nie damy się tumanić! Nasz krewniak nie bredzi, ino mówi jak z książki.

— Wierzaj mi pan, że bredzi. Nie jestem ja zbyt mocny w naukach, osobliwie w historyi, ale wiem, że do Polski wprowadził wiarę chrześciańską Mieczysław I-szy, że....

— Mój panie, ja tam od pana nie chcę się uczyć rozumu. Schowaj go pan dla siebie! — odpowiada coraz bardziéj zaperzony Polikarp.

— Ale jak można słuchać takich banialuk, takich fałszów?

— Otóż macie! Otóż macie! Znowu pan Damazy musi się sprzeczać z naszym Walusiem! — odzywa się wchodzący Marcin.

— Prawdziwie, że nie pojmuję, jak pan Damazy, człek niby światowy i już nie młodzik, może zawsze wszczynać burdy w cudzym salonie! — wybucha Marcinowa.

— Ale pani dobrodziéjko! — perswaduje napadnięty z pokornym ukłonem.

— Powiadam ci, Marcinie, ażem zgłupiała! Ani się wita z nikim, ani co, tylko zaraz do burdy! Nie dostaniesz pan Praksi! to trudno!

— Ale co tam, moja mamciu!—zabiera głos Waluś — my tam sobie oba czupryny nie nadwyrężymy! Damzio dobry chłop, tylko uparty i sprzeczać się lubi o wszystko!

— A właśnie, właśnie! że to zaraz widać!—pochwycił Polikarp.

— My, wujciu — ciągnie Waluś — z Damziem już trzy lata razem mieszkamy i codzień się sprzeczamy, że o mało do *ewentualności* nie przyjdzie. No, ale sprzeczki naukowe, kochana mamciu — mówi Waluś z wielką powagą — to jeszcze nie burdy. Najuczeńsi ludzie skaczą sobie do czupryn w imię zasad.... To w najlepszych towarzystwach uchodzi. Po co się mamcia zaraz unosi? Po co ta niewczesna *interwencya?*

— Pięknie chłopak mówi, panie bracie!—konkluduje Polikarp. —Jeno czemuż ten pan tak zaraz obces na wszystkich! O! przecie, panie bracie, i człek nie za piecem chowany i sroce tego.... panie bracie....

Tymczasem Waluś, szturchnąwszy nieznacznie Damazia pod żebro, krzyknął mu w ucho dobitnie:

— Mazgaju! Włazisz mi w drogę, a tu idzie o gruby interes!— i wskazał oczami Kundzię.

— Co? O tę gąskę czerwoną?! — zagadnął cicho Damazy.

— Gapiu! ona ma dwie fortunki! — odrzekł Waluś jeszcze ciszéj i począł się śmiać.

— Chyba że.... — odparł Damazy z dość głośnym śmiechem, spoglądając z ukosa na Kundzię, któréj strój parafiański, postawa niezgrabna, ruchy nieśmiałe, dalekie od szyku warszawianek, a w końcu buzia krasna zbyt mocno, przystawiona do wyrazu „małżeństwo", „dobry interes" mogła rodowitego warszawiaka przywieść do wybuchu dobrego humoru.

— O! o! mamusiu! to jakiś szyderca! — rzekła Kundzia niby po cichu, lecz o tyle głośno, że usłyszało całe towarzystwo.

— Kto zaś, moje dziecko? — zapytała Polikarpowa.

— A ten.... ten pan.... ten kolega pana Walentego! — dokończyła, patrząc ze wstrętem na drzwi, któremi Damazy ulotnił się w samę porę.

— Ja bo zaraz mówiłem, że to szyderca i jakiś brzydki człowiek! — odpowiedział Polikarp.

— Kochany wujciu, pozwól, że stanę w obronie mego jakby kolegi i przyjaciela, nie dopuszczając *ferowania* zaocznego wyroku!

— A kiedy ja zaś mówię, że taki porządny jak aść chłopiec, panie bracie, nie powinien z nim trzymać.

— Ale uważa kumcio, panie Polikarpie, jak to widać w moim chłopaku dobre serce?

— Proszę pani Marcinowéj, proszę wujecznéj wujenki....

— No, słucham cię, Kundziu! Chcesz powiedziéć, że to bardzo ładnie tak prędko zapomniéć urazy i jeszcze się wstawić za....

— Proszę wujecznéj wujenki, ja bo nie to chciałam za pozwoleniem ojcaszków i wujostwa....

— Mów, moje dziecko! — mówi Polikarpowa.

— Że ten.... ten szyderca, to wcale nie piękny! On się ze mnie naśmiewał.... A pan Walenty powinien się za mną ująć.... kiedy.... kiedyby...—mówi Kundzia, jąkając się.

— Jeno że to, widać, wszystko po warsiawsku!— wybucha płaczliwie z po za pleców matki.

— Ależ, kochana kuzyneczko, jakiż *motyw*?

— On się ze mnie naśmiewał.... widziałam wyraźnie! — mówi śmiało i znowu, chowając się za matkę, kończy ciszéj, z wymówką— i kuzyn powinien się za mną ująć.... kiedyby nie był obłu.... warszawiakiem!

— Ale kuzynko! jak honor kocham! przysięgam na świętą ewangelią....

— A tak, to co innego! — wtrąca Polikarp.

— Przysięgam na świętą ewangelią, że kościbym połamał, zęby powybijał temu, ktoby się w mojéj przytomności poważył naśmiewać z kuzynki! Ale *ewentualnie* wnoszę, że tu zaszła jakaś *kolizya*. Bo Damazio dobry chłopak, tylko wścibski i uparty.... Ale że dobry chłop, to się zaraz pokaże. A śmiał się nie z kuzynki, tylko rzetelnie z mego dowcipu.... bo mu powiedziałem że... (po namyśle, prędko), że głupi! A że na kuzynkę ukradkiem spojrzał, to dlatego, że mu się kuzynka podobała tak, jako i mnie....

— A to, to nieprawda! — zawołała Kundzia żywo.

— Jakto nieprawda? — pyta Waluś mocno zmieszany.

— A bo słyszałam wyraźnie, jak wujeczna wujenka mówiła: „Nie dostaniesz pan Praksi.“ Aha! Uśmiecha się pan Walenty, bo może nieprawda? A cóż ja mu się miałam podobać, kiéj się do kuzynki Praksi umizga!

— Oj, kuzynko, kuzynko! — mówi Waluś wesoło — kiedyż kuzynka tego chcesz, to muszę wyłuszczyć wszystkie *ewenementa*, aby kuzynkę przekonać, że zarychło stawia *postulat* fałszu mnie, który żyję samą prawdą, jak święta ewangelia.

— Już to to prawda, że Waluś nigdy nie kłamie!—wtrąca Marcinowa, gdy Kundzia zrobiła wielkie oczy.

— Otóż kuzynka podobała się Damziowi nie *prowizorycznie*, lecz *sumarycznie*, to jest w przewidywaniu *koalicyi* pomiędzy nim i moją siostrą, co go postawi względem mnie na stopie szwagrostwa, oraz pomiędzy mną i.... jeżeli to dojdzie do skutku, co jest potrzebą mego serca, i o ilem świadom woli moich rodziców....

— A no, zobaczymy.... zobaczymy! nie tak nagle!—odzywa się Polikarp.

— Toć może i prawda!—dorzuca Polikarpowa.—Widzisz, Kundziu, na familiantkę téż trzeba spodobania. A jakże! to wielka prawda!... Jeno po cóż to zaraz oświadomiać tak rychle obcego?...

— Kochana wujenciu! to nie żaden obcy; to mój przyjaciel od serca i jakby już mój szwagier.

— A no, to chyba że.... Widzisz, Kundziu? przeproś pana Walentego!

— Otóż patrzcie państwo! — woła Waluś, wskazując wchodzącego we drzwi z dwoma koszami Damazego.—Damazy chłop dobry! Ja nad nim wykonywam *absolutnie* władzę *dyskrecyonalną*. Moje wyroki *incydentalne* wykonywa *brewimanu*, bez *opozycyi* i *apelacyi*.

— Co téż pan wyrabia, panie Damazy! — rzecze Marcinowa, wyjmując z jednego kosza paczki i butelki.

— O Jezu Chryste! A toć to dużo kosztuje! Po cóż się tyla szkodować!

— A co?! Widzicie państwo! Damzio dzielny chłop w kwestyach finansowych! — wykrzykuje Waluś, żwawo uwijając się ze szklankami.

— Po cóż dwie flaszki kimlu! — pyta Marcinowa Damazego.

— Wypije się, wypije! Słuchaj-no Waluś! Możebyśmy się uwinęli z samowarem, zanim Praksia nadejdzie? co?

— To już mamcia tę kwestyą załatwi.

— Ale po cóż panią dobrodziejkę fatygować? — i to mówiąc, Damazy żwawo bierze się do samowara.

— Danziu, waryacie! Rozpoczynaj!

— Pan Marcin jest gospodarzem!

— Aleś ty fundator!

— No to co? Niech pan Marcin zaczyna, ja tu tymczasem dmuchnę w samowar.

— Panie Damazy! pójdźże pan!—woła Marcinowa, krając chléb i rozkładając plasterki szynki na talerze.

— Zaraz, zaraz! O! już syczy!

— A la Boga! Cóż to za majster! Jeszczem się nie obejrzała, a samowar już syczy! No, co prawda, to dopiéro z pana Damazego będzie miała dobrego męża ta, co pana Damazego dostanie!

— Czy pani dobrodziejka jeszcze się gniewa?—mówi Damazy, pokornie całując Marcinowę w rękę.

— No, no! moja Praksia!

— A! tak, to co innego!—zawołał uradowany Damazy, całując znowu Marcinowę zamaszyście w rękę.

— Patrzaj-no, stara — mówi Polikarp półgłosem do żony — to on naprawdę gracki człek, nie taki jak z początku!

— A toć! Jak to on z uszanowaniem dla Marcinowéj!...

— Jużci to prawda, mamusiu, że to jakiś galant!—wtrąca Kundzia także półgłosem.

— No, panie kumie, w ręce wasze! — woła Marcin.

— Oj, żeby téż teraz panna Praksia nadeszła! — wzdycha Damazy.

— Nadejdzie, nadejdzie! Tylko co nie widać!— uspokaja Marcinowa.

— Tak, ale kimlu nie będzie!—biada Damazy jeszcze żałośniéj.

— Kapuściana głowo! — odzywa się na to Waluś. — Kiedy ty trzeźwo zaczniesz na świat patrzéć!

— O Jezu! toć on pijany! Słyszysz, Polikarpie?

— Prawda! — odpowiada Damazy weseléj. — Com baran, to baran. Zawsze zapominam, że kimlu w Warszawie nie zbraknie!

— A widzisz! A zawsze biadasz!

— Ej, co ma być pijany!—odpowiada żonie Polikarp — to jeno takie uczone powiedzenie.

— Ale swoją drogą panny Praksi nie widać!

— Ja w ręce pięknéj kuzynki!

— Ja ta pić nie będę! — odpowiada Kundzia, chowając głowę za ojca, bo Polikarpowa zasiadła do stołu, zostawiwszy córkę na dawném miejscu.

— Przepij, Kundziu, przepij! — mówi Polikarpowa.

— Kiedy bo..... matusiu!

— Pójdź do mnie, Kundziu, ale odbierz kieliszek! Nie wypada panu Walentemu odmówić!

— Kiej matusia każe.... ale mnie się w głowie zakręci.

— Ej nie, kuzynko, bo to likier, nie wódka!

— Czy to esencya, że takie słodziutkie?

— Esencya, kuzynko!

— Ej, to ja pić nie będę, bo to jeszcze gorsze od gorzałki.

— Przepij, dziecko, przepij, nie bój się! Bo ona, co prawda, nie zwyczajna gorzałki.

— A do kogóż ja? — pyta Kundzia.

— Pij pani w moje ręce! — odzywa się Damazy.

— Matusiu!

— Przepij, dziecko, do pana. W kompanii nic nie szkodzi!

— Kiéj matusia każe... w ręce pańskie! — To rzekłszy, Kundzia zasłania się fartuszkiem i pije wódkę z licznymi przestankami bardzo wolniutko; poczém, odwróciwszy twarz od Damazego, podaje mu kieliszek.

— Jédz, Kundziu! Szynka przepyszna! Przybliż się do nas, ot tutaj; siadaj na łóżku. Nic nie szkodzi! Salonik mały, trzeba się mieścić jak można. Siadaj, Waluś koło Kundzi! — mówi Marcinowa.

— *Bą suar, mą szer papa! bą suar, ma pti maman!* — woła we drzwiach żywa, zgrabna dziewczyna.

— Otóż jest Praksia! Masz ją pan! — odzywa się Marcinowa do Damazego. Damazy nie słyszy, dawno już podskoczywszy do nowoprzybyłéj.

— *Fi dąk*! cóż to za konfidencya, panie Damazy!

— Jeszcze drugą rączkę! — mówi Damazy, całując dziewczynę po rękach. — Takie słodkie jak marmelada!

— No, już dosyć! *Ki e isi*, panie Damazy?

— Ona się po francusku pyta, kto tu jest — objaśnia towarzystwu Marcinowa. — Pójdź-że tu, Praksiu! Puśćże ją pan, panie Damazy! Poznałaś Polikarpów? Prawda, żeś jeszcze dzieckiem była, no alenci przecie zawsze mówiła o Polikarpach!

— Ah! to państwo Polikarpowie! Bardzo mi miło! A to zapewne....

— Zgadnij! — przerywa Marcinowa.

— Córeczka państwa Polikarpów, nie prawdaż?

— Eh! co znowu! To Kundzia! nie poznajesz?

— Ja wiem, że Kundzia jéj na imię, ale córeczka państwa Polikarpów.

— A tak! zgadła córka pani kumy! To nasza jedynaczka.

— Widzi mama! a mama mnie zawsze *kontruje*! Jakże ci się, Kundziu, podobało w Warszawie?

— Przywitaj się Kundziu z Praksią; toć to twoja jakoby siostra wujeczno-wujeczna.

— Kiéj matusiu ona taka grzeczna, ale taką dąma...

— Panie Damazy, zaprowadzisz nas pan z Kundzią do teatru! Byłaś Kundziu na operze? Nie byłaś pewnie jeszcze; to nic! Zobaczysz wszystko. Pójdziemy do Łazienek, do Botaniki, do teatru, na operę, na balet, pojedziemy na Kępę, na Bielany... Pan Damazy musi nas zaprowadzić, albo... kwita z przyjaźni!

— O! o! już znowu kwita! czemu nie mam zaprowadzić?

— I pogonisz pan za panienkami...

— Panna Prakseda będzie zérkała za chłopcami...

— Cicho! sza! znowu się przekomarzacie!—strofuje Marcinowa.

— Kto się kocha, ten się kłóci — wtrąca Walenty, zajadając i pijąc szklankę po szklance.

— A pan Walenty się nie kłóci!—odzywa się śmieléj Kundzia.

— Z kuzynką chcę się kłócić! Masz kuzynka na początek klapsa!..

— A otóż oddam! — mówi Kundzia, coraz się ośmielając i energicznie wali spracowaną dłonią delikatną rękę Walusia.

— Oj, kuzynko! tak się w Warszawie nie bije! — odpowiada Waluś z uśmiechem, sykając z bólu.

— Co kto lubi, Walusiu! — śmiejąc się woła Damazy.

Kundzia zapłoniona zasłania się fartuszkiem.

— Co tam, kuzynko! nasze zdrowie! — mówi Waluś, podając szklankę Kundzi i drugą nalewając sobie.

— Kiedy to haniebnie gorzkie!

— Pij, Kundziu! to pyszny bawar! Pewnie pan Damazy przyniósł! — mówi Prakseda.

— A jakże, na twoje przyjęcie — odpowiada Marcinowa.

— Służę pani, panno Praksedo! — mówi Damazy, podając swéj bogdance szklankę i trącając się z nią.

Praksia, wypiwszy duszkiem, mówi:

— Aha! zapewne miałam trącić się jeszcze z Kundzią!

— Można teraz — odpowiada Damazy, nalewając Praksi.

— Kundziu, trącimy się! daj szklankę!

Kundzia wyciąga pełną szklankę, Praksia trąca mocno i oblewa fartuszek Kundzi.

— *Kelkbef*! — mówi Praksia do Damazego — Ach, przepraszam cię, Kundziu, moje złoto! Widzisz, w Warszawie trącają się szklankami, ale zgrabnie, salonowo!

— Fartuszek to fracha! — mówi Kundzia — jéno się wstydam...

— Niedługo się z nami oswoisz. Jakże ci się podobała Warszawa? Panie Damazy, szynki! tylko cieniuteczko, nie po chłopsku!

Drzwi się uchylają i w nich ukazuje się głowa niembdéj już damy,

— Czy tu stróż mieszka?

— A bo co? — pyta opryskliwie Marcinowa.

— Gdzie tu mieszkanie do wynajęcia?

— Już wynajęte!

— Dwa pokoje z kuchnią?

— Już wynajęte!

— A czemu karta wisi?

— A bo jeszcze nie zdjęta! Widzita ją! — mówi gniewnie Marcinowa, gdy się już drzwi zamknęły. — Nawet w święto człek nie ma *odpoczywku*!

— To Marcin *je* stróżem? — podchwytuje Polikarp.

— Marcinowo! do pani! — woła we drzwiach pacholę.

— Marci-nooo-wa! — odzywa się znany nam już głos z lufcika—czemu Marcinowa taka pani? czemu nie idzie, kiedy każę wołać?

— *Przecie* idę!—odpowiada Marcinowa, idąc wolno ku drzwiom, w których stanęła pani Grossfus, właścicielka domu, otyła, średnich lat brunetka, negliżowo, nieco bez gustu ubrana.

— Dla czego nie chcecie pokazać mieszkania téj pani?

— A bo to nie dla téj pani mieszkanie!

— A skądże to wiész, moja kobiecino? — pyta ciekawie obca.

— Bo ja panią znam, to wiem, jakiego pani potrzebuje mieszkania.

— Widzicie ją! ona mnie zna! Czy to żydowski dom? — nagle zapytuje nowoprzybyła.

— A właśnie, że żydowski! ja wiem, że pani nie wynajmie i po co panią fatygować po piętrach?

— Nu! co to jest żydowski, albo nie żydowski? Masz acani na tablicy napisane, to nie trzeba chodzić do żydów!

— *Acani*! widzicie ją! żydowica jakaś!

— A, ty taka, siaka, owaka! Patrzajcie! w świętą niedzielę na urągowisko przyszła! A nie pójdziesz ty won za bramę!—woła Marcin z pod okna, gdy szukająca mieszkania dawno już z pośpiechem wyszła.

— Widzicie wy, Marcinie, — mówi z żalem Grosfusowa, podchodząc parę kroków ku środkowi izby, gdy Marcin z uszanowaniem zbliżył się do niéj—widzicie, jaki to niegrzeczny naród te wasze katoliki!

— Przecie nie wszyscy, proszę pani gospodyni; a żebym ja tak na on czas był przy babie, tobym ją nauczył polityki!

— No, ale czemu wy ludziom nie pokazujecie mieszkania? Za co ona przyszła na skargę?

— A to ją pani ma, jaka jest! — zawołała Marcinowa. — Tu jéj przecie nikt marnego słowa nie powiedział! Jeno pani widziała, jak się rozzłościła, że ją znam!

— Nu, co to znaczy?

— A to proszę pani, ona zarywa wszystkich gospodarzy!

— Taaak?... No, to dobrze, coście jéj nie pokazali! Ale za co się skarżyła, żeście oburkliwe?

— A proszę pani, przecie tu wszyscy są świadkami! Powiedziałam jeno, że mieszkanie najęte i już! Przecie jéj wręcz nie mogłam powiedzieć, że ją znam!

— No, niech ona idzie z Bogiem!

— A to, proszę pani, moje kumostwo, a to moja *krześniaczka*!

— A zkąd oni są?

— Z Podlasia; to szlachta jako i my. Jeno, że my się musimy wysługiwać...

— Żydom...

— E! pani to tak zaraz drogę człowiekowi zabieży! A czy my to państwu nie przychylni? Czy się pani gospodyni nie przekonała? A żeby tak na drugiego, toby pokazał mieszkanie. Coby mu tam...!

— No, to prawda! Ale wy, Marcinowa, wiécie, co ja bardzo prawdę lubię! Wy macie u mnie duże łaski. Ja wam pensyą daję ładną i mieszkanie pańskie. Czybyście wy mieli gdzie-indziéj takie mieszkanie? (rozglądając się po izbie) Nu, to salony, prawdziwe salony! i kuchenkę macie i komórkę... no... i węgle macie i naftę macie — i z kuchni macie — czy ja o tém nie wiem?

— To téż, proszę pani gospodyni, i ja pracuje i mój pracuje bez cały dzień, a za pańskie dobro tobyśmy se dali oczy *powyjmać*.

— No, co prawda, to ja wiém! Tylko wy, Marcinowo, macie jeden feler...

— E, pani bo tam zaraz...

— Ja wam co powiem, Marcinowa! Wy wiécie, co ja was bardzo lubię oboje. Ale ja bardzo tego nie lubię, co wam potrzebna kłódka u gęby. Za co wy nie taka akuratna jak Marcin?

— Przecie, proszę pani...

— Wy wielka dama! wy się już fortuny u mnie dorobili! Nu niech wam będzie na dobre zdrowie! Tylko wy, Marcinowa, idźcie do ślusarza póki ja dobra! No! Bawcie się sobie! Tylko wy, Marcinie, pamiętajcie o bramie, bo złodzieje chodzą!

— Niech wielmożna pani będzie spokojna! — i to mówiąc Marcin, zasłoniwszy sobą gospodynię, schylił się do jéj ręki.

— Ja widzę, co ta wasza *krześniaczka* to ona wcale inna jak te! warszawskie dziewczyny. Ona jest jak róża. Poco ona tu przyjechała? Ona się tu zepsuje. A może ona będzię wasza synowa?

— A może! jak to Bóg da, proszę pani!

— No, to wasz syn bardzo dobrze zrobi. On jest bardzo porządny, bardzo przyzwoity, ten młody człowiek. Ja jemu wyrobię w sądzie posadę. Ja lubię słowa dotrzymać. Widzicie Marcinowa, jak syn do ojca się wrodził? On mnie się ukłonił, on ciągle stoi kiedy ja stoję, a wasza córka to taka dama, jak wy!

— Na te słowa Praksia się podnosi i odchodzi do kąta, udając, że czegoś szuka.

— E! bo proszę wielmożnéj pani, *każda kobiéta* ma długie włosy, a rozum krótki...

— Bajesz Marcinie od rzeczy! — zauważyła Marcinowa.

— Zapewne! — potakuje Grosfusowa — wy, Marcinie, téż macie czasem rozum krótki! No, bawcie się! — kończy łagodnie już za progiem.

— Cyt! — daje znak zgromadzeniu Marcinowa, nadsłuchując przy drzwiach—Poszła!—mówi po długiéj pauzie, wracając do stołu.

— Że téż ty, Weronisiu, zawsze musisz co skrewić!...

— A pies ją wiedział, że pójdzie na skargę!

— Byłabyś jeszcze lepszego nawarzyła piwa, bo jużci pewnikiem baby nie znasz...

— Ale widzicie moi państwo, jak ja z oczów ludziom wyczytam! A co? ha! ha! ha! Ale co to za żydowski obyczaj... Dobra bo dobra; co prawda, to nie grzéch! W calutkiéj Warszawie drugiéjby takiéj nie znalazł; ale przy byle okazyi, zaraz ma wypominki *od pokunów* świata!

Marcin, grożąc żonie lekko zwiniętą pięścią mówi:

— Ejże Weronisiu! Stultum...

— Marcinie!

— Bo zawżdy z tymi żydami wyjedziesz, a ona się o to najbardziéj gniéwa. A ja mówię: żydy, nie żydy, człek ma dobrą posadę, Pana Boga powinien chwalić i już!

— To wy, panie bracie, jakoby żydom się wysługujeta?

— Ta i cóż? — odpowiada Marcinowa.— A bo szlachcic na cząstce nie wynajmie się żydowi z furmanką? nie sprzeda żydowi swojéj krwawéj pracy i dochowku i zboża?

— To i prawda, że przeda! Ale to jeno z żydem handluje, a żydom świéczki nie gasi!

— Toć i my nie gasimy!

— A no, a jakże? kiéj u żydów służyta?

— Służba służbie nie równa, mój kumie! My na żydów pracujemy, a oni na nas.

— Jakże to?

— A z czegóżby nam pensyą zapłacili, żeby nie pracowali? Oni, chociaż bogaci, cały dzień w sklepie siedzą; jak nie on, to ona, jak nie ona, to córka. A czy handel, czy furmanka, czy dochowek, czy zboże, to równo praca i pot krwawy. Toć to samo w garść nie wlézie! Sprzedajeta żydom zboże—to znój wasz przedajeta.

— Bogać nieprawda!... Jużci...

— A widzita!

— Ale... ja sobie téż miarkuje wasze słowa. Jużci ono ładnie, bo ładnie gadacie... Jeno to, że jak żydowi sprzedają to mu obces rzekę: kupisz, żydzie, *psia wiaro*, to kupuj, a nie, to ruszaj z Bogiem!

— Ej, co kumie gadacie! bo to my na cząstce nie bywali? Przyjdzie przednówek...

— Jużci to prawda... Człek się żydowi do kolan chyli...

— A widzita! Na świecie to tak: wszyscy sobie służą, jeno Pan Bóg pan!

— I to prawda! Jeno, że to nasza szlachta okrutnie głupia... Nużby jęli gadać a roztrząsać... Zawżdy co żyd, to żyd! poganin i już! Lepiejby, żebyśta byli u katolika...

— Ale kiedy bo, kumie, nie chceta rozumiéć! U nas w Warszawie to nie takie żydy chamy, jak te po miasteczkach! To to chamstwo, cygany, Panu Bogu nie miłe! A w Warszawie żyda nie poznacie, że żyd! To bogacze! Oni z panami żyją, nasze święta obserwują, do naszego kościoła chodzą!

— Nie gadajta!

— A toć tu ludzie są przytomni! Jakże, panie Damazy, nie prawda?

— A tak, a tak! w Warszawie inny naród! Ale my o herbacie zapomnieli! a ja przyniosłem wszystko, czego potrzeba!

— To i *arbata bedzie*? — pyta Polikarpowa.

— A jakże! My codzień herbatę pijemy! i to nie samę! z cytryną albo z arakiem! Praksiu! pomóżże panu Damazemu; niechże się on tak nie męczy!

— Ej, co tam! Panna Praksia i tak cały tydzień... — odpowiada Damazy — ... nie trzeba, nie trzeba! Ja nie pozwolę!

— Ale nie wypada, panie Damazy, żebyś pan, człowiek stateczny i z urzędem, tak się zaś uznoił zawsze u nas jak jaki fagas! Praksiu! pomyj-że szklanki! Albo nie! siadaj ty sobie, dziecko, bo sobie suknię splamisz! Ja sama! Tylko ty kumcię baw, a Kundzię niech Waluś zabawia, a Marcin kuma!

Piją tedy goście pani Marcinowéj herbatę z arakiem, pożyczając sobie wzajem to łyżeczki, to podstawki, to wreszcie szklanki. Marcinowa tłómaczy, że i szklanek jest dość, i łyżeczek aż zadużo, tylko że te sąsiadki zawsze muszą pożyczać!

— Idźno Praksiu do maglarki po nasze szklanki...

— Ale nie potrzeba! wystarczy! — oponuje Damazy.

— Albo siedź, ja sama pójdę!

Jakoż po chwili Marcinowa powraca z dwiema szklankami.

— Są dwie szklanki. Nie mogła więcéj po... oddać, bo sama gości ma. Jeszcze są u lokajki moje szklanki i łyżeczki, ale téż ma gości i prosi się, żeby jéj ostawić.

— To wy, kumie, jak ja miarkuję, jakoby stróżem jesteśta a nie rządca! — odzywa się znów Polikarp.

— Mój się stróżem mianuje — odpowiada Marcinowa — ale jest rządcą. Na jego głowie cała kamienica stoi. A to panie gmach, to pałac, nie kamienica!

— To on niby jeno od bramy jest stróżem!

— Co téż kumie gadacie! Czyście to nie słyszeli, iże przez nas żadnego mieszkania nie wynajmą. A komu chcemy, to wynajmiemy, komu nie — to nie!

— No jużciby.... jakoby.... Ale że w téj onéj Warszawie, to człek nie bardzo może się *zrejentować*. Czy to niby wedle oprowadzania?

— Mój tu wszystko znaczy. Meldunki trzyma, całego porządku dogląda, po komorne chodzi — i jedném słowem przez nas nic się tu nie dzieje. O wszystkiém wiedziéć musimy. Jest tu jeszcze drugi rządca, ale to tylko do meldunków... mojemu do pomocy. Tamten tylko kartki pisze, a mój meldunki załatwia.

— E! niechby ta z *reśtą* i stróż! Nie wadzi! Toć ja widzę, że dostatnio żyjeta... Jeno że to u żydów! Zawszeć to pogany!

— Że téż to wam, kumusiu, nie może się w głowie pomieścić...

— Hę? w głowie pomieścić? Za kogo mnie pani kuma uważa? Zabierajta się, kobiéty!

— Ależ panie kumie! panie Polikarpie! Ja nie to chciałam powiedziéć!

— A tak! a tak! Jeno, że szlachcic prosto z zagona to kapuściana głowa! to się tak zdurzyć da!

— Polikarpie, miéjże zastanowienie! — mityguje Polikarpowa — Toćże nas uraczyli, w dom przyjęli po ludzku, a ty zaś...

— I to prawda! święta prawda! Ale bo mi pani kuma do żywego dopiekła!

— Nie dziwacz, bracie Polikarpie! — odzywa się Marcin — toć baczysz, jak my się razem chowali!

— Ale kiedy pani kuma trumfy mi daje...

— Kiéj to zawżdy babski język, to furda, panie bracie, kto zważa na babskie wysłowienie!

— I to prawda! Ale bo to człek nie za piecem chowany i tego.... panie bracie....

— Otóż to! Nasze zdrowie, kumie! W godne ręce!

— Pijta z Bogiem!

— Kochajmy się!

— Jak bracia! A niech ta! święta wola boska! Jeno te żydy to pogany!

— Słyszeliśta przecie, Polikarpie, — perswaduje Marcin — co to za pani! Ona Walkowi urząd wyrobi!

— A to też to! uważałem ci ja! Ale miarkowałem, że Walek, skoroć jurysta, to w sądzie zasiada. Jakżeż to?

— A zasiada i jest urzędnikiem, tylo jakby bez pół dopiéro.... bo jeszcze lat nie ma!

— To on tam na posługi chodzi?

— Ej nie! On pisze w kancelaryi, ale widzicie, dopieroć aplikuje. I nic mu nie płacą, póki nie pójdzie na etat.

— A jać uważałem, że on już bierze pensyą!

— A bierzeć! A jakże! On mieszka osobno bardzo ładnie oto z panem Damazym i za stół płaci i *gardyrobę* sobie sprawia! Bo on aplikuje u *prekuratora* na urząd, a w drugiéj kancelaryi promuje się na mecenasa.

— Ej, to dwie sroki....

— Ale bo za to, co w téj drugiéj kancelaryi rankami i wieczorami papiery odrabia, to dostaje od mecenasa 15 rubli miesięcznie, i dochodów ma drugie tyle albo i więcéj.

— Jakże to?

— Co też papa mówi: drugie tyle? Zeszłego miesiąca za jedną sprawę odrazu 200 rubli dostałem.

— Ho, ho! — dziwuje się Polikarp — Aby to tylko było tego....

— A jakże wujcio myśli? Toć Damazy zaświadczy!

— A jużci! Masz cyganie świadki! Ale co tam! Może i prawda! Tоś braciszku, musiał sobie uciułać?

— A jakże, a jakże! — podchwyciła Marcinowa — sprawił sobie dwa ubrania i resztę nam oddał na schowanie.

— A, to pięknie! to pięknie!

— Mój panie Polikarpie! kiedy nas macie w posądzeniu, to możecie ludzi przepytać!

— Broń Chryste Panie!

— Nam ta, chwała Bogu, nie *kuneczna* oskoma. Waluś, kiejby chciał, toby dziś się jeszcze ożenił z jedną wdową, co szaleje za nim. A ma sześć tysięcy gotówki!

— Dziesięć, mamciu, jak honor kocham!

— A no, niech mu Pan Jezus dopomaga!

— Kiedy bo kum Polikarp to zaraz na opak! Co swojak, to swojak!

— A no, da się to obaczyć! Co nagle, to po dyable!

— Bobyś ty, Marcinie, zaprowadził kumostwo do tunelu! Pokaż, w jakiéj bywasz kompanii! Kumostwo się téż trochę po naszéj Warszawie rozejrzą!

— A no, możebyśmy i poszli, kumie?

— A pójdźma! Ja téż trocha ciekawy... A cóż kobiéty?

— Weronisia musi ostać.

— A tak! ostanę przy dzieciach. Muszę dać na młodych baczenie.

— Ja także radabym ostać, — wtrąca Polikarpowa — bo i morzysko mnie łapie z drogi.

— O la Boga! to zdrzymnijcie się, kumeczko!

— Kiéj nie widzę alkiérza!

— Pójdźcie, kumciu, kuchenkę mam dużą, *parabanem* was zasłonię.

— Oj, téż mi się te oczyska stulają!

— A wracajże, Marcinie, z kumem! Na gospodę was nie puszczę, bo w Warszawie gospody drogie. Zmieścicie się u nas, Bogu dzięki. Pójdźcie, kumusiu! A wy, państwo młodzi, bawcie się w kochanego!

— Nie chcę kochanego — oponuje Prakseda — to takie nudne!

— To w „budzę cię."

— I to nudne!

— To w pastora, albo w sąsiada!

— Za mało nas!

— To w kotka i myszkę!

Młodzi tymczasem, utworzywszy dwie oddzielne grupy, zabawiają się w „łapki", obdarzając się żwawo klapsami po rękach, z coraz większym śmiéchem.

— Przepraszam, czy nie ma Marcinowéj? — pyta młody mężczyzna, uchylając drzwi po wyjściu starych.

— Jestem, jestem! — woła Marcinowa, wybiegając z kuchenki.— A, to pan! Dziś z tego nic nie będzie!

— Dla czego? dla czego?

— A bo pan widzi, że dziś mamy gości.

— A! to co innego! A nie można gdzieindziéj?

— Panu sto razy trza perswadować. Jużci nie można! To nie żadna *marmuzela*! Obiecała, że przyjdzie do mnie, kiedy po nią poślę. Panby téż po co się załgał, a potém to już pańska głowa!

— Naturalnie! Po co ci goście do licha?!

— A no, nie wyrzucę ich!

— Więc kiedyż? Nie można w tygodniu? jutro?

— Jużci nie można! Ona tylko w niedzielę może.

— Ha, trudno! Niech licho porwie! Marcinowo, zaniesiecie jéj bukiet?

— A i owszem! to będzie *galante!*

— A przyjmie?

— Już moja w tém głowa!

— Więc jutro?

— Jutro!

— Pamiętajcie, Marcinowa, że ja....

— Wiem, wiem!

— Więc tydzień znowu czekać! Do stu....

— O! o! wy mężczyźni toście tacy łapczywi! Oho! Ale jeno zrazu zwolna, zwolna, to będzie na dłużéj!

Ale młody człowiek znikł już za drzwiami.

— Dobry wieczór pani Marcinowéj—mówi wchodząc nieśmiało blada dziewczyna.

— Dobry wieczór pannie! Niech pani pozwoli! No i cóż?

— Cóż pani Marcinowa o tém myśli?

— Jeszcze z nim nie mówiłam. Ale ja się wezmę do niego; bądź panna spokojna! Jeżeli nie — to postrada miejsce! Już moja w tém głowa! Przyniosła panna?

— Jest, ale ja się boję....

— Czegóż? Cóż panna ma do stracenia, kiedy już do panny nie chodzi? Niech panna niczego się nie lęka! Co się stanie, dam pannie znać. Dobranoc pannie! On tu, widzi mi się, chodzi po dziedzińcu.

— Dobranoc pani Marcinowéj! A niech się papier nie zatraci.

— Oddam go pannie! — odpowiada Marcinowa, chowając za gors podany papier wczworo złożony i podchodząc do okna.

— Panie Sztybel! panie Sztybel! — woła przez lufcik.

— Cóż tam znowu? — odpowiada jéj gruby głos nosowy z podwórza.

— Niech no pan Sztybel tu wejdzie, mam interes!

— Widzicie ją! *Panie Sztybel!* Masz interes do mnie, do rządcy, to wiesz gdzie ja jestem! Panie Sztybel! A ty plugawa!

— *Plugawa!* to poczekajże, karaimie!—mówi Marcinowa z gniewem, odchodząc od okna.

— Cóś ty powiedziała? — pyta z najwyższém oburzeniem, wpadając do izby jak bomba, przystojny, wygolony, trzydziestokilko-

letni brunet z dużym nosem i włosami kędzierzawemi. — Ja tobie dam karaima! Wypędzę won na cztery wiatry!

— Patrzajcie go, jaki mi pan!

— Dlaczego nie ma w bramie ani psa, ani pachołka?

— Bo jeszcze nie pora!

— No, ja ci pokażę!

— Jabym panu, panie Sztybel....

— Czy ty nie wiész, że ja rządca jestem?

— Jabym panu rządcy lepiéj pokazała.... aha! Ale kiedy tak, to idź na zbity łeb!

— Co to jest? co to jest? tyś pijana! No, ja tobie dam taki bal....

— Strzeż się, karaimie! Ja coś wiem!

— Co ty wiesz, plugawa? — zawołał blady z gniewu i zmieszany pan rządca.

— Co ja wiem? ja nic nie wiem! — zawołała stróżka szyderczo. Mnie się coś przytroiło, że ja pana będę do chrztu trzymała....

— Tfu! niedoczekanie twoje! Bogdaj tobie język spuchł, plugawa goimko! Tfu!—krzyknął z wściekłością gwałtownie trzasnąwszy drzwiami.

— Poczekaj!— woła za nim Marcinowa. — Ja cię nauczę gadać do szlachcianki! ojcowistki! coby ciebie, karaimie, z całym twoim nosem kupiła! Ale żal mi téj bladéj dziewczyny. Chciałam rzetelnie dla niéj co z niego wystraszyć.

— Bo mamcia nie umie się wziąć do interesu!

— Zapewnie! Ty mnie nauczysz!

— Ale czegóż się pani dobrodziejka tyle irytuje? czy to wart cały ten kram paninego zdrowia? — odzywa się Damazy.

— Marcinowa! — woła popędliwie a śpiewnym tonem. szybko wchodząc, Grosfusowa.—Marcinowa! tego już dosyć! Wy mi kością w gardle stoicie ze swoją gębą!

— Co się stało, proszę pani?—pyta Marcinowa chłodno, udając zdziwienie.

— Nie, moja Marcinowa! tego już nadto! Ja nie chcę takie awantury! Zwymyślaliście rządcę od karaimów! Za co? Jakiém prawem? Co to jest? On wpadł do mnie jak trup, jak waryat, aż mi się dziecko przelękło, aż mi jeszcze serce bije.

— Proszę pani, przecie tu są świadkowie!

— Co mi tam wasi świadkowie! Wy macie buzię! ja wiem Wy się już spanoszyli, wy nikogo za nic nie macie!

— Proszę pani, dlaczego za tamtego rządcy zawsze był święty spokój?

— Ja wiem, ja wiem, co wy trzymacie za katolikiem!

— A tak! pan Sztybel chce nas wyszczuć! Zobaczymy, jak tu kto inny będzie na nasze miejsce.

— Nu, ja jego dla was nie usunę. To darmo! Wolę, wy sobie kupcie fortunę; a mnie zostawcie w spokoju! Ja tego nie lubię!

— Ja wiem, proszę pani, o co panu Sztybel chodzi.

— Ja tego nie chcę wiedzieć! Już ja wiem, co wy lubicie plotki.

— Ja plotki lubię? Żebym tak światłości boskiéj nie oglądała, jeżelim na kogo fałszywe słowo wymówiła! Widzi pani! Tylko że my państwu wiernie służymy, że my pańskiego dobra jak oka w głowie strzeżemy, to pani tak mówi!

— Co dobre, to dobre! Ale ja wolę stracić, jak tyle z wami cierpiéć!

— A cóż to pani cierpi? Że ja mówię na pana Sztybla? bo mam racyę! Bo on chce ze stróżem szacherki robić!

— To nie prawda!

— Nie prawda? pani myśli, że on państwa kocha? Pani chce zgubić swe dziecko!

— Co to za gadanie!

— Ja wiem! Pani mówiła do pana, że nie wadzi, choć on biédny....

— Zkąd wy to wiecie? No, widzicie Marcinowa, to już jest źle, bardzo źle!

— Ja plotek nie wynoszę, bo to mój syn, moja córka i krześniaczka i przyszły nasz zięć.... A że ja panienkę kocham, bo tego warta, to pilnuję, żeby w nieszczęście nie popadła!

— Co to jest, Marcinowa? Niech Bóg obroni od nieszczęścia!

— Niech Pan Bóg zachowa państwa i panienkę w zdrowiu! Pani myśli, że Sztybel nie jest fałszywy, że on przepada za panienką, a nie za kamienicą?

— Marcinowa, ja nie chę tego słuchać! Wy przez złość gadacie, co mi wielką przykrość robi!

— To niech pani czyta!

— Co to jest? Metryka... jego imię... chrześciańskie dziecko....

— Z kawiarką....

— Zkąd to macie?—rzekła, drżąc całém ciałem Grosfusowa.

— On już trzy lata bałamuci tę dziewczynę, obiecał się z nią żenić!

— No, może to nie on, może to drugie takie imię....

— Co też pani mówi! Toć ją mogę przysłać do pani. Manił ją, że się wychrzci, chłopca ochrzcił na swoje imię, dawał jéj na utrzymanie, a teraz się stroi, żeby się państwu pokazać, a o nich obojgu zapomniał.

— To niegodnie!

— Ona się dowiedziała, że on tu mieszka, że tu jest rządcą i przyszła mnie się radzić.

— To nikczemnie! Marcinowo — rzekła gospodyni ze łzami— jeśli to prawda....

— Wszystkiego może się pani przekonać.

— Czemuście mi wprzód nic nie powiedzieli?

— Dopiéro w tym momencie dostałam ten papier. I ja myślałam, że to fałsz. Chciałam jemu pokazać tę metrykę, chciałam się wstawić za biédną dziewczyną, chciałam go ostrzedz, żeby z naszą panienką zręcznie zerwał póki czas....

— To bardzo ładnie!...

— Chciałam pani oszczędzić téj przykrości.... Próbowałam, czy on honorowy, a on na mnie od najgorszych słów, od plugawych goimek....

— Bo może to oszczerstwo....

— Nie, proszę pani. On jeszcze o niczém nie wié, tylko się oburzył, żem na niego bez lufcik zawołała: panie Sztybel! I zaraz jął mnie lżyć. A to proszę pani, pani mnie uszanuje, i pan i panienka—a on jaki hardy? Nazwać mnie nie potrafi!

— Marcinowa! ja was wynagrodzę za wasze dobre serce. Wy mi będziecie jak krewniaczka jeżeli to wszystko prawda!

— Czy jabym śmiała stworzyć takie kalumnie?

— Byłabym zgubiła moje kochane dziecko! — i płacząc objęła głowę Marcinowéj, która téż serdecznie poczęła Grosfusowę całować po rękach.

— No, ja się tego nie spodziewałam po was!

— We mnie, proszę pani, szlacheckie bije serce! Żeby on nie zrobił takiéj awantury, tobym delikatniéj to pani powiedziała!

— No, Marcinowa, nie mówcie nic nikomu! Ja jego wypędzę, tylko jeszcze nie wiem jak, żeby moje dziecko było spokojne! Przyślijcie mnie tę dziewczynę; niech ona przyjdzie po robotę!

— Dobrze, proszę pani!

— Tymczasem niech tu ztąd ani jedno słowo nie wyjdzie! Bawcie się jakby nigdy nic. Jego nie draźnijcie! Ja jemu powiem.... No, zobaczę... namyślę się.... co ja jemu powiem. Ja jego wypędzę, tylko pierwéj chcę z grzecznością spróbować. Ja zawsze lubię jak najgrzeczniéj z ludźmi!

— To téż i my bez to ostali się u wielmożnych państwa, kiedy państwo ten dom kupili.

— Tylko Marcinowa... — upomina jeszcze Grosfusowa na odchodném.

— Niech pani będzie spokojna! Nie potrzeba ślusarza! — dodaje Marcinowa z uśmiechem. — A proszę pani o tę metrykę to ona się upomni.

— Dobrze!—brzmi odpowiedź już za drzwiami. — Ja tylko mojemu mężowi pokażę.

— A widzisz, karaimie! — odzywa się po chwili tryumfująco Marcinowa.—Nie byłabym mu tego zrobiła, jak mi Bóg miły! bo nie jestem pomstnica. I ta blada dziewczyna nic teraz nie dostanie! I ta sierotka biedna tego karaima!

— Dlatego mamcia źle zrobiła! — robi uwagę Waluś — będzie teraz nielada chryja!

— I tak i tak, to onby niedowiarek nie chciał odstąpić od swego! A może się i lepiéj stało? Onby zabiegł może.... a szkodaby naszéj panienki.... Tak! szkoda! bo choć to żydówka, ale to takie dobre, że do rany przyłóż.... choćby i do katolickiéj!.. Głupiś, Waluś!

— Ja głupi! Jak mama śmié?!

— Tyś mądry, ale w kancelaryi. Tutaj nie rezonuj! Na babskie rzeczy nie twoja głowa!

— No, chyba że tak, bo wié mama, że....

— Tak Pan Bóg zrządził! Lepiéj się stało! Ten Sztybel to chytra żmija! A, karaimie!

— Weronisiu, bój się Boga! co znów na Sztybla wygadujesz!— zawołał Marcin, wchodząc z Polikarpem. — Że téż ta twoja gęba nigdy nie świętuje!... Znowu biédy napytasz!... Co tobie do Sztybla?

— Marcinie, usiądź i siedź! Jużeś zalał więcéj jak trzeba!...

— Ejże, Weronisiu, stultum....

— Marcinie!

— A no, niech ta.... prawda!... Już, już siedzę cicho....

— Braciszku, nie swaraj się z babą przy dziateczkach!—napomina Polikarp. — A gdzież moja?

— A śpi za *parabanem!*

— Chryste Panie! bez całą drogę spała!

— Ja tylko tyle mówię— odzywa się Damazy — że salon pani Marcinowéj to prawdziwy salon! Jeżeli nie ważą się w nim losy świata, to jednak....

— Mrumru! — przerywa mu Marcinowa, dając znak milczenia.

— Dlaczego ma być mrumru? — pyta podejrzliwie Polikarp. — Pewnie tu była jaka zdrożność, jakie wszeteczeństwo, hę? Kundzia! tłumacz mi się za....

— Ja, tatusiu.... ja... — zaczyna Kundzia zalękniona.

— Czegoś ty zalękniona?

— Bo tatusio tak na mnie krzyknęli....

— Mój kumotrze! za cóż to macie mój salon? — mówi Marcinowa z wielką powagą. — Przecie tu nie las, przecie ja tu ciągle jestem....

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Witajcie, panie Marcinie! Witajcie, pani Marcinowo!

— Na wieki wieków, amen! — odpowiada nowo przybyłemu Polikarp.—A to przecie jakiś porządny człowiek! Bo, widzicie, pani kumo, w téj to waszéj Warsiawie, to nie wszystko jest po bożemu. W tym waszym tunelu kapela pięknie gra, dziewuchy żwawo uwijają się z kuflami, a że miło patrzéć, ludu strojnego kupa, ale cóż? pochwalisz, wchodzący, Pana Boga, żywa dusza nie odpowié. I rozmowy takie nieprzystojne! musieliśwa wrócić się rychléj z Marcinem.

— Co téż kumeczku gadacie! Tam się zbiera bardzo porządna kompania! Przecie i mój tam chodzi! Cóż takiego gadali?

— Bies ich ta wié, co gadali; ale że jakoś bezbożnie....

— Pewnie po niemiecku! — wtrąca nowoprzybyły.

— Ej nie! Kiedyby po niemiecku, tobym się na tém poznał. Po polsku *śwargotali*, ale jakoś ta....

— Co to pan Mateusz przecie do nas zawitał! — pyta Marcinowa nowoprzybyłego.

— A to względem tych kilkunastu złotych, co to pani Marcinowa miała dla mojéj odebrać.

— Wziął bieliznę, tylko przeliczyć nie miał czasu! Jutro sama przyniosę. A cóż pani Mateuszowéj tak pilno? toć jéj nie przepadnie!

— E, bo to niby pani Marcinowa nie wié! Bez posady jestem.

— Dawnoć?

— A od kwartału! Poróżniłem się z hrabią! tyla tylko, że mi za miesiąc zapłacił.

— To i tak przecie pan Mateusz na to jeno nie patrzy.

— To téż to, że dziś tak jakoś wypadło! Co jest parę groszy, to u ludzi; odebrać trudno, a i szkoda, boby poszło! Miałem przez ten czas parę obstalunków, ale niech ich tam kaczki zdepczą! Ja tam z nimi kompanii trzymać nie chcę! Porządny człowiek woli stałą kondycyą!

— A jakiejż to pan profesyi? — pyta Polikarp.

— Do czynności chodzę!

— Aha!

— Pan Mateusz jest dworski — objaśnia Marcinowa.

— Tak to?! No, to musi bywalec?

— Oho! ba! ba! — potwierdza Marcinowa.

— Ja tam, nie chwalący się, z hrabiami zagranicę jeżdżę.... Co roku w Paryżach, Badenach.... A panna co tu robi?—pyta ciekawie Praksedy.

— To pan Mateusz nie wie? Praksia nasza córka!

— Hm! Panna zawsze mówiła, że jest córką urzędnika....

— A bo przecie mój ojciec urzędnik! Od policyi zależy....

— A tak! z długiem piórem.... I amanta, widzę, panna ma...— ciągnie Mateusz drwiąco.—Czy to *już* drugi, czy *jeszcze* drugi?

— Czy to tak, panno Praksedo?—zapytuje Damazy.

— A zkądże się państwo znacie?—pyta Mateusza Marcinowa— kiedy nie tutaj?

— W jednym domu byliśmy; nie razem, ale naprzeciwko—odpowiada Mateusz.

— Pan Mateusz powinien wiedzieć, z czém się gdzie odezwać! *Kąprene wu, mąśje?* — woła zaperzona Prakseda.

— *Że kąpran, madmuazel!* Tylko ze swoją francuzczyzną niech panna nie wyjeżdża. Powinna panna wiedzieć, do kogo się odzywa!

— I to może pan Mateusz powie! Ja też przecie zawsze z państwem jestem i z panienkami po francusku rozmawiam.

— E, przecie ja wiem! panna, zamiatając, słyszy, jak się panny uczą....

— Panie Mateuszu! pan szarpie honor mojéj córki! nie spodziewałam się.... Pani Mateuszowéj nie dam już więcéj kawalerów... Kiedy tak, to tak!

— Nie będziemy płakali! Co moja utłucze, to się z wami podzieli. A to mydło drogie, krochmal przepłać i z tego nie ma nic!

— No, to kiedy tak.... to niech żydom pierze!

— Weronisiu! stultum....

— Ty się do tego nie wtrącaj! Moi kawalerowie *w dubelt* płacą, i nie napracuje się: bielizna tyle, że zmięta.

— I właśnie, proszę mamy, że nieprawda! bo ja się razem z panienkami od guwernantki uczyłam... — oponuje Prakseda. — Może pan Mateusz zaprzeczy—zwraca się z gniewem do Mateusza—że to nie po francusku: *że wu salu mąśje, ferme la port, musze le ne, done mua ę wer do...* — recytuje jednym tchem i urywa nagle, widząc, że się Mateusz ironicznie uśmiecha.

— Ale po francusku! i owszem! tylko że panna jak papuga recytuje: witam pana, zamknij drzwi, utrzyj nos.... ha, ha, ha!... podaj mi szklankę wody,—piwo przecież lepsze!— i nie wiesz panna, kiedy co powiedzieć!

— Ale naprawdę po francusku gada?—pyta Polikarp, występując na środek.

— A gada! gada'—potwierdza Mateusz lekceważąco.

— No, to widzisz, moja Łucko, że wszelako dziewczyna po francusku gada! A ja miarkowałem, jakoby mnie oni durzyli.... A, kiedy tak, to się dobrze złożyło!

— Co też kumcio wygaduje? któżby zaś kumów durzył?

— Ale bo to we Warsiawie to jakiś inszy naród.... No, ale że uczony, to uczony! Kalkuluję, że i Waluś dobrze mi dorai.

— Mój wujciu! ja nie takie interesa prowadziłem!

— A kiedy jeszcze nie wiész jaki! No, powiédzże mi pan téż, panie Mateuszu—mówi, kładąc Mateuszowi rękę na ramieniu— kiedyś pan taki uczony.... co to za król Zygmunt, co ma figurę?

— E, ja tam historyi nie uczony! Wiem, że król Zygmunt od dawien dawna stoi i tyla! Ja bo, widzi pan obywatel, tylko francuskie książki czytuję i w polityce jeno jestem mocny....

— A toż we francuskich książkach kto uczony, to témbardziéj wiedziéć powinien o wszystkiém!

— Kiedy we francuskich książkach o tém nie piszą!

— Jakto zaś?

— A nie piszą! Może mi pan obywatel wierzyć! Piszą tylko o francuzach i o różnych różnościach.

— To to tak!? A czemuż pan Mateusz nie czytuje takich, co wszystko piszą?

— Bo w hrabskich domach tylko francuskie albo angielskie trzymają gazety!

— A, cóż oni piszą, te francuzy? bo ja myślałem....

— O polityce.... o modach.... romanse....

— O polityce?! To i tobym rad posłyszéć!... Ale że najbardziéj ciekawy jestem tego króla Zygmunta! I patrzcież państwo! Kiedy taki uczony człowiek, co ci panie bracie wytłómaczył, co Praksia po francusku mówiła, i to panie bracie nie wié o królu Zygmuncie, no, to musi Waluś, pan Walenty, nie na żarty jurysta! A no, moja pani kumo, kumie Marcinie, winszuję, winszuję!—Ściska Marcina.

— Czemu pan Damazy taki osowiały?— pyta na pół gniewnie, na pół z płaczem Prakseda swego kochanka.

— Ja muszę tego dociec, panno Praksedo! o, muszę! choćby mnie to nie wiem ile kosztowało!

— Nie spodziewałam się tego po panu Mateuszu! Jakże, niech pan Mateusz powié zaraz do oczów! — woła, ciągnąc Mateusza za rękaw. — Niech pan Mateusz powié lepiéj wszystko, co tylko wié!... Czym ja co złego zrobiła?

— Tego nie mówię! Uchowaj Boże!

— Ale miała amanta? — pyta desperacko Damazy.

— To co, że czasem z kim pogadałam? — odpowiada prędko Prakseda. — Czy to pan Damazy już się oświadczył, czy co?

— Prawda! dalibóg prawda! Moja wina! — odpowiada Damazy ze skruchą.—To wybieraj panna Prakseda, ale zaraz bez namysłu, wedle serca!

— Ja nie wiem, co pan Damazy myśli! — odrzekła Prakseda, trochę uradowana, trochę zmieszana.

— Co ja myślę? Tak myślę: chcesz mnie panna Prakseda, czy nie? Może tamten frant lepiéj się podobał?

— Co się miał podobać?

— Więc jakże?

— O! co też pan Damazy taki dziwny! Co nie ma pana chcieć? — decyduje Marcinowa, na wszystko baczna. — Na plotki niech pan Damazy nie zważa. Ja za moje dziecko ręczę!

— A no, to niech sama powie. Stań się wola Boża! Stróż nie stróż, pokojówka nie pokojówka, jak się zwał, tak się zwał...

— A cóż to pan Damazy sobie myśli? Toćże my szlachta legitymowana!

— A i ja szlachcic!

— Dziewczyna młoda, ładna, hoża, niejedenby za nią latał bylebyśmy pozwolili! I do tego ma trzy tysiące gotowych pieniędzy zaraz, krom tego, co po naszéj śmierci....

— Słyszysz Łucko? — mówi Polikarp do żony półgłosem, wbok ją trąciwszy.

— Furda trzy tysiące, mocium panie! Toć wiadomo, że ja mam dochodu 40 a czasem 70 rubli miesięcznie!

— Słyszysz ty, Łucko?

— Pól domu na Smoczéj i pięć tysięcy w listach zastawnych!

— Patrzajże, Łucko! A niechże cię! A my z nim ni tak, ni siak!

— Mógłbym dziesięć tysięcy dostać, — kończy Damazy — ale kocham dziewczynę! Żeby mnie tylko kochała, to będzie szczęśliwą i ja z nią!

— A cóż to nie ma pana kochać? Cóż to panu brak? — perswaduje Marcinowa.

— Niech sama powie! — mówi Damazy, patrząc dziewczynie w oczy i biorąc ją za obie ręce. Dziewczyna spłoniona szepnęła Damazemu w ucho i, pocałowawszy go z nienacka w czoło, wyrwała się do kąta. Damazy ją dopędza i natarczywie nadstawia usta do drugiego pocałunku, szepcząc miłośnie:

— Praksiu moja, aniołeczku, jeżeli kochasz, to pocałuj jeszcze!

— O la Boga! Chryste Jezu! Co się dzieje! — woła Polikarp — Żono, córko, zabiérajta się na gospodę

— Kumie! panie Polikarpie! cóż znowu? co się stało? — pyta mocno zdziwiona Marcinowa.

— A toż go pocałowała w same usta wobec oto i młodych i starszych! A toć zgorszenie, brak poszanowania, obraza boska! Kobiéty, zabiérajcie się!

— Ależ panie obywatelu!—tłómaczy Mateusz—cóż w tém złego? Przecież to zaręczyny, to jakże ma być inaczéj?

— Co mi pan perswadujesz, mój panie! Ja z moją blisko trzydzieści lat *żeniaty*, a nigdyśmy się wobec nie całowali!

— A zkądże to pan obywatel?

— A z Podlasia, szlachta, panie bracie, na swojéj cząstce!

— No, to, panie obywatelu, pozwól pan sobie powiedzieć, że co kraj, to obyczaj!

— Toć prawda; ale dziękuję pokornie za takie obyczaje! Wszystko mi się podoba u was, Marcinowie, panie bracie, ale wybaczcie, na takie obyczaje patrzéć nie mogę! No, kobiéty! czego się gapita?

— Proszę tatusia... to i ja będę karana ,jak się ojczaszki dowiedzą, — odzywa się Kundzia, chowając oczy pod fartuszek.

— Co nowego? Gadaj zaraz!

— A bo, proszę tatusia, ja téż.... ja téż....

— Chryste Panie! co znowu?

— Bo kiedy ojczaszków nie było, pan Walenty wziął i mnie pocałował.... jużci tak fertycznie, żem się nie spotrzegła!

— A czemuś nie krzyknęła?

— Kiedy jął prosić, żebym mu rzekła po imieniu i przyniewolił, żem i ja jego....

— Chryste Panie! Dziewczyno! miałaś ty Boga w sercu?

— Kiéj ojczaszki rzekli, że nas pożenią, jak się sobie podobamy, to ja myślała, że nie grzech...

— Jezu Chryste! to już chyba takie powietrze w téj Warsiawie! Dziewucha, braciszku, wychowana jak w klasztorze!

Mateusz uśmiecha się i dusi śmiech w sobie, ale Marcinowa daje mu znaki, żeby był poważnym.

— Kochany wujciu! — odzywa się Walenty, całując Polikarpa w rękę — Kundzia wcale nie winna. Ja jéj mówiłem, że w Warszawie, kiedy kto kogo kocha, to go pocałuje. I to wcale nie jest kłamstwem!

— A niech was nie znam z takim obyczajem! No, ale Kundzia tyla jeszcze niewinna — bo o mężczyznach się nie gada. — Na osobności to tam jeszcze!

— Więc wujcio nie gniewa się na Kundzię? Ja zostanę mecenasem....

— Furda, mości panie! — odzywa się na te słowa Damazy, który śmiejąc się do téj pory po cichu, bezustannie całował Praksię po rękach. — Furda mecenasowstwo, powiadam! Po co świat mamié? Będzie, panie, woźnym trybunału, jako i ja panie, i to wkrótce, bo już dwa lata aplikuje i protekcyą pozyskał; bo trzeba państwu wiedzieć, że Grosfusowa naprawdę robi starania u naszego prokuratora.

— Robi starania? — pyta Marcinowa — a co? nie mówiłam, że to zacna pani, choć żydówka? Widzicie kumie?

— I pan się na urzędzie dorobił? — pyta Damazego Polikarp.

— A jakże, panie! Przy szczęściu jest z czego uzbierać!

— A powtóre, mój Polikarpie, że jakom rzekł, — odzywa się Marcin, trącony przez małżonkę — każdemu dziecku daję wiana trzy tysiące złotych gotówką i po naszéj śmierci drugie tyle, jeżeli Pan Bóg nie da więcéj.

— Słyszysz, Łucko?

— Wedle mojego rozumu, toć wejdziemy w piękną koligacyą!

— A jużci! I swojacy!

— Nie dziwacz stary, toćżeś i ty całował za młodu!

— Ale nie wobec! I to ja ciebie, a nie ty mnie!

— Kiedy bo wy, kumie, nie dacie sobie wytłómaczyć, że to Warszawa!

— A no, niechże ta! Ja téż daję po naszéj śmierci fortunkę — toć ją znacie!— i trzy tysiące wiana, a choćby i cztery, choćby i pięć, bo mi się chłopak udał!

— Więc zgoda, panie bracie!—krzyknie Marcin, obejmując Polikarpa za szyję.

— Niech żyją dwie pary! — woła Marcinowa, ściskając Polikarpową.

— Niechże już! — mówi Polikarp, spojrzawszy na dzieci i widząc, że Kundzia kręci się w kątku z zasłoniętemi fartuszkiem oczami, a Waluś usiłuje zajrzéć jéj w oczy. — Niech się stanie wola boska! Wlazłeś między wrony, krakaj jak i ony! Całujtaż się dzieci, kiedy już tu taki obyczaj!

— Oj ty stary, ty stary! — mówi Polikarpowa, klepiąc męża po łysinie.

— Jeno ty stara nie rób głupstw!

— Ej zaś!

— Cała bieda, żeśmy, Waluś nie przynieśli harmonii!

— Już ja teraz po nią nie pójdę! Kundzia nie pozwoli!—odrzekł Waluś, chichocząc i umizgając się do Kundzi.

— O co idzie? — odzywa się Mateusz — ja wnet swoję sprowadzę. Prześliczna! Bo i ja téż muzykalny! A nawet i na flecie mogę zagrać!

— Oj, to! to! to! — woła Praksia.

— Wracajcież, panie Mateuszu, nie sam! — odzywa się Marcinowa — niechże się i wasza z nami zabawi!

— I owszem! A nie będzie się pani Marcinowa wygrażać?

— E, co tam! kiedy przy łasce boskiéj wszystko się w dobro obróciło!

— To i ja panu Mateuszowi przebaczę urazę! — mówi Prakseda.

— Oto Bogu dzięki, jest jeszcze piwo! — woła Marcin. — Za zdrowie państwa młodych!

— Wiwat!

— To tylko najgorzéj, że ja muszę do bramy! — biada Marcin.

— Nie turbuj się, staruszku! jest i na to rada! Stangret cię zastąpi z pocałowaniem ręki za te parę złotych, co mu dasz! Niech się dzieci zabawią!

— Niech się dzieci bawią! — woła Polikarp wesoło. — Kundziu, nie wstydaj się! toćże ty nie za piecem chowana, chociaż nie we Warsiawie! A kiéj wlazłeś między wrony....

— Krakaj jak i ony! — kończy Marcinowa.

— Całujtaż się, dzieci!

• • •

W salonie pani Marcinowéj goście i zaręczeni na swój sposób bawili się ochoczo do rana. Co będzie daléj, domyśléć się łatwo, bo pani Marcinowa nie napróżno ma „salon“ i, jak czytelnicy z tego szkicu widzą, salon pani Marcinowéj nie bez racyi nazwaliśmy salonem.

Natali Osuchowski.





POGLĄDY
FILOZOFICZNO-PEDAGOGICZNE
HOENE - WROŃSKIEGO.

Mesyanizm Hoene-Wrońskiego, jako system, którym pragnął objąć Boga, przyrodę, ludzkość, wiedzę i religią, pozostał i pozostanie nieurzeczywistnioném marzeniem. Potężna umysłem jednostka, jaką był Wroński, dzielić musi z najmniéj udolnym osobnikiem tę wspólną dolę, że odległa przyszłość pozostać musi dla obu nieznaną. Wieszcze umysły wybiegają wprawdzie po za granice wieku, nie zdołają jednak przewidzieć wszystkiego, co się rozwinąć ma z łona czasu. Wroński porwał się do podobnéj tytanicznéj roboty, zbudował gmach, w którym umieścił i uporządkował wszystko, co już zostało zdobytém pracą ducha ludzkiego, powyznaczał miejsca dla tego, co ma być zdobytém w nieograniczonéj przyszłości dziejów, ale gmach ten okazał się utworem fantazyi, który rozwiał się pod wpływem tchnienia rzeczywistości.

Mimo to, mesyanizm jego pozostanie zawsze pięknem dziełem ze względu na niezliczone bogactwo pomysłów z najróżnorodniejszych dziedzin wiedzy, jakie zaklął w swym fantazyjnym gmachu. Pomysły Wrońskiego w dziedzinie nauk ścisłych noszą na sobie piętno geniuszu i mają po dziś dzień wysoką wartość naukową. Nie wszystkie prace jego są dotąd znane, i wolno nam przypuszczać, że gdy bliżéj będą rozpatrzone i ocenione, nie jedna z nich znaczną nauce przyniesie korzyść.

Chcemy tu przedstawić w streszczeniu jeden urywek z wielkiego dzieła Wrońskiego „*Reforme absolue du savoir humain*“ (1847), urywek, z którego poznać można, jakie poglądy pedagogiczne wyznawał twórca mesyanizmu. Sądzę, że rzecz ta nie będzie pozbawioną interesu dla czytelników.

Rzecz oczywista, że pojęcia pedagogiczne Wrońskiego musiały wypływać z zasad mesyanizmu, t. j. filozofii bezwzględnéj, jak Wroński system swój nazywał. Aż do ogłoszenia téj filozofii „wielki problemat wychowania prywatnego i publicznego“ nie tylko nie był, zdaniem Wrońskiego, rozwiązany, lecz nawet nie był należycie postawiony. „Wszystko, co dotychczasowa filozofia uczyniła pod tym względem, powiada on, sprowadza się w zasadzie do téj prostéj uwagi ogólnéj, że wychowanie winno rozwinąć w człowieku ogół jego zdolności fizycznych i hyperfizycznych, t. j. cielesnych i duchowych, i dla dojścia do tego celu przepisuje pedagogice filozofia czerpać prawidła wychowania z jednéj strony *a posteriori* w antropologii, z drugiéj zaś *a priori* w filozofii moralności i w religii. Ze względu jednak na brak pewnych zasad w wymienionych umiejętnościach, sztuka wychowania musi być równie niepewną. Wynikają ztąd najsprzeczniejsze opinie wychowawcze oraz niezliczone metody pedagogiczne, niedorzeczne i niebezpieczne. Wychowanie prywatne bywa błędne, gdyż rodzice nie posiadają zwykle należytéj wiedzy wychowawczéj i popełniają często prawdziwe morderstwo intelektualne, zwłaszcza gdy układają plan wychowania, idąc za fanatyzmem swych poglądów politycznych i religijnych. Twórcy znów wychowania publicznego, przekraczając właściwe sobie prawa, ustanawiają wszechwładnie system wychowania narodowego, kierując się często pobudkami interesów osobistych lub zasłaniając się rzekomemi interesami państwa.“ Nie przeczy Wroński, że najnowsza filozofia niemiecka (Kant i jego następcy) wpłynęła na poprawę pedagogiki nie tylko jako wiedzy, ale i jako sztuki wychowania. Dla poznania postępów pedagogiki niemieckiéj poleca czytanie dzieł Niemeyera, Kruga, Zachariae, Rehberga, Pavoneta, Schwartza, Grasera, Stephani'ego, uważa jednak, że wszystkie te prace są niezadawalniające pod względem filozoficznym, a to dlatego, że cel, jaki sobie pedagogika dotąd zakłada, a mianowicie rozwinięcie ogółu zdolności cielesnych i duchowych człowieka, jest, jak już wspomniano, niewystarczającym, bo jest celem subiektywnym, względnym, gdy tymczasem prawdziwa umiejętność wytknąć sobie winna cel obiektywny, bezwzględny.

Cel pedagogiki winien być na wszystkie czasy zgodnym z celem, do którego zmierza ludzkość. Tezę tę nazywa Wroński *prawem najwyższém* pedagogiki, na którém opierać się winno całe *prawodawstwo* téj umiejętności.

Lecz do jakiego celu zmierza ludzkość? Wroński twierdzi, że mesyanizm odpowiada na to najwyższe pytanie w sposób stanowczy. Celem bezwzględnym istnienia człowieka na ziemi jest zdoby-

cie prawdy bezwzględnéj, dobra bezwzględnego, *tworzenie własne*, nieśmiertelność. Do tego celu doprowadzi człowieka rozwój jego rozumu, którego zdolność twórcza, zdaniem Wrońskiego, jest nieskończoną. Wroński nie uznaje tam, jakie rozumowi postawił Kant. Tamy te są dla Wrońskiego czémś względném, czasowém; rozwój duchowy usuwać je będzie coraz daléj i daléj, aż nastąpi chwila, w któréj tamy znikną, a człowiek stanie się równym bóstwu. Wroński kreśli nawet zarys przebiegu dziejów ludzkości aż do owéj chwili, w któréj władza człowieka powstanie w nieskończonéj swéj potędze. Ludzkość przebiegła już, według niego, cztery okresy swego rozwoju historycznego, i znajduje się obecnie w okresie piątym tak zwanéj *antynomii socyalnéj*, który cechuje się istnieniem dwóch wielkich partyj politycznych: partyi prawa boskiego i partyi prawa ludzkiego, albo inaczéj nieliberalnéj i liberalnéj. Jedna z nich dąży do wytworzenia dobra, druga do wytworzenia wiedzy; oba zaś te dążenia są wyrazem *prawa postępu* w piątym okresie dziejów, po którym nastąpią, pod wpływem już mesyanizmu, dwa ostateczne okresy szósty i siódmy, będące erą celów racyonalnych czyli bezwzględnych. Okres szósty doprowadzi do odkrycia bezwzględnéj prawdy, bezwarunkowéj zasady wszelkiéj rzeczywistości; okres siódmy—do odkrycia dobra bezwzględnego, do duchowéj regeneracyi rodu ludzkiego, do nieśmiertelności.

Te wysokie cele ludzkości powinny, zdaniem Wrońskiego, określać charakter prawdziwego systemu pedagogiki. Czuje jednak Wroński, że postawienie podobnego celu już dzisiejszéj pedagogice byłoby przedwczesném; wyznaje więc, że cel bezwzględny, jaki idealnie jéj zakreśla, jest obecnie jeszcze transcendentalnym i nie dałby się jako taki zastosować do warunków czasowych, w jakich przebywa ludzkość na obecnym stopniu rozwoju, kierując się ku najwyższemu swemu zadaniu. Wskazuje więc pedagogice cele pośrednie, kolejne, służące za podstawę jeden drugiemu i prowadzące drogą rozwoju do celu ostatecznego. Oznaczenie tych celów pośrednich ma znaleźć pedagogika w filozofii historyi. Dzisiejsza epoka krytyczna antynomii socyalnéj ma, według téj filozofii, za zadanie rozwój dobra i prawdy. Lecz jak zadanie to ma być spełnioném? Na to znów pytanie każe Wroński szukać odpowiedzi w historyi filozofii, téj najwyższéj umiejętności, mającéj za przedmiot prawdę i dobro. Historya systemów filozoficznych, która dotąd, zdaniem Wrońskiego, była tylko katalogiem mniéj lub więcéj rozumowanym błędów filozoficznych, winna stać się prawdziwą umiejętnością wyjaśniającą genetyczny rozwój prawdy i dobra, a to na zasadach, jakie znów Wroński wskazuje jéj w mesyanizmie, a mianowi-

cie w swém *prawie tworzenia*, które uważa za zasadę pierwszą, naczelną, za siłę twórczą wszelkiego systemu rzeczywistości i prawa.

W końcu urywku Wroński podaje tablicę genetyczną tworzenia pedagogiki. Architektonika téj tablicy zgodną jest z planem, jaki przeprowadzał autor mesyanizmu we wszystkich swych klasyfikacyach naukowych. A więc mamy tu najprzód podział na teoryą i technią, z których pierwsza obejmuje to, co jest już danego w pedagogice, druga to, co ma być utworzoném i dopełnioném. Tak teorya jak i technia dzieli się na dwa działy obejmujące treść czyli zawartość i formę albo zależność pedagogiki. Każdy z tych działów rozpada się znów na dwie części : elementarną i systematyczną. Część elementarna w teoryi obejmuje *siedm* elementów kultury psychicznéj, należących do wykształcenia niższego, część systematyczna *cztery* elementy—należące do wykształcenia *wyższego*. Te liczby *siedm* i *cztery* powtarzają się we wszystkich tablicach genetycznych i przypominają bardzo doktrynę pytagorejczyków. Przyznaje to nawet sam Wroński, uważając, że nauka mędrca greckiego, dotycząca znaczenia liczb, była właśnie nieświadomym objawem wielkiego prawa tworzenia, które dopiero Wroński światu ogłosił. Rzecz szczególna, że wszystkie swe odkrycia naukowe uważał Wroński za bezpośredni wypływ tego cudownego prawa: kto jest w posiadaniu tego prawa, ten posiada niewyczerpane źródło żywéj prawdy. Ciekawe o tém opowiadanie znajdujemy w pismach Wrońskiego. Do pierwszéj swojéj rozprawy, przedstawionéj Akademii paryskiéj, o tak nazwaném „prawie najwyższém“ w matematyce, dołączył Wroński tablicę genetyczną matematyki, podobną układem do tablicy pedagogicznéj, o któréj obecnie mówimy. W rozmowie ze znakomitym Lagrange'm, który był sprawozdawcą Akademii, zapytał go Wroński, co myśli o téj tablicy architektonicznéj. „Tablica pańska, odrzekł Lagrange, jest genialna, ale nie daje nic nauce; za to pańskie, prawo najwyższe może zmienić oblicze wiedzy.“ Wroński dodaje, że powstrzymał się od powiedzenia Lagrange'owi, że właśnie przy pomocy téj tablicy, a mianowicie za pomocą prawa tworzenia doszedł do odkrycia prawa najwyższego matematyki, które tak uderzyło Lagrange'a.

Jakkolwiek tablice genetyczne Wrońskiego są nadzwyczaj ciekawe jako pierwsza próba jednolitego podziału wszystkich umiejętności, wyższą jednak bezporównania wartość przypisać musimy odkryciom czysto-naukowym i metodom nowym Wrońskiego. Rozumie się, że wszelką cudowność, która nie może być znamieniem nauki, pomijamy. Zapewnienie zaś Wrońskiego, że jego odkrycia wypływają bezpośrednio z tablicy architektonicznéj, a raczéj z bę-

dącego jéj źródłem prawa tworzenia, możemy obrazowo rozumiéć w ten sposób, że znakomity umysł Wrońskiego, który był niejako siedliskiem syntezy wiedzy ludzkiéj, był owém prawém twórczém, z którego wypływały wszystkie jego odkrycia.

Dotykamy zresztą przedmiotu tego mimochodem, dla tego, że wymaga on gruntowniejszego rozbioru, którego jeszcze dać nie możemy, gdyż jesteśmy bardzo dalecy od ukończenia studyów nad Wrońskim. Wracając do filozofii pedagogiki, chcielibyśmy wypowiedzieć jeszcze kilka uwag, jakie nasunęło nam zastanowienie się nad powyższymi poglądami Wrońskiego.

Wroński, jak to widać z tablicy genetycznéj, pragnął utworzyć system pedagogiki umiejętnéj na zasadach filozofii. Pod tym względem miał poprzedników. Już Niemeyer zbudował system pedagogiczny na zasadach filozofii kantowskiéj w dziele p. t. „*Grundsätze der Erziehung und des Unterrichts*“ (1818). W pracy téj spotykamy zdanie podobne do poglądu Wrońskiego, że „dzieci powinny być wychowywane zgodnie z ideą ludzkości.“ Wyraźniéj to samo wypowiadają: Schwartz, który wprost określa wychowanie jako rozwijającą się ludzkość: (*Die Erziehung ist die sich entwickelnde Menschheit,*) oraz Graser, który w pracy: „*Divinität oder das Princip des einzig wahren Menschenerziehung*“ mówi: „Najwyższe prawo zasadnicze pedagogiki jest wyrażeniem idei stającéj się ludzkości: (*Der oberste Grundsatz der Paedagogik ist der Ausdruck der Idee der werdenden Menschheit*). Wroński tém różni się od swoich poprzedników, że ową zgodność wychowania człowieka z biegiem dziejów ludzkości pojmuje ściśléj i daléj. Dla niego, wychowanie ma być wprost asymilacyą jednostki z rozwojem ludzkości, asymilacyą świadomą celów, do jakich zdąża ludzkość. Nie należy mieszać asymilacyi téj z wygłaszaną dziś, a w części tylko prawdziwą, zasadą wychowawczą, że w wychowaniu dziecko winno przebyć niejako te stadya rozwoju, jakie przechodziła ludzkość. Asymilacya Wrońskiego stosuje się nie do przeszłości lecz do przyszłości, nie ma być rekapitulacyą tego co było, lecz niejako cząstkową realizacyą tego co będzie, ma być świadomém kierownictwem do celu, jaki sobie zakreśla ludzkość w pochodzie dziejów. Dla Wrońskiego, podobny cel był jasnym, bo mu go mesyanizm wytykał jasno i stanowczo.

Dla nas cele ostateczne, jak w ogóle wszystko, co jest po za granicami poznania, nie może być jasném i zrozumiałém; mimo to, pogląd Wrońskiego, który każe pedagogom miéć zwrócony wzrok duchowy ku najwyższym zadaniom ludzkości, który każe twórcom wychowania radzić się dziejów i filozofii—zasługuje na najwyższe uznanie i stanowić może podstawę najbardziéj humanitarnego systemu wychowania.

Żałować wypada, że Wroński nie rozwinął systemu swego w szczegółach, które najlepszą były by miarą politycznéj jego wartości; pozwolimy tu sobie na zasadzie myśli, wypowiedzianych tu i owdzie w jego pracach, odtworzyć przybliżony obraz systemu wychowania, jaki najbardziéj w myśl Wrońskiego odpowiadałby wymaganiom dzisiejszéj epoki.

Najprzód, kto ma objąć kierunek wychowania? Odpowiedź na to znajdujemy w nocie do wspomnianéj wyżéj tablicy genetycznéj. Kierunek ogólny wychowania należyć ma do *unii bezwzględnéj*, do wielkiego stowarzyszenia zwolenników mesyanizmu, którego Wroński był inicyatorem. Lecz ponieważ unia bezwzględna nie ma dotąd istnienia legalnego, więc tymczasem państwo powinno zastępczo wziąć na się to zadanie. Wychowanie powinno być państwowém. Kościół zostaje tymczasowo przez Wrońskiego usunięty od kierowania wychowaniem dla tego, że zdaniem Wrońskiego, kościół rządzi się dotąd dogmatami, które są *problematami* religijnemi, gdy tymczasem jedynie *prawdy* religijne mogłyby służyć za podstawę kierownictwa. Dopiéro, gdy wśród kościoła utworzy się zastęp ludzi wyższych, przejętych zasadami filozofii absolutnéj, wtedy państwo będzie im także mogło powierzyć w części kierunek wychowania.

Czy wychowanie ma być narodowém? Odpowiedź w duchu Wrońskiego i na to pytanie jest niewątpliwą, jeżeli zwrócimy uwagę, że według niego, dzisiejsza epoka ma sobie wytknięte cele pośrednie, które spełnić może tylko rozwój istniejących narodowości. Nie możemy tu wdawać się w rozbiór pomysłów politycznych Wrońskiego nacechowanych często trafnością i głębokością, ale i nie wolnych od nieuzasadnionych marzeń, powiemy tylko, że co się tyczy Polaków, to Wroński widzi w nich wysoki charakter autonomii mesyanicznéj, uzdalniający ich do spełnienia wysokich przeznaczeń na ziemi.

Czy wychowanie ma być religijném? Wymaga tego w systemie Wrońskiego prawo postępu, dążenie do dobra i prawdy; to téż wychowanie religijne stanowi u niego jeden z elementów kultury psychicznéj. Rzecz jednak oczywista, że wychowanie religijne, jakiém ono było, nie zadawalniało Wrońskiego, który pragnął je zastąpić wychowaniem mesyaniczném.

Prawo postępu wymaga wprowadzenia do systemu wychowania młodzieży nauk mających za przedmiot prawdę. Stąd wniosek, że na pierwszém miejscu w systemie nauk postawić należy matematykę, która, według Wrońskiego, jest prototypem wiedzy ludzkiéj. Wniosek ten stwierdza ustęp, jaki znajdujemy we „Wstępie do wykładu matematyki Hoene-Wrońskiego“, wydanym przez L. Niedźwieckiego (Paryż 1880); czytamy tam: „nauka matematyki powinna

bez zaprzeczenia, po uprawie moralnych i religijnych uczuć, stanowić główny przedmiot wychowania, dla każdego zaś wstępującego do naukowego zawodu i w ogólności dla każdego oświeconego człowieka stanowić winna główne narzędzie jego umiejętności."

Na matematyce oparte są mechanika, astronomia i nauki fizyczne. Im należy się miejsce bezpośrednie po matematyce. Trzecią gałęź stanowią nauki biologiczne, stojące po środku pomiędzy fizycznemi i historycznemi.

Historya wraz z geografią należącą po części do działu poprzedniego, wraz z socyologią, prawem i polityką—oto drugi dział umiejętności, nieodzowny w całości lub w części w systemie wychowania.

Po nim następuje dział trzeci, najwyższy—filozofia, będąca koroną umiejętności, podstawą i znamieniem wykształcenia wyższego. Bez filozofii wykształcenie jest niezupełném, podobnie jak bez matematyki jest pozbawioném trwałych podstaw.

Takie są mniéj więcéj konsekwencye, jakie pozwoliliśmy sobie wyprowadzić z fragmentu Wrońskiego. Obraz to bardzo niezupełny, przyznajemy; być może, że z czasem uda się go nakreślić lepiéj, skoro poznane będą niewydane dotąd rękopismy Wrońskiego. Dodajmy jeszcze, że czytając dzieła Wrońskiego, owoc jego geniuszu, gorącéj, dziecięcéj prawie wiary w rozwój ludzkości, niezmordowanéj pracy i najwznioślejszych uczuć, nie możemy się oprzéć często głębokiemu żalowi, że wszechstronna wiedza i doniosłe wyniki usiłowań Wrońskiego nie znalazły należytéj oceny u współczesnych, że były i pozostały nieznane nam, jego rodakom. Do dziś nawet imię wielkiego myśliciela polskiego nie zdołało pozyskać należytéj mu sympatyi. Błądził może i Wroński w swém życiu, ale błądził w najlepszéj wierze. Nikt wolnym nie jest od błędów, a tém mniéj wolnym być może ten, kto zapragnął być reformatorem ludzkości. Ale skoro prochy mędrca dawno już spoczęły w mogile, godzi się zajrzéć do wspaniałéj jego spuścizny i wybrać z niéj te cenne klejnoty, któremi słusznie chlubić się nam wolno. Powyższy urywek przedstawia malutką i nie najważniejszą cząstkę jego pomysłów; ale już z tego czytelnik osądzić może, jakiéj miary być mogły pomysły Wrońskiego, oraz że z mesyanizmu, który jako system okazał się chybionym, wydobyć się da bardzo wiele dla dobra nauki i społeczeństwa. Niechaj zachęcą nas do tego własne słowa mędrca, umieszczone w jedném z pism jego: „I Ty, szlachetna Polsko, ojczyzno droga, któréj bohaterstwo obroniło Europę od nawały muzułmańskiéj i umożliwiło jéj rozwój intelektualny, przyjm dzisiaj od jednego ze swych synów plon postępu ludzkości, jaki u stóp twych składa."

S. Dickstein.



KAROL XII I RAKOCZY.

(Ze wspomnień roku 1849).

Temeswar i Willagosz były ostatniemi epizodami węgierskiéj wojny 1849.

Po całodziennéj walce, kiedy zepchnięta ze swéj pozycyi, zasłaniającéj twierdzę, armia węgierska cofała się w porządku, nie będąc wcale napierana przez zwycięskiego nieprzyjaciela, nikt przypuszczać nie mógł, że w godzin kilka ta sama armia zamieni się w niesforną kupę rozbitków, którzy, straciwszy wszelki zmysł zachowawczy, rozpadną się na błędne bezbronne gromady. Zdawać by się mogło, że ostatni brzask gasnącéj wieczornéj zorzy uniósł resztki moralnéj siły Węgrów, pozostawiając na jéj miejscu zniechęcenie i gorycz zawodu.

Sprawiedliwość wszakże wymaga, by nadmienić, że rozkładowi nie uległa cała artylerya, legion polski, pomimo że przeważnie z jeźdźców złożony, oddział jazdy włoskiéj, niedobitki legionu wiedeńskiego i cztery bataliony dywizyi Kmety.

Nazajutrz w Lugosz znaleźliśmy się w następującym szczególnym komplecie: Sto sześćdziesiąt sześć armat z tyluż kiesonami literalnie próżnemi, sześć tysięcy piechoty i około tysiąca jazdy.

Gdyby jedna brygada austryacka z kilkunastu szwadronami i dwoma lekkiemi bateryami poszła była w nasze tropy, miała by jedyny kłopot zabierania nas częściowo po drodze, i zgarnięcia reszty do kupy w samym Lugosz. Lecz Austryacy byli zmęczeni, nie przeczuwali rozsypki czterdziesto-tysięcznego korpusu, który ucierpiawszy mało na placu boju, cofał się z porządku, obawy o marsz ku Aradowi nie mieli (1), nadto obchodzili tryumf oswobodzenia Teme-

(1) Jeszcze na półtory doby przed bitwą Temeswarską, droga ku Aradowi przez Lichtensteina odciętą została.

swaru, niemogącego już trzymać się dłużéj nad 48 godzin, pomimo bohaterskiéj obrony.

Jeżeli jaki nowy Jansky ośmieli się kiedy podnieść szczegóły téj obrony, Węgrzy zapewne obrażą się na nowo, nie dlatego żeby niezdolni byli ocenić wartości i męstwa nienawistnego sobie Rukawiny, lecz że fakt ten rzuca mocny cień na kapitulacyą Komorna.

Kiedy bowiem osiemdziesięcioletni starzec z czterema rezerwowemi batalionami Kroatów przez pięć miesięcy broni starego tureckiego zamczyska, którego bastyony i kurtyny zbite runęły w fosy, gdy zjadłszy konie, żywi załogę pozostałym obrokiem, odpiera pięć szturmów, a posłyszawszy strzały toczącéj się w polu walki, wykonywa dwie wycieczki, zagważdża bresz-bateryе i zmusza oblegającego gener. Weczej do cofnięcia się w drugą paralelę; Komorne, forteca 1-go rzędu, znana ze swéj niedostępności, z załogą 18-to tysięczną wyborowego żołnierza, zaprowidowana na półtora roku, poddaje się bez wystrzału.

Rukawina w kilka dni po odsieczy umiera z wycieńczenia, lecz nie chce opuścić pobojowiska i pozostałych przy życiu żołnierzy, którzy także w połowie giną w szpitalach; Klapce tak pilno wynieść się z Komorna, że po odbyciu krótkiéj ceremonii układów, ulatnia się, zapominając, że oddaje nieprzyjacielowi ostatni skład zapasów i ostatnie schronienie sztandaru niepodległości, zapomina o towarzyszach broni, których trochę wytrwałości i uporu z jego strony mogło ocalić.

To téż we dwa dni po kapitulacyi, dziewięć jeneralskich szubienic ozdobiło glasis Aradu. Nic gorszego nie zrobił Gergej, chociaż położenie jego było o wiele trudniejsze.

O Rukawinie mało kto już pamięta, Gergej ogłoszony został zdrajcą, Klapka zaś jest ulubieńcem narodu.

Opinia często miéwa podobne kaprysy, a i historya do czasu regestrować i uwzględniać je lubi.

A kto zaręczy, czy szubienice i egzekucye Aradzkie nie wpłynęły na zaciśnienie przymusowego węzła łączącego obecnie Węgry z Austryą, tak jak wypadki 46-go roku muszą coś ważyć w usposobieniu Galicyi, stojącéj i bądź co bądź chcącéj stać przy tronie?

Podobne przypuszczenie wygląda na paradoks, jednakże ktokolwiek zna wschód, nie zaprzeczy, że dopóki hatiszeryf Giulhański nie złagodził procedury urzędów tureckich, dopóki akt woli lub nieukontentowania Padiszy objawiał się pod postacią pala, stryczka lub worka, dopóty urok władzy jego stał wysoko, osobistość obudzała zapał i poświęcenie.

Po tanzimacie sułtan nie przestał być głową wiernych, lecz nie jest już tym jedynym motorem, którego tchnienie wywoływało szeregi czynów, przestał być uosobieniem wszechmocy islamu i świadomości jego przeznaczeń, a muzułmanów serca zaczęły stygnąć i głowy powątpiewać, bo dobrze mówi pismo dla tamecznego świata stworzone, „że początkiem mądrości jest bojaźń boża."

Odbiegłem jednak od mego przedmiotu.

Po dwudniowym pobycie w Lugosz rozeszła się wiadomość o złożeniu broni przez korpus Gergeja, i dochodziły słuchy o szybkiém zbliżaniu się od Siedmiogrodu wojsk generała Lidersa.

Uniesiony z placu Temeswarskiego boju i policzony za zabitego generał Bem nadspodziewanie zaczął do sił powracać tak, że czwartego dnia po otrzymanéj ranie, zebrawszy niedobitki węgierskie, już mógł z nimi w powozie naprzód wyruszyć.

Szczególna była to osobistość: wątły, bezkrwisty, zestrzelany jak rzeszoto, przechował on jedną tylko namiętność wojny, lubił ją dla niéj saméj i po za nią nie widział dla siebie innego pola działania.

Fizycznie prawie niedołężny, bo rzadko bez pomocy zdolny dosiąść konia, do zadziwienia znosił trudy wojenne, nie skarżąc się nigdy na brak sił i zdrowia, a z czternastu jego ran dwie dolegały mu tylko, i to obie ręką polską zadane.

Pierwszą otrzymał przy wsiadaniu na okręt w Bordeaux, zkąd z kilkunastu towarzyszami odpływał do Portugalii, wciągnięty niepotrzebnie w sprawę Donny Maryi przeciw stryjowi jéj Don Miguelowi. Kula trafiła w ostatnią pięciofrankówkę jaką posiadał w kieszonce od kamizelki, i wbiła mu ją pomiędzy żebra. Drugi postrzał w głowę, który zrysował czaszkę, dostał w Peszcie od dzieciaka legionisty, przekonanego w dobréj wierze, że strzela do zdrajcy.

Bem bowiem usilnie odradzał rządowi węgierskiemu formowania legionów, raz, że je uważał za niewłaściwe w chwili, gdy cała południowa Słowiańszczyzna stała w przeciwnym obozie; powtóre, że sama ich nazwa szkodliwie drażnić mogła potężnych sąsiadów. Nie wierzył, by legion urosł w taką liczbę, żeby tworzył samodzielną poważną siłę, a uważał za korzystniejsze wstępowanie pojedyncze Polaków w szeregi węgierskie, gdzieby prędzéj wyrabiali się na żołnierzy.

Takie zapatrywanie w pewnych kołach poczytywano za zdradę, za odstępstwo idei narodowéj, za objaw nienawiści względem osób, które ją podnosiły.

Tymczasem w sercu Bema nie było miejsca dla nienawiści. W ogniu agitacyi emigracyjnéj zwęglił się jego gwałtowny tempera-

ment, stopniała na żużel gorączka czynu i zbytnia pewność siebie, pozostało tylko przeświadczenie o przeznaczonéj mu wielkiéj misyi dziejowéj.

Lecz nie przybierał on nigdy postawy archanioła mściciela lub natchnionego proroka, przeciwnie ukrywał głęboko to poczucie, i tylko w rzadkich chwilach podrażnienia lub wylania, pewna jego część przebijała się na zewnątrz.

Kto by patrzał na ten stos popiołu, pokryty pargaminową maską, z trudnością mógł by przypuścić, że tam tleje jeszcze jaka iskierka; wpośród bowiem najbardziéj wzruszających epizodów wojny nie można było dostrzedz w jenerale ani zapału, ani zwątpienia. Lecz łatwość decyzyi, upór w przeprowadzeniu postanowienia raz powziętego zdradzał człowieka o rogatéj duszy. Jego spokój, przybierający nieraz pozór obojętności, najbardziéj téż imponował potém Turkom, którzy żywość w słowie i ruchach uważają za brak godności i siły.

Oczywistość położenia naszego stawała sią tak jawną, że wyjąwszy Bema, który dla miłości sztuki ze zbieraniną różnych broni ku Siedmiogrodowi wyruszył, nikomu nie przychodziła na myśl możność oporu. Zaczęto więc myśléć o ocaleniu własnéj skóry, co polegało na jaknajprędszém dostaniu się nad Dunaj, nieobsadzony dotąd przez nieprzyjaciela. Lecz po jego drugiéj stronie, Serbowie wcale przyjaźnie usposobieni dla nas nie byli, tysiące ich walczyło przeciw Węgrom w szeregach Stratimirowicza i pod Kniczaninem, a całe księstwo wrzało jeszcze zapałem wojennym. Ale z Polakami nie spotykali się oni na placu boju, nienawiści do nich nie mieli. co więcéj, nic prawie nie wiedzieli o nich; to też z łatwością udało się generałowi Władysławowi Zamojskiemu skłonić księcia Aleksandra Karageorgewicza do otworzenia nam bezpiecznego przez Serbję przejścia.

To bierne jednak usposobienie względem nas nie stosowało się wcale do Węgrów. Po lewéj stronie Dunaju jeszcze dymiły zgliszcza siedzib słowiańskich, w Belgradzie nie mogli tak prędko zapomnieć jak Kossut szukał na mapie Kroacyi, Banatu, Baczki, Wojewodyny i nigdzie znaleść ich nie mógł, bo wszędzie znajdował tylko dziedziczne posiadłości korony ś-go Stefana. W twardych mózgownicach Serbów, jeszcze rozkołysanych wspomnieniami wojny o niepodległość, w żaden sposób pomieścić się nie mogło, że walka o samodzielność narodową Węgier pociąga za sobą polityczną konieczność wtłoczenia plemienia serbskiego w łożysko węgierskiego potoku, że Madziar nie może się czuć wolnym i bezpiecznym tak długo, dopóki nie ujarzmi serbskiego ducha, nie skrępuje go więzami swej politycznej i admi-

nistracyjnéj organizacyi, zacząwszy od wice-geszpana do solda-biro. Długo wybuchali z oburzenia, nie mogąc pojąć indyczéj nienawiści Węgrów na widok sztandaru ze żmiją Duszana lub krzyżem św. Sawy,—aż nareszcie zrozumieli, że na tym pasie ziemi zdobytym przez hordy Arpada, do czasu nowéj dziejowéj ewolucyi, niema miejsca dla dwóch narodów, dwóch idei, że tu muszą być tylko panowie i słudzy, panowie buńczuczni i dumni, słudzy cisi i pokorni, którym w zamian za te przymioty płaci się pogardliwą cierpliwością i opieką.

Do zrozumienia jednak téj prawdy potrzeba było blisko czterech dziesiątków lat, szeregu politycznych niespodzianek i powikłań, zajęcia Bośni i Hercegowiny i nakoniec stworzenia wypchanego króla, który za papierową koronę wprzągł się do austro-węgierskiego wozu.

W czasie jednak, o którym mowa, było inaczéj.

Stary Ilija Garaszanin, predstawnik książęcy, trzymał wysoko sztandar narodowy, a chociaż jako typowy Serb brzydził się Szwabem, bardziéj jednak obawiał się Węgrów, wiedząc, że niebezpieczeństwo z téj zagraża strony. Dał on do zrozumienia Zamojskiemu, że chociaż Serbia nie splami się niegodnym czynem, zamykając drogę ratunku zwyciężonym, wolał jednak, żeby wybitniejsze osobistości madziarskie inną obrały drogę, którą wskazał i ułatwić przyrzekł.

Tak téż się i stało: Polacy, Włosi, Niemcy i nieliczni żołnierze węgierscy, pociągnęli z Lugosz przez Karanszebes i Mehadię do Orsowy, a ztamtąd do Serbii, Kossut zaś z otoczeniem i starszyzną wojskową posunął się o mil parę w dół Dunaju do samej granicy wołoskiéj. Z tego punktu widać już minarety Widyna, i w tém też miejscu z rozkazu Garaszanina przygotowano środki przeprawy,

Kossut opuszczając ziemię ojczystą, wydał manifest do narodu (nie znam piękniejszego utworu poetycznego) i napisał list do wielkorządcy Widyna, muszyra Saida-paszy, uprzedzający o rychłém swém przybyciu. Końcowy ustęp listu zawierał zwrot następujący: „Jutro wraz z towarzyszami postawię me stopy nie na ziemi wygnania, lecz przyjaznego przytułku, z tém przekonaniem, że gościnne państwo, które nie odmówiło opieki Rakoczemu i Karolowi XII, nie odmówi jej i mnie“ i t. d.

Kupiec, Grek rodem, bawiący za interesami w Orsowie, wysłany został z listem, i po przybyciu do Widyna doręczył go kijai czyli sekretarzowi paszy, uprzedzając zkąd pochodzi.

Ten obejrzał uważnie kopertę, znalazł ją nieprzyzwoitą, gdyż nie była obwinięta w jedwabną materyą i przewiązana złotą nitką, przyglądał się adresowi, którego nie rozumiał, poczém złożywszy list

na poduszce, wsunął się do salamliku, gdzie na niskiéj sofie pasza kief odprawiał.

— Co jest a czego niema? — odezwał się muszyr pasza, spostrzegłszy trzymającego list kijaje?

— Paszo efendym—odrzekł ten — jakiś giaur przyniósł oto to pismo z Magiar-Orsaku i powiada, że je otrzymał z rąk samego madyarskiego sadrazama, jeżeli pies nie kłamie, to ma ono być złożone u stóp waszéj światłości. — Ale — dodał, podnosząc kopertę— nie wygląda to na papier od sadrazama.

— Aferym! — wykrzyknął z pewném ożywieniem pasza—dawno spodziewam się ztamtąd gości, otwórz i czytaj list, to się dowiem do kogo i przez kogo pisany.

— Kiedy, przypadam do stóp twoich paszo, to pismo giaurskie, którego prawowierne usta czytać nie mogą; lecz jeżeli rozkaże wasza światłość, to poślę po konsulosa Beczkiego krala (to jest wiedeńskiego króla, tytuł w stosunkach nieurzędowych nadawany cesarzowi austryackiemu), a on umié czytać wszystkie pisma niewiernych.

— Ty zjadliwy skorpionie, co ryczysz jak osioł — odrzekł po chwili milczenia Said przytłumionym głosem — powiédz łotrze, ile kies obiecał ci twój parszywy konsul za taką radę, na moją brodę przyrzekam ci sto razy tyle kijów. Gdzie ten człowiek, co list przyniósł, zamknąć go natychmiast do lochu, a w téj chwili posłać kawasa po Dzewrail efendego.

Ten Dzewrail efendy był to monsieur Gabriel, Lewantyn, sprawujący obowiązki wice-konsula francuskiego. Rzadko zdarzał mu się honor być dopuszczonym przed oblicze samego paszy, to téż zawezwany wprost do osoby muszyra, zdziwił się bardzo, gdy wszedłszy do salamliku, ujrzał Saida uśmiechniętego, który wskazawszy na sofę rzekł:—„Otur efendym“ (usiądź pan)—i przesłał mu pozdrowienie.

Ponowiwszy ceremonią ukłonów, pasza zapytał efendego, zkąd jest rodem, a gdy ten odpowiedział, że jest Smirniotą i że chociaż cieszy się opieką Francyi, przedstawiając jéj interesa, uważa się zawsze za niewolnika sułtana; pasza z zadowolnieniem wyrzekł: „Pek ala“ (bardzo dobrze).

— W takim razie przeczytaj efendym to pismo — rzekł, wskazując na leżący na poduszce list Kossuta — a jakeś sprawiedliwy człowiek i jak dbasz o łaskę Padiszy, przetłómacz go bez zmian i dodatków.

Czynność tłómacza na wschodzie przedstawia niemałe trudności. Ceremonialny ton dykcyi, jéj ornamentacya, przenośnie i po-

równania zostawiają daleko po za sobą najniedorzeczniejsze jezuickie panegiryki XVII wieku, a tą właściwością odznacza się szczególniéj styl turecki. Gdyby dosłownie przetłómaczyć na jakiekolwiek narzecze europejskie fragment opisowy, dyalog, a szczególniéj list turecki, niepodobną by doszukać się w nim sensu, tak myśl sama zaplątaną jest w siatkę ozdób, omówień i przesadnych grzeczności. Lecz gdy przeciwnie z języka europejskiego przyjdzie przekładać na turecki, trudności zwiększają się, gdyż przy dosłownéni tłómaczeniu list z najwykwintniejszą napisany grzecznością wyda się uszom muzułmańskim nieprzyzwoitym i grubiańskim. Do pokonania tych trudności oprócz dokładnéj znajomości ducha języków potrzeba jeszcze zdolności osobnéj, to téż posiadający takową dochodzą na wschodzie do wysokich stanowisk.

Dzewrail efendy nim został wice-konsulem, był uprzednio dragomanem konsulatu francuskiego i znał wybornie język turecki, że zaś list Kossuta pisany był po francusku, przetłómaczył go z zupełną łatwością.

Kiedy doszedł do miejsca, że Turcya nie odmówiła gościnności Rakoczemu i Karolowi XII, Said pasza zatrzymał go zapytaniem :

— Więc to się już stało?

— Tak paszo efendym, widocznie stać się musiało, inaczéj bowiem madyarski sadrazam nie powoływał by się na ten precedens.

Czy wice-konsul wiedział co o Rakoczym i Karolu XII rzecz bardzo wątpliwa, a gdyby nawet tak było, nigdy bez wyraźnego rozkazu paszy nie wdałby się w objaśnienia, gdyż temu sprzeciwia się etykieta turecka.

— Bardzo a bardzo dziękuję ci efendym — rzekł Said, gdy tłómaczenie zostało skończone — zapisz mi tu na osobnym papierze nazwiska tych dwóch musafirów, co już przybyli, a teraz idź do domu, pamiętaj, że oprócz nas dwóch, nikt nie wié, co w liście było, i bądź gotów gdy cię zawezwę do wyświadczenia mi ponownéj przysługi.

Ledwie wyszedł Dzewrail efendy, Said pasza nie mogąc dłużéj tłumić wybuchu, rzucił cybuch na ziemię, rozlał tas z sorbetem, klasnął w ręce, złapał za dzwonek i jednocześnie wykrzyknął: „dzanabetlary!“ (gałgany).

— Terszan czausz — zawołał, a w téj chwili ukazała się z po za firanki, zasłaniającéj boczne drzwi, sążnista postać zbrojnego Arnauty, przybocznego stróża osoby paszy i jednocześnie z tuzin głów: czybukdżych, kafedżych i tasdżych.

— Na mnie patrz (bona bok) — rzekł pasza do Terszana, — kijaję wsadź do absu w podwójną kłodę, i dawaj mi tu zaraz kajma-

kana (komendant twierdzy) i kawas-agę (naczelnik policyi), tylko prędko. Rozumiesz?

Kajmakan w téj chwili wjeżdżał do konaku, więc nie trzeba go było szukać.

Niewielki, okrągły, z oczyma zaspanemi, widocznie śpieszył się bardzo, gdyż po wejściu na drugie piętro, nie spoczął przez jakie pół godziny, jak to zwykle było, w pokoju dywân-efendego, lecz podążył wprost do paszy.

Ten spostrzegłszy go wchodzącego, z pozorną dobrodusznością zapytał:

— Cóż kajmakan beju, spałeś dobrze? powiédz, co téż ci się śniło, ja umiem sny tłómaczyć; czy nie śniłeś czasem o parze gołębi, co przyleciała z za Dunaju, może przypomnisz sobie, gdzie one usiadły.

Kajmakan zrozumiał doniosłość aluzyi, odrzekł żatém z niezwykłą pewnością siebie:

— Muszyr paszo, gdyby nietylko dwa gołębie, lecz dwie muchy przyleciały z tamtéj strony, to byłyby już w méj sieci, tylko przed chwilą przyszedł znowu wampór (parowy statek), a od dwóch dni to już trzeci, i tak jak tamte stoi ciągle pod parą.

— Twoje sieci — rzekł pasza — widocznie z pajęczyny, może muchy by w nich uwięzły, lecz gołębie przebiły je i gnieżdżą się gdzieś tu między nami, na pośmiewisko mojéj siwéj brodzie. Dobrze słuchaj beju, co ci powiem: dwóch gości przybyło wczora z tamtéj strony, nazywają się tak — i rzucił mu karteczkę z wypisanemi przez Dzewraila nazwiskami — a ja zamiast od ciebie, dowiaduje się o tém inną drogą. Słuchaj więc, jeżeli do wieczora ci goście nie będą oto tutaj — i wskazał miejsce obok siebie — ty beju pojedziesz na kajmakana do Dżedy (miejsce wygnania w owych czasach), jeżeli przed wyjazdem lub w drodze nie spotka cię jaki wypadek. Czy dobrze zrozumiałeś mnie, beju? A teraz nie czas na próżną gadaninę, ruszaj i obsadź agencyą parowców tak, żeby do niéj i z niéj nikt bez twéj wiadomości nie wytknął głowy. Zawiadom konsula i agenta, żeby bez osobnego mego pozwolenia żaden statek nie poważył się wypływać na rzekę, bo w takim razie każę go na dno Dunaju posadzić, topczy paszy niechaj skieruje ile może dział na wychód z przystani, a gdyby który wampór z niéj się wysunął, niech doń pali jak do niemieckiéj pierzyny. Dwie szalupy z askierem (z żołnierzami) niechaj krążą dzień i noc po rzece, a gdy postrzegą od tamtéj strony zbliżającą się jedną lub kilka łodzi, strzedz ich mają jak oka, doprowadzić do brzegu i wysadzić nie w przystani, lecz w starym porcie.—Co kwadrans zawiadomić o tém, co zajdzie.

Jeszcze nie miał czasu wysapać się Said, gdy Terszan czausz wprowadził, popychając przed sobą, człowieka o wystraszonym obliczu.

— Kijaja, jak powiedziałeś paszo, siedzi już w kłodzie, a oto i kawas-aga, którego znalazłem w rybackiéj mahali jak wybierał najlepsze ryby.

— A, on lubi ryby, ten psi syn—rzekł Said—jutro postaram się pokumać go z niemi, dawszy mu pierwéj sto kijów, by skruszał jeżeli do tego czasu nie obwiesi się sam, ten łajdak, i nie zaoszczędzi mi w ten sposób worka. Nie mam czasu na rozmowę z tobą, ty paskudny wieprzu; przed kilkoma dniami uczyłem cię sam obowiązku twego, a ty giaurska duszo, zamiast słuchać jak trawa rośnie, patrzéć zkąd wiatr wieje, wpuszczasz mi tu obcych ludzi, jak do cygańskiéj mahali. Jeżeli do zachodu słońca nie wynajdziesz dwóch muchafisów (gości) madiarskich, i to słyszysz: Rakoczego i Karola XII-go, to na Ałłacha, powiédz sobie, że już ostatni wypaliłeś cybuch. Syktyr! (poszedł precz).

Słów Saida paszy nie należy uważać za próżne pogróżki, bo chociaż opowiadanie nasze przypada w dziesięć lat po tanzimacie, jednakże stosowanie jego do czasów wojny Krymskiéj, zależało po prowincyach od usposobień wielkorządców, zaś muszyr Said pasza nie należał wcale do liberalnych, a nadto w wilajecie widyńskim żyły jeszcze tradycye Pazwana-Ohłu.

Kawas-aga wypadłszy z konaku, nie tracił czasu, lecz zgromadziwszy co mógł zaptijów, służby celnéj i zawsze gotowych ochotników z ulicy, wziął się do poszukiwania.

Wówczas nastąpiła jedna z najzabawniejszych scen, jaką spotkać można było na europejskim kontynencie.

Obsaczano całe działy miasta i ulice, przetrząsano domy, zaglądano nawet do nietykalnych haremów, wypytując wszystkich o Rakoczego i Karola XII-go; następnie zaczęto posuwać skrupulatność rewizyi do rozbijania kufrów, wyrzucania na ulicę sprzętów, przyczém nie obeszło się bez wymyślań i razów, słowem, rozpoczęła się jedna z tych niewinnych razzyi, jaką od czasu do czasu mieli dawniéj zwyczaj urządzać Turcy, dla trzymania rai w zbawiennym postrachu.

I trwało by to nie wiem jak długo, gdyby na podwórze konaku nie wpadło kilka spienionych koni, niosących tatara (kuryera) dwóch surudzych (pocztylionów) i jakiegoś podróżnego.

Przybywający turecką pocztą był Jusuf Bej, dragoman przysłany w przewidywaniu zajść mogących wypadków przez Portę na rozporządzenie Saida paszy.

Jusuf rodem był z Krymu, wychowany w jednym z korpusów rosyjskich, lecz przez szczególny zbieg okoliczności, znalazł się na usługach rządu tureckiego. Wiedział on o Rakoczym i Karolu XII, to też po przeczytaniu listu Kossuta i krótkiéj rozmowie, zdołał uspokoić paszę zaręczeniem, że zacytowane nazwiska wkradły się do listu z powodu złego przyzwyczajenia, jakie mają wogóle frenki (mieszkańcy zachodu) tak w rozmowie jak w piśmie, mieszania teraźniejszości z przeszłością.

Saida paszę tłómaczenie to zdawało się zadawalniać, bo poszukiwania zaprzestać kazał, czuł się jednak skompromitowanym i zachował zły humor aż do czasu przybycia madziarskich gości, których przyjął z całym wschodnim ceremoniałem i gościnnością.

Minęło lat kilkanaście, wybierałem się na długi pobyt do Diarbekiru, a opuszczając Konstantynopol, miałem obowiązek pożegnania staruszka kazaskiera, który mi dawał dowody wielkiéj życzliwości. Było to w Ramazanie, kiedy Turcy lubią spędzać na pogadance całe noce, by łatwiéj potém przespać całodzienny uciążliwy post. Wchodząc do salamliku kazaskiera, minąłem się z wychodzącym mężczyzną lat czterdziestu i trafiłem na toczącą się o nim rozmowę, z któréj dowiedziałem się, że jest to Dzemil-bej, syn zmarłego Saida paszy. Z téj okoliczności opowiedziałem znaną nam już przygodę widyńską, co wywołało powszechną wesołość. Siedzący obok kazaskira stary Mussa pasza śmiał się razem z nami, potém zwróciwszy się do mnie rzekł:

— Ależ musieliście się nażartować do woli z janiczarskiego dygnitarza, co nie znał historyi własnego kraju; lecz niech zaświadczy nasz gospodarz—i wskazał na kazaskiera—że gdyby nie wielu podobnych Saidowi nieuków, dużo waszych głów padło by pod nogi zwycięskiego cesarza. W owym czasie oba z kazaskier-efendym zasiadaliśmy w dywanie, niech ci on powie: kto głos podniósł w obronie osób waszych, a czci naszéj, czy ci młodzi efendowie, wychowani ała franka, co wycierają przedpokoje ambasad i uczą się patryotyzmu z Hammera i Ubiciniego, czy też ta pozostała garstka sług Selima i Machmudy, która wie tyle tylko, że gdy nie można tak żyć jak każe islam, to lepiéj ginąć.

Gdy seraskier ostrzegał Saida paszę, by zachowywał wielką ostrożność, albowiem wojujące mocarstwa domagają się niewpuszczania wychodźców lub w przeciwnym razie wydania ich, a Porta w téj chwili nie posiada dostatecznych sił do obrony;—bo chociaż on nie wiedział o Rakoczym i Karolu, dał jednak odpowiedź: że cho-

ciażby środki, jakiemi rozporządza, były o połowę mniejsze, wystarczą mu one do spełnienia powinności muzułmanina i stróża granic państwa.

I bodaj, czy nie ta jego odpowiedź dała nam pierwszą otuchę i rozbudziła poczucie obowiązku.

Pamiętamy wszyscy wystąpienie Mechmed - Alego kapudan-paszy, oby mu wiecznie smakował sorbet w dolinie roskoszy, bo to głos jego ocalił państwo od największej hańby, jaka kiedykolwiek spotkać je mogła.

— Znam ja równie dobre słowo Saida" — rzekł kazaskier — chociaż w innym rodzaju. Było to bardzo dawno, chciałbym nie pamiętać kiedy; lecz zapomnieć nie mogę, bo niech mi odpuści Ałłah, podpisałem fetwę, wymazującą janiczarów z liczby żyjących. Co się stać miało, już się stało na placu Aja-Sofia i Bim-Bir-Direk, gdy sułtan posłał Saida, żeby skończyć z janiczarami na At-mejdanie.

Robota była ciężka i długa, bo jak wiecie, nie miało być ani rannych, ani jeńców i Said dopiero drugiego dnia w nocy mógł stanąć z raportem w pałacu.

Gdy go sułtan zapytał, czy już po wszystkiém,—„nie"—odrzekł, „najgorszych dwóch zostało"—„gdzie, jacy"? wykrzyknął Mahmud, —„ja i ty, panie", mruknął Said.

Padisza machnął ręką, po chwili zaś dodał: „co chcesz, niewszystko w mojéj mocy; z temi dwoma Ałłah prędko poradzi sobie".

Gdyby Said widział naszą dzisiejszą gospodarkę—wtrącił znajomy mi Tefferdar—nie wiem, co by powiedział, lecz zapewne coś podobnego, do tego co z ust jego słyszałem przed laty.

W czasie zajęcia Syryi zostałem naznaczony na wekila mutesaryfa (pomocnika gubernatora) w Bejrucie, i poszedłem po ostatnie instrukcye do konaku Mehmeda-Ruszti, gdzie zastałem liczne towarzystwo, a między innemi Saida i Fuat-paszę.

Rozmowa toczyła się o okupacyi francuskiéj i jéj skutkach uważanych ogólnie za zgubniejsze dla naszéj władzy w tamtych stronach od następstw wojny Krymskiéj.

Fuat gorąco i wymownie bronił swéj polityki, przekładając, że Turcya wszedłszy raz do składu mocarstw europejskich, nie może pozostać dawnym państwem Osmanów, że jéj stosunek do zachodu zupełnie się zmienił, że musi ona uwzględniać interesa swych sprzymierzeńców, przyczém zaczął się uskarżać, że jego widzenie rzeczy, na oczywistych faktach oparte, nie znajduje uznania i poparcia najpoważniejszych sług Porty i dywanu.

— Tak masz racyę, paszo",—przerwał Said—wiele się zmieniło, pojęcia, stosunki a przedewszystkim ludzie.

Za czasów nie tak dawnych Mahmudy, jedna część tych obelg, jakie wyrządza nam Napoleon, depcząc ziemię kalifów, tracąc naszych jenerałów, poniewierając władzę sułtana, wystarczyła by do wyskoczenia mieczów z pochew, a dzisiaj to się nazywa uwzględnieniem interesów sprzymierzeńców.

Jeżeli masz więcéj takich przyjaciół, co nam z przyjaźni buntują arabskich giaurów (maronitów), zaglądają do portów i rozkazują rządzić się tak a nie inaczéj, a pragniesz mojéj rady, to ci ją dam.

Oto spiesz jak najprędzéj na północ, a stanąwszy przed naszym starym, wiernym, otwartym wrogiem, powiedz mu:

— „Nieprzyjacielu, silny jesteś z woli Ałłaha, a komu on daje siłę od tego wymaga rachunku.

„Ratuj nas od przyjaciół, bo skonamy w ich uściskach, nie śmiercią wyznawcy islamu ginącego na polu chwały, lecz nikczemnym zgonem nałożnicy, a udziałem naszym będzie śmiech, litość i pogarda.“

Gdyby z wysokości siódmego nieba mogły być słyszane słowa Saida, cóż by powiedział dziś po zajęciu Cypru, Bośni i Tunisu?





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

L. H. Morgan. Społeczeństwo pierwotne czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi. Warszawa, 1887.

„Społeczeństwo pierwotne“ jest rezultatem przeszło czterdziestoletnich badań nad społecznym bytem czerwonoskórych północnéj Ameryki. Najgłówniejsze wnioski dzieła oparte są na osobistych spostrzeżeniach i poszukiwaniach autora i stanowią jedynie streszczenie zebranego przezeń materyału faktycznego. Dzięki temu, jedną z cech najgłówniejszych téj książki to zupełna świeżość dowodów i faktów i w ciągu dalszym odsłonięcie przed nauką społeczną nowych widnokręgów, o których istnieniu przedtém nie domyślano się nawet. Krom tego Morganowi należy się zasługa zaprowadzenia po raz pierwszy jakiegoś ładu w chaotycznie nagromadzanym dotychczas materyale etnologicznym.

Uczony amerykański wychodzi z założenia o ciągłości postępu ludzkiego. Dokonywał się on nie równocześnie na wszystkich punktach globu ziemskiego, lubo wszędzie przechodzi te same kolejne fazy, tylko że jedne szczepy kroczyły prędzéj, inne wolniéj. Wskutek tego napotykamy obecnie ludy na najrozmaitszych szczeblach rozwoju. Dla ich uszeregowania z punktu dokonanego postępu, ani dotychczasowa socyologia, ani etnologia nie posiadały nici przewodniéj, i takie nieokreślone wyrażenia, jak „rasa mniéj“ lub „więcéj rozwinięta“, zastępowały wszelką klasyfikacyą. Zbywało na skali do rozmieszczenia ludów według stopnia osiągniętego uspołecznienia; zresztą nie mogło być inaczéj dla braku wejrzenia w istotną naturę społeczeństwa pierwotnego. Morgan, dzięki zgłębieniu ustroju pierwotnego, uczynił pierwszą próbę usunięcia podobnych ogólnikowych rozmieszczeń, podając kryteryum, które zachowa swą

wartość, dopóki znaczne zwiększenie materyału faktycznego nie zażąda rozszerzenia. „Podobnie do idących po sobie pokładów geologicznych można uszeregować plemiona ludzkości według ich stanów odnośnych w uwarstwienia kolejne. W takiém ustawieniu przedstawiają one z niejakim stopniem pewności przebieg cały postępu ludzkiego od dzikości aż do cywilizacyi.“ Ogół znanych rozpatrywanéj grupie narzędzi, sposoby zaopatrywania się w pokarm i stopień zapanowania nad przyrodą, formy własności, rozwój stosunków małżeńskich i rodzinnych i postęp w rządzie, oto drogowskazy, podług których wyznacza on swą klasyfikacyą. Otrzymujemy trzy okresy: dzikości, barbarzyństwa i cywilizacyi, rozpadające się każdy również na trzy pod-okresy: niższy, średni i wyższy. Za dzikości człowiek żywi się tém, co mu daje przyroda: owocami, rybami, zwierzyną. Zastosowanie ognia i wynalazek łuku dzielą ten okres na trzy poddziały; ani jedna grupa ludzkości nie znajduje się obecnie w najniższym stanie, nawet Australijczycy są już w średnim. Barbarzyństwo poczyna się z sztuką garncarską, przechodzi w stan średni z hodowlą bydła i kulturą roślin, w wyższy—z umiejętnością topienia rudy żelaznéj, wreszcie zradza cywilizacyą z odkryciem alfabetu dźwiękowego i zastosowaniem go do zapisywania utworów literackich. Każdy okres i nawet pod-okres posiada właściwe sobie narzędzia pracy, oręż walki, sposoby produkcyi, charakterystyczne sposoby budowania domów i osad, wreszcie pewnego układu rząd, rodzinę i własność. W „Społeczeństwie pierwotném“ Morgan kładzie główny nacisk na ewolucyą rządu i rodziny i tylko nawiasowo potrąca o własność i związane z nią formy dziedziczenia. Co do każdego z tych pytań, lecz zwłaszcza względem rodziny i rządu, książka ta zwiastuje zgoła nowe widnokręgi. Zaczniemy od pierwszéj instytucyi. Socyologia oddawna już doszła do wniosku, że rodzina monogamiczna powstała w czasach względnie późniejszych, lecz nauka ta nie posiadała klucza do odcyfrowania jéj poprzedniczek; obracała się też w ogólnikowych nazwach „heteryzmu“, „wielomęstwa“, „wielożeństwa“, bez określania zawartości i granic tych kategoryi. Dopiéro nasz amerykanin, pierwszy przelał nieco światła na kolejne fazy, przez które przebiegała rodzina w swym historycznym rozwoju, — dzięki nagromadzeniu odpowiedniego materyału faktycznego w swych tablicach pokrewieństwa i powinowactwa, znajdujących się w ścisłym związku z instytucyą rodzinną. „Systemy pokrewieństwa i rozmaite formy rodziny zostają w zawisłości bezpośredniéj. Rodzina przedstawia pierwiastek czynny. Nigdy nie stoi nieruchoma, lecz postępuje z formy niższéj do wyższéj, w miarę postępu społecznego z niższego do wyższego stanu, a nakoniec

przechodzi z formy jednéj w drugą—stopnia wyższego. Systemy pokrewieństwa przeciwnie zachowują się biernie, gromadząc na stronie postęp dokonany przez rodzinę w długich odstępach czasu i zmieniają się radykalnie tylko wtedy, gdy i rodzina przekształciła się z gruntu.“ System pokrewieństwa odzwierciedla w sobie najzupełniéj stosunki panujące w rodzinie, która go wyłoniła; ponieważ zaś trwa jeszcze długo po zejściu tejże, przekształcając się zwolna pod wpływem nowonastałéj, daje doskonałe świadectwo o poprzednio istniejących postaciach stosunków rodzinnych. Wyjaśnimy to na przykładzie. U Irokezów Morgan znalazł rodzinę parzystą; kogo tu należy uważać za ojca, brata, syna i t. d., nie może być wątpliwości. Jednakże system pokrewieństwa jakby o tém nie wiedział. Irokez nie tylko o swych synach i córkach, lecz i o potomstwie braci mówi jako o własnych dzieciach, te zaś go uważają za ojca; natomiast potomstwo sióstr nazywa on siostrzeńcami i siostrzenicami i jest dla nich wujem; dzieci braci uchodzą za rodzeństwo, dzieci zaś brata i siostry — za krewniaków tylko. Nazwy te nie są bynajmniéj rzeczą konwencyonalną, ani nie wynikają z ubóstwa mowy. Jak więc wytłómaczyć taki dziwny stan rzeczy, przeczący formie rodziny, lecz istniejący przecież u wszystkich czerwonoskórych oraz u ludów drawidyjskich Indyi Przedgangesowych? Wyjaśnienie znaleziono u Hawajczyków. Jeszcze w pierwszéj połowie obecnego stulecia istniała u nich rodzina, dostarczająca akurat takich ojców, braci, synów i t. d., jak żąda tego system irokeski. Mianowicie, żona każdego brata była zarazem żoną wszystkich jego braci, tak, iż grupie braci odpowiadała zawsze grupa wspólnych żon. Oczywiście, kto był ojcem dziecka, trudno tu powiedzieć; ztąd wypływał naturalnie ten stan rzeczy, że każdy z braci uważał się i był uważany za ojca zrodzonych w takim zbiorowym związku dzieci. Taka rodzina, swoista musiała istnieć niegdyś u Irokezów, lecz z czasem ustąpiła miejsca innéj, parzystéj; jedynie dochował się dawny system pokrewieństwa, który nie zdążył się jeszcze przystosować do nowych stosunków. Teraz, gdy znamy zachowanie się tych systemów w rozwoju rodziny i znaczenie ich dla odcyfrowania jéj form ubiegłych, zrozumimy, w jaki sposób na zasadzie takich świadectw można było odsłonić przeszłość omawianéj instytucyi. Socyolog amerykański znalazł, że rodzina, w dotychczasowym swym przebiegu, rozwijała się, przechodząc przez następujące formy: *kazirodczą*, polegającą na bezładném obcowaniu małżeńskiém pomiędzy braćmi i siostrami, rodzonemi i pobocznemi, — w tym stanie każda siostra była z obowiązku żoną wszystkich swych braci, a brat każdy—mężem swych sióstr; *swoistą*, zasadzającą się na wykluczeniu od obco-

wania sióstr i braci, ale związki małżeńskie wciąż jeszcze obejmują całą grupę osób, wszyscy bowiem bracia posiadają wspólnie swe żony, a wszystkie siostry—mężów; *parzystą*, w któréj jeden mężczyzna łączy się tylko z jedną kobiétą, lecz związek może zostać w każdéj chwili stargany, zarówno przez każdą stronę, a nowy — zawartym; wreszcie *monogamiczną* — związek nierozerwalny dwu płci, oparty na zwierzchnictwie mężczyzny i podległości kobiéty. Co zaś do tyle osławionéj rodziny *poligamicznéj*, zajmuje ona stosunkowo bardzo skromne stanowisko i w rozwoju instytucyi rodzinnéj odgrywa niepokaźną rolę. Z pośród tych form kazirodcza już nie istnieje i pozostawiła po sobie świadectwo jedynie u wyspiarzy oceanu Spokojnego w tamtejszych systemach pokrewieństwa; według wszelkiego prawdopodobieństwa, poprzedził ją jeszcze pierwotniejszy układ obcowania małżeńskiego,—zupełny bezład, nieznający różnicy pomiędzy rodzicami i dziećmi. Postęp w rodzinie spoczywał na zwężaniu koła wspólnych małżonków, które poczyna się od pierwiastkowego bezładu, ogarniającego całą hordę, i w końcu dochodzi do ostatecznéj swéj postaci — związku jednego mężczyzny z jedną kobiétą; jednocześnie idzie wykluczanie od związku małżeńskiego naprzód bliższych, potém dalszych krewnych. Morgan składa tę ewolucyą na karb doboru naturalnego. „Wpływ zwyczaju, wprowadzającego w związek małżeński osoby niespokrewnione, musiał pchnąć w sposób godny uwagi społeczeństwo. Dążył do wytworzenia szczepu silniejszego fizycznie i umysłowo. Gdy dwa plemiona postępowe z silnie rozwiniętemi cechami umysłowemi i fizycznemi zostają doprowadzone do zetknięcia i zmieszania, czaszki i mózgi rozszerzają się.“ Temu warunkowi w zupełności już odpowiada rodzina parzysta, dalszy więc jéj rozwój, w monogamiczną, szedł pod wpływem innych, bo społecznéj natury czynników. Co do umiejscowienia różnych form rodziny na skali rozwojowéj, to parzysta zjawia się ku schyłkowi dzikości i ciągnie się aż do brzasków cywilizacyi, swoista zajmuje średni podokres dzikości, a monogamia towarzyszy cywilizacyi. Z rozwojem niższych form rodziny ściśle wiąże się w pierwszych chwilach organizacya plemienna, która, wobec szczupłości spraw, ma tylko jedno na widoku: regulowanie związków małżeńskich przez usunięcie obcowania pomiędzy pewnemi kategoryami osób. Produkcya ludzi, oto co służy za kształtnik społeczeństwa ówczesnego. Tak więc rodzina kazirodcza wyłania podział hordy na *pokolenia* zstępne i wstępne; swoista — na *klasy* oparta na zasadzie płci. Wreszcie z klas, już w początkach wyższego stanu dzikości, wydźwiga się *ród*. Wystawmy sobie potomstwo jednéj kobiéty lub grupy sióstr do nieskończoności, ale

po przez same tylko kobiéty; takim będzie skład rodu. Współrodowców obowiązuje zakaz żenienia się pomiędzy sobą, jest to zadniczą cechą rodu. Taka grupa stanowi najniższą jednostkę społeczeństwa pierwotnego aż do początków cywilizacyi, w której ukazuje się jeszcze w formie szczątkowéj, jako gens, klan, thum. Związki krwi służą jéj oraz wspierającemu się na niéj układowi społecznemu za podstawę; rząd spoczywa tu na osobach i stosunkach osobistych, w odróżnienie od teraźniejszego, opartego na terytoryum, gdzie jednostkę stanowi gmina ujęta w pewne granice terytoryalne. Rodowość przebywała długą ewolucyą; Morgan ukazuje nam ją w niższym stanie barbarzyństwa. Najniższa jednostka, ród, posiada samorząd we wszystkiém, co tyczy się jéj interesów; nad sprawami cywilnemi czuwa przewódca, sprawujący władzę za pomocą środków natury moralnéj, lecz nigdy przymusowéj; zresztą, wobec niezłożoności stosunków, prawo zwyczajowe przewidziało niemal wszystkie starcia i wypadki i określiło zachowanie. W potrzebie wojennéj wybiera się wódz z władzą rozkazywania podczas wyprawy, ale składający ją z nastaniem pokoju. Obaj urzędnicy rodowi wychodzą z wyboru, i ogół może usunąć ich od godności w razie niespełniania obowiązków. Zresztą dla objęcia urzędu potrzebną jest zgoda rady plemiennéj reprezentującéj wszystkie rody. Współrodowcy stanowią jedno solidarne i równoprawne koło, zobowiązaniem do wzajemnéj pomocy i obrony; kto obraża pojedynczego członka, obraża wszystkich a na współtowarzyszach spoczywa poszukiwanie zadosyćuczynienia za krzywdy. Sprawy rozstrzygają się na ogólném zebraniu mężczyzn i kobiét; wszyscy są równi i wolni, kobiéty i mężczyźni, wodzowie i pospólstwo. Zajmowane terytoryum jest wspólne, a prawo użytkowania jednakie dla wszystkich. Kilka rodów składa *bractwo*, jednostkę religijną i bojową; kilka bractw— *plemię*. To ostatnie posiada własne terytoryum, podzielone pomiędzy rody, nazwę i narzecze, prawo potwierdzania i usuwania urzędników pojedynczych rodów, wreszcie radę plemienną, składającą się z przewódców i wodzów rodowych i załatwiającą wspólne sprawy plemienia w obecności całego gminu plemiennego, który uczestniczy z prawem głosu doradczego. Ustrój rodowy w okresie dzikości ogranicza się tylko na takiém plemieniu; na niższym stopniu barbarzyństwa powstaje *federacya* kilku pokrewnych plemion, lecz na zasadach samorządu części składowych. Ponieważ takie połączenie zradza się w celach obrony lub grabieży, pojawia się wybieralny wódz naczelny, i rodowość staje się *demokracyą wojskową*, któréj obrazu w średnim podokresie barbarzyństwa dostarcza nam ustrój społeczny starodawnego Meksyku, z wyższym — bohaterskie czasy

Grecyi, skreślone u Homera. W takie związki kilkoplemienne, oparte na osobach i zorganizowane w rody, jako najniższe jednostki układu, połączone były wszystkie szczepy, gdy ukazują się na widowni historycznéj, i federacya stanowi punkt wyjścia dla *narodowości*. Ustawa społeczna była jeszcze na wskróś demokratyczną, i tylko wskutek niedostatecznego zgłębienia rzeczy dopatrzono w „basileusach“ Grecyi i „rexach“ Rzymu osoby z władzą królewską, tymczasem gdy byli to jedynie zwykli głównodowodzący wojenni demokracyi rodowéj, usuwalni przez gmin od urzędów w razie nadużycia zaufania. Przewrót, wniesiony pod tym względem w historyą klasyczną przez badacza amerykańskiego, jest olbrzymi; jego zdaniem, dziejopisarstwo zupełnie pofałszowało tę epokę. Nie będziemy streszczali jego przedstawienia dziejów rzymskich i greckich,—zaznaczamy tylko istnienie nowych zapatrywań; zarówno nie dotykamy się tego, jak ustrój rodowy, oparty na osobach i stosunkach czysto osobistych, przechodzi w społeczeństwo polityczne, uorganizowane na podstawie terytoryum i kierujące się zarówno co do własności jak i osób względami terytoryalnemi, jak odpowiednio prawo macierzyste (noszenie nazwiska, dziedziczenie majątku w linii żeńskiéj) zamienia się w ojcowskie, jak rodzina z parzystéj przeinacza się w monogamiczną i rzuca wyzwanie rodowości i t. d. Również dotykać się nie będziemy historyozoficznych poglądów socyologa amerykańskiego o związku wzajemnym różnych stron pożycia społecznego, o pierwszorzędném znaczeniu zjawisk ekonomicznych, przynajmniéj od chwili rozprzęgania się rodowości, o drugorzędném prawodawstwa, stanowiącego jedynie wypowiedzenie już istniejących stosunków. Natomiast raz jeszcze w krótkości zestawimy najgłówniejsze wyniki zajmującéj nas książki.

Morgan w „Społeczeństwie pierwotném“ daje pierwszą naukową, t. j. opartą na faktycznych podstawach skalę dla uszeregowania różnych grup ludzkości i dostarcza w ten sposób pierwszą jakąś nić przewodnią do ocenienia uspołecznienia ludów. To samo czyni dla dziejów rodziny. Zauważywszy znaczenie systemów pokrewieństwa, zdołał na téj zasadzie odbudować kolejność w ewolucyi urządzeń małżeńsko-rodzinnych, oznaczyć względne położenie téj lub owéj formy poszczególnéj i dzięki temu zaprowadzić ład jakiś w należącym tutaj materyale faktycznym. Rozwój rodziny podczas dzikości łączy się ściśle z rowojem formy rządu; socyolog amerykański, dzięki zbadaniu federacyi irokeskiéj, odsłonił nam tajemnicę, pokrywającą wewnętrzny ustrój społeczeństwa pierwotnego; gdzie dotychczas sądzono, że panuje anarchia i zbywa na wszelkiéj organizacyi, wykazał, że tam istnieje porządek, jakkolwiek odmienny

od naszego. Przez rozbiór czynników, jak odbywało się przejście z rodowości do państwa, rzucił zgoła nowe światło na początki cywilizacyi, a korzystając ze wzmianek, zachowanych w pomnikach historycznych Rzymu i Hellady, dowiódł, że dzieje pierwotne tych społeczeństw do gruntu zfałszowano przez stworzenie nigdy nieistniejących postaci i kategoryi ; co więcéj, wykazał, że i tu rodowość służyła za punkt wyjścia dla rozwoju historycznego, i tém samém dostarczył klucza ku zrozumieniu pierwotnych urządzeń społecznych świata historycznego. Wskutek tego pod piórem Morgana dzieje ludzkości przybierają zgoła odmienną postać, niż dotychczas sądzono. Nie dość tego; socyologia zyskuje jeszcze jedno. Dotychczas musiała na wiarę przyjmować opowieści tych lub owych podróżników, którzy, wychowani w subiektywizmie europejskim, widzieli wszystko w świetle kategoryi rodzimych, mimowolnie i bezwiednie fałszując stosunki społeczne ludów pierwotnych — za przemawiający dowód służyć mogą opisy hiszpańskie Meksyku, będące, jak dowiódł Morgan jednym ciągiem fałszów, zmyśleń i kłamstw. Amerykanin, przeprowadziwszy wzajemną zależność pomiędzy stopniem zapanowania nad przyrodą, formami rodziny, własności i dziedziczenia, ukształtowaniem rządu, nawet wyglądem osad i domów, dał nauce do ręki probierz dla wyrokowania o przedmiotowości i wiarogodności opisów podróżniczych. Oczywiście, wobec tego że gabinetowa socyologia europejska buduje swe wywody na podstawie właśnie takiego pofałszowanego materyału, „Społeczeństwo pierwotne“ jest poniekąd zaprzeczeniem jéj zasług; jedynie nieliczni badacze unikają smutnego losu, — że prace ich nie opierają się na urojeniach. Tém to można wytłómaczyć, dlaczego omawiane dzieło, mimo iż wydane zostało przed dziesięciu laty, nie jest znane szerszemu ogółowi. Dotychczas téż nie przełożono go na żaden język, krom polskiego. *Lud. Krz.*

Józef Nogaj: Wpływ poetów łacińskich na sielanki Józefa Bartłomieja Zimorowicza. Osobne odbicie z XI tomu Rozpraw wydziału filologiczn. akademii umiejęt. Kraków 1886.

Abyśmy metodę porównawczą w historyi literatury w zupełności przeprowadzić mogli i na pewnych podstawach oznaczyć zdołali, co nasze społeczeństwo wykształciło u siebie samoistnie a co winno było zachodowi i jak oddziaływało na przynoszone ztamtąd zapatrywania,—do tego, jak zresztą wszędzie, trzeba mnóstwa materyału przygotowawczego, dotyczącego poszczególnych naszych pisarzy. Dlatego téż każde studyum w tym kierunku podjęte, choćby nadzwyczaj drobiazgowe, byleby tylko sumienne, dostarczy zawsze cen-

nego przyczynku dla przyszłego badacza i nie można go nazwać czysto filologicznėm, a autora zaliczyć do zwolenników kierunku, z którym dzisiaj niektórzy stanowczy rozbrat wziąć usiłują. Z filologią łączy je tylko metoda opracowania, ale rezultat należy stanowczo do historyi literatury, choćbyśmy w tėjże do najnowszych wyników zastosować się chcieli. Niewielki przykład niechaj posłuży na poparcie i wyjaśnienie tego twierdzenia. Oto w sielance szóstėj J. B. Zimorowicza w. 123—124 czytamy:

Tak więc owca przed wilkiem, tak jelonek szczwany,
Tak przed jastrzębiem pierzcha gołąb niedognany.

Chcąc się więc tu zastosować do wymagań d-ra Rostafińskiego, zawartych w znakomitym zresztą i pełnym trafnych myśli referacie na zjazd im. Kochanowskiego, musielibyśmy to porównanie uważać za zdjęte z natury, bezpośrednio poetę otaczającėj, i przytoczyć w ustępie dotyczącym jego obrazowości. Jakżeż atoli zmienią się nasze wnioski, jeżeli porównamy Owidiusa „Przemiany", I, 505—506:

Sic agna lupam, sic cerva leonem
Sic aquilam penna fugiunt trepidante columbae

i zważymy, że to nie jest tylko przypadkowa reminiscencya, bo Zimorowicz właśnie w tėj pieśni jeszcze w sześciu innych miejscach korzysta niewątpliwie z „Przemian" wieszcza sulmoneńskiego. Wówczas nie zaliczymy tego dwuwiersza do obrazów rodzimych i właściwych muzie Bartłomieja, ale przeciwnie pomieścimy go tam, gdzie będzie mowa o wpływie, jaki na naszego poetę wywarli pisarze starożytni.

Z tego to punktu widzenia oceniając pracę p. Nogaja, musimy mu przyznać, iż ułatwił zadanie każdemu, kto będzie się kiedykolwiek zajmował jednym z najwybitniejszych przedstawicieli literatury naszėj w XVII stuleciu. Zakres jego rozprawy nieznaczny. Z jednėj strony 17 pieśni J. B. Zimorowicza, z drugiėj utwory tych poetów rzymskich, o których można było przypuszczać, że na pierwsze w jakikolwiek sposób wpłynęli. Nie uwzględnieni nawet pisarze greccy, bo Zimorowicz, w „Sielankach" przynajmniėj, bardzo mało z nich korzystał, bo to zresztą tylko część obszerniejszėj pracy autora, przygotowanėj do druku a traktującėj o stosunku „Sielanek" Bartłomieja do wzorów tak starożytnych jak i polskich współczesnych. Zupełnie więc słusznie nie uwzględnił tu nawet autor ustępów pochodzących tylko pośrednio od Wergiliusa, a właściwie przejętych wprost z Szymonowicza, bo wzmianka o nich należy już do całėj pracy a nie do tėj właśnie jėj części.

Szczupłe są zatėm ramy, jakie autor zakreślił swėj pracy, ale wykonał ją za to, o ile mogłem stwierdzić, nader sumiennie. W dzie-

łach np. Wergiliusa nie znalazłem ani jednego miejsca, któreby uszło uwagi autora. A jakiż rezultat jego rozprawy? Oto, że powtarzane bezmyślnie za Brodzińskim zdanie o oryginalności Bartłomieja znacznie zmodyfikować wypadnie. Cała pieśń dwunasta: „Zezuli Syn“, oprócz 44 oryginalnych wierszy, jest przekładem z „Przemian“ Owidiusa, III, 342—510 i to przekładem w guście XVII-go wieku. Zwrócenie na to uwagi i ocenienie właściwości Zimorowicza, jako tłómacza, jest też najdonioślejszym wynikiem pracy autora. Poznawszy ją, trzeba w zupełności pisać się na sąd jego, że „siły polskiego poety nie wystarczały do szczęśliwego odtworzenia pierwowzoru“ rzymskiego. Niejedna myśl pojęta niewłaściwie, całe wiersze dodane lub opuszczone, ominięte trudności w oddaniu zręcznéj gry wyrazów, a natomiast z własnego pomysłu wplecione myśli i zdania, których żadną miarą Owidiusowi podsuwać nie godziło się, bo stoją w sprzeczności z tém, co bezpośrednio przedtém wypowiedziane, — jedném słowem dowolność granicząca z parafrazowaniem oryginału.

Owidiusa wogóle ceni Zimorowicz po nad wszystkich poetów rzymskich (1) i z niego też najwięcéj korzysta. Szczególnie *Metamorphoseon libri XV*, a także i *Amorum libri III* dostarczają mu najwięcéj myśli i zwrotów. Oprócz wielu innych ustępów z tego poety naśladowanych, zwracają naszą uwagę wspomniana wyżéj pieśń XII i ustęp z sielanki czternastéj w. 117—128, zawierający opowieść Kupidyna o przygodzie Marsa i Wenery, przychwyconych przez Wulkana, a osnuty na podstawie Owidiusa „Przemian“ księga IV, w. 171—189. Z innych utworów rzymskiéj muzy należą tu przedewszystkiém Eklogi „*divini Maronis.*“ Z nich bierze Bartłomiéj pojedyńcze zdania i myśli, z nich niejednokrotnie właściwe sielankopisarzom i naśladowane z Teokryta wstępy i zakończenia. Również księga druga „Georgików“ Wergiliusa, jak to słusznie autor zaznacza, wpływa na całą pieśń trzynastą: „Winiarze.“ Związek, zachodzący pomiędzy obu utworami należało obszerniéj uzasadnić i wykazać szczegółowo różnicę w przedstawieniu wynikającą z klimatycznych stosunków, uwzględnionych dosyć dokładnie przez Zimorowicza. Byłby to nowy szczegół do życia i charakterystyki Bartłomieja, jako gospodarza, podającego w pieśni swéj tylko przepisy przez siebie samego w własnéj winnicy zastosowywane (2). Autor jednakże mówi o tém wszystkiém tylko ogólnikowo, a to, co jakby mimochodem przytacza, kwestyi żadną miarą rozstrzygnąć nie może.

---

(1) Por. Listy Sz. Szymonowicza i J. B. Zimorowicza wydane przezemnie w Przewodniku Nauk. z r. 1884, str. 83: „In epico divinum Maronem et diviniorem illo Nasonem.“

(2) Por. oddz. II archiwum miejskiego we Lwowie fasc. 502, N. 1.

„Ślady wpływu innych poetów“, powiada p. Nogaj, „są nieznaczne“, a ja bym jeszcze dodał: i nader problematyczne. Prawdziwości tego twierdzenia szczegółowo uzasadniać nie mogę. Wynika ono jednakże przynajmniéj w części z tego, co przytaczam poniżéj.

Znaną jest rzeczą, że mamy tak liczne przykłady mniéj więcéj jednakowego procesu myślenia, czyli podobnego przejmowania się wrażeniami zewnętrznemi, i oddziaływania naodwrót na nie u ludzi w danéj chwili w żadnych stosunkach ze sobą nie zostających, że musimy najpierw dokładnie uwzględnić wszelkie okoliczności, zanim wydamy ostateczny sąd i podamy w wątpliwość oryginalność jakiegoś autora. Reguły téj przedewszystkiém tam przestrzegać wypadnie, gdzie ślady wpływu są zbyt odosobnione i nie wyraźne, bo tam niekoniecznie reminiscencya ale analogiczny sposób myślenia mógł główną rolę odegrać. Autorowi nie obcém jest to prawidło; zaznacza on je wyraźnie na końcu rozprawy i nie chce dać powodu do nieporozumienia. „Co do tego naśladownictwa“, powiada p. Nogaj, „trudno wprawdzie przypuścić, żeby Zimorowicz zawsze z całą świadomością i zręcznêm wyrachowaniem zasilał się cudzemi pomysłami. Było i tak zapewne niejednokrotnie, ale również być mogło często, że szczegóły treścią lub wysłowieniem, innych poetów przypominające, nasuwały mu się same pod wpływem dokładnego i pilnego czytywania tworów obcéj muzy“. Autor więc we wszystkich przytoczonych przez siebie ustępach przypuszcza, albo umyślne albo bezwiedne naśladownictwo, atoli w ciągu rozprawy zestawia zazwyczaj tylko odpowiednie miejsca, nie rozważając bliżéj, czy z przytoczonych ustępów Zimorowicz w rzeczywistości korzystał, czy téż oddziałały one na twórczość jego poetyczną tylko siłą bezwiednéj reminiscencyi. Z tego zaś wynika, że uważny czytelnik, przeczytawszy rozprawę, nie wié, w których to ustępach owo „niejednokrotnie“ znajduje swe pełne zastosowanie, a w których ustępuje miejsca mimowolnéj reminiscencyi, wypływającéj z większego oczytania się w autorach starożytnych. Wątpliwość ta wzmaga się u niego jeszcze więcéj w miarę, jak nie rzadko znajdują się miejsca, w których trudno się dopatrzéć jakiegokolwiek podobieństwa myśli i słów. I tak nie można i z zastrzeżeniem „zapewnie“ utrzymywać, jakoby myśl wypowiedzianą w wierszach I, 35—38:

Tak cnotliwy on Dafnis, kiedy ten sad mnożył,
Który ja teraz trzymam, nie wiele go pożył.
On szczepił w leśnych pieńkach zrazy nie pozorne,
Ja z nich zbieram pasówki (1) i przaiki wyborne

(1) Możeby wbrew wszystkim wydaniom i Lindemu czytać należało „spasówki,“ bo tak w Galicyi wschodniéj nazywają gruszki dojrzewające już zazwyczaj koło połowy sierpnia i sprzedawane na odpustach odprawianych w uroczystość Spasa t. j. 18 sierpnia.

nasunął poecie wiersz 50 w IX eklodze Wergiliusa:

Insere Daphni piros, carpent tua poma nepotes.

Chociaż bowiem uderzającém jest tu użycie jednego i tego samego nazwiska (Dafnisa), to jednak trzeba zwrócić uwagę i na to, że tok całego opowiadania w pieśni Demiana wymagał koniecznie podobnéj myśli i że oprócz tego jedynego imienia Dafnisa nie mają cztery wiersze u Zimorowicza nic wspólnego z jednym u Wergiliusa. Lecz jeżeli w tym wypadku nie można autorowi odmówić pewnéj słuszności, to natomiast wiersze V, 107—108:

Że wszystek człowiek z wzrostem całym, żal się Boże!
W maluchnéj garści zamkniony być może.

uważać należy stanowczo za objaw rozmyślań chrześciańskich a nie za naśladowanie z Owidiusa *Amorum* III, 9, 39—40:

Jacet ecce Tibullus
Vix manet e toto parva quod urna capit.

Również żadną miarą nie mogę się zgodzić na rzekome naśladownictwo pisarzy starożytnych, jakie ma się przebijać z sielanki dziewiątéj. Są tam mianowicie trzy różne miejsca, z którémi autor porównywa trzy odpowiedne ustępy z Owidiusa, Propercyusa i Horacego. Wiersze X, 105—108:

Wyście mię wychwalały podżare sielanki,
Wyście mię zalecały hoże Podgorzanki,
Mnie jednak cicha miłość mocniejszym paliła
Ogniem, zawsze mi w sercu tkwiła Bogumiła

mają według autora odpowiadać wierszom w Owid. Przem. VII. 705—708. Atoli wysłowienie się obu poetów jest zupełnie odmienne a i analogia treści nader wątpliwa. U Owidiusa Cefalus pozostaje nieugiętym na piękności Aurory i wiernym swéj żonie, u Zimorowicza Filoret ulega zupełnie miłości do Bogumiły, choć i nie jedna z jego współwieśniaczek „hożych Podgorzanek“ wyszłaby chętnie za niego. U Owidiusa jest więc zwycięstwo obowiązku i miłości nad pokusą i pięknością, u Zimorowicza tylko przedstawienie siły namiętności, jaką pała Filoret do ubóstwionéj przez siebie osoby. Odnosić daléj w. 138:

Przez cię bywam zasmucon, bywam i wesoły

do trzech z Propercyusa I. 11, 24—26 (1):

Omnia tu nostrae tempora laetitiae
Seu tristis veniam, seu contra laetus amicis
Quidquid ero, dicam „Cynthia causa fuit“

i cztery inne 175—178:

.... wszystkie zgody i wszystkie miłości
Z świata wszystkiego zbiegły do moich wnętrzności

(1) W rozprawie mylnie wydrukowano I. L. 24—26.

Wszystkie ludzkie przyjaźni Kupidowie mali
W sercu mém, jako w skarbcu jakim zachowali,

do dwu wierszy z Horacego Carm. I. 19, 9—10:

In me tota ruens Venus
Cyprum deseruit nec potitur Scyttas...

jest również nie właściwém. Myśli tu wypowiedziane, są tego rodzaju, że mogłyby się nasunąć każdemu poecie, erotyczne pieśni składającemu. Zresztą na przyjęcie i to nieznacznego naśladownictwa mógłbym się wówczas tylko zgodzić, gdyby owe 3 reminiscencye pochodziły przynajmniéj od jednego i tego samego poety. Przypuszczenie jednakże, że Zimorowicz jedynie w tych trzech miejscach korzystał aż z 3-ch rozmaitych autorów Owidiusa, Horacego i Propercyusa, jest co najmniéj za śmiałem wobec powyżéj przytoczonych względów i zupełnego braku innych w tejże sielance miejsc nie oryginalnych. Również i wiersze XII, 277—278:

I tyś rozumem twym nieba przenikał
I tyś się czołem twojem słońca tykał

zawierają myśl tak powszechnie u poetów się znajdującą, że nie potrzebują nam „przypominać“ sławnego wiersza Horacego Carm. I. 1, 36:

Sublimi feriam sidera vertice.

Tak samo muszę nazwać nie właściwém odsyłanie czytelnika przy w. XI. 9—12, do VII, 42—44, bo tam nie płaczą żywioły ale rówieśnice Filidy, które z żalu za nią napełniają całą okolicę skargami brzmiącemi, jak się wyraża poeta „jeszcze dotychczas“ po górach i lasach. W sielance ostatniéj jest tylko początek naśladowaniem z Wergilego Bukolik X. 1—3. O dwu innych miejscach (w. 52—54 i 95—96), przytoczonych przez autora, powiedzieć tego nie można. Naśladownictwo w nich Owidiusa Heroidów (II. 209) i Tristiów (I. 65—68), co do słów nader problematyczne, staje się zupełnie nie prawdopodobném, jeżeli zważymy, że odnośne wiersze u Zimorowicza zgadzają się całkowicie z głęboko religijnym nastrojem całéj pieśni i zasadami chrześciańskiemi, odpowiadającemi w zupełności naturze i charakterowi poety.

Autor w swéj pracy używał wyłącznie tylko wydania Turowskiego, i nie porównywał go z innemi, znajdującemi się również w biliotece im. Ossolińskich. Nie jest-to rzeczą obojętną, gdyż edycya Turowskiego skażona jest w stu kilkudziesięciu miejscach, z których jedno znajduje się w ustępach przytoczonych przez p. Nogaja. Mam tu na myśli w. V. 221, gdzie powinno być „zanosiły“ a nie „zaniosły“, forma z wyrazem następującego wiersza „wiły“ wcale się nie rymująca. Lepiéj też i wygodniéj nawet dla samego autora byłoby przytaczać wiersze według liczby porządkowéj, a nie opisywać

ich na wszelkie możliwe sposoby. W jednym tylko rozbiorze pieśni dwunastéj zastosował się autor do tego powszechnie przyjętego zwyczaju; atoli tu zaznaczyć wypada, że nie na 207 ale na 208 wierszy rozszerzył Zimorowicz oryginał rzymski. Jest-to o tyle ważnėm, o ile przyjęcie pierwszéj liczby wykazałoby przeciw zasadom rytmicznym, przestrzeganym przez Zimorowicza, u którego podobnie jak i u innych myśl zamyka się zazwyczaj dopiéro z końcem 2 lub 4 wiersza.

Korekta bardzo niedbała, ale tu chyba nie należy winić autora lecz zwrócić się z prośbą do wydziału Akademii Umiejętności, by polecił czuwać nad ściślejszém jéj przeprowadzeniem. 50 błędów drukarskich na 36 stronicach, to trochę za wiele. Szczególnie słowa łacińskie wyszły z korekty bardzo niefortunnie, choć i w polskich nie brak licznych pomyłek.

Korneli Juliusz Heck.

= Muzeum ks. Czartoryskich, niegdyś w Puławach, w Sieniawie, w Paryżu, a obecnie w Krakowie mające swoje siedlisko, słynie wśród badaczów przeszłości z bogatego zbioru rękopisów. Ogłoszenie przeto katalogu onych, bardzo było pożądaném. Pierwszy zeszyt pod nap. **Catalogus codicum manu scriptorum Musei Principum. Czartoryski Cracoviensis,** wydany przez *d-ra Józefa Korzeniowskiego* w roku bieżącym, zawiera na 96 stronach NN. 1—438. Z nich pierwszą połowę stanowią tak zwane „Teki Naruszewicza“, obejmujące nasze dokumenta historyczne różnego rodzaju, od czasów najdawniejszych do r. 1762. W drugiéj połowie katalogu mamy całe tomy listów oryginalnych, począwszy od XVI wieku. Rejestra metryk litewskich, kodeksy pargaminowe w. XV „tranzakcyj z Krzyżakami“, „Acta Tomiciana“ i wolumina, stanowiące niejako ich ciąg dalszy z czasów następnych, księgi poborowe, dyaryusze sejmów, instrukcye sejmikowe, dzienniki podróży, pamiętniki i t. d. Katalog w ten sposób jest ułożony: najprzód opis powierzchowności każdego kodeksu, potém tytuł, pod jakim zaciągnięty jest w inwentarzu, dalej krótkie wskazanie zawartości tomu, wreszcie obszerniejsza wzmianka o rzeczach, które najbardziéj mogą zaciekawiać. Jeżeli tom zaopatrzony jest indeksem, zaznaczono, kto go sporządził. Skoro publikacya katalogu ukończoną zostanie, wiele historykom przyniesie pożytku.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Epoka myśli wychowawczych, która matkom i ojcom odbiera sen w nocy i apetyt we dnie. — Utarty szlak edukacyi. — Jak było dawniéj w szkole. — W jakim kierunku posunął ją postęp czasu. — Szkoła — rajem. — Marzenia o przyszłości dzieci przeszkodą w uwzględnianiu zmian. — Korzyści z dyplomu i etatu. — Stanowiska po za granicami powodzi. — Nowe żywioły w warsztacie. — Kolonie. — Oświata i wyklęcie języka w Poznańskiém. — Gorączka sprzedaży. — Niepowodzenie Banku. — Fiasco wystawy w Wilnie. — Galicya i warszawskie zadowolenie z siebie. — „Towarzystwo Przyrodnicze". — „Wszechświat". — Wystawa w Tarnopolu, podróż arcyksięcia, nasi najserdeczniejsi i ucisk Rusinów.— Upadek „Miru".

Za dwa lub trzy tygodnie mniéj więcéj rozpoczną się zapisy i egzaminy wstępne do gimnazyów i szkół prywatnych. W téj chwili już troska i trwoga odbiera w nocy sen, a w dzień apetyt wielu ojcom i matkom. Pomimo żniw i kłopotów pieniężnych, w tych czasach najwięcéj myślimy o sprawach pedagogicznych, o przyszłości naszych dzieci i o wychowaniu publiczném w ogóle. Nie można jednak powiedzieć, żeby myśli nasze były bardzo płodne w skutki; widocznie drepcą one wewnątrz jakiegoś koła, którego granicy przekroczyć nie chcą, czy nie umieją, skorośmy dotąd żadnego lekarstwa na obecne ciężkie warunki bytu nie wynaleźli. Wzorowi, innym za przykład służący rodzice dziś tak samo jak przed 10-u, 20-u, a może i przed pięćdziesięciu laty, nazajutrz po uroczystości „Matki Boskiéj Zielnéj" prowadzą lub wiozą synka, co skończył lat 10, do egzaminu, i są zawsze jednakowo przekonani, że zakładają najpewniejszy fundament pod przyszłość, byt materyalny i społeczne stanowisko ukochanego dziecka, które kiedyś otrzyma świadectwo dojrzałości, skończy uniwersytet i znajdzie drogę otwartą do użytecznéj pracy, zaszczytów i godności. Jestto gościniec utarty przez kilka już pokoleń i dla tego każdy stara się nań dostać, nie bacząc, czy dziś prowadzi on, tak jak niegdyś, do celu. Pod tym względem, jak pod każdym innym, wytwarza się pewna rutyna, pewien typ postępowania, który odpowiada całéj

jakiéjś epoce, ale zwykle żyje dłużéj niż ona, trwa jako anachronizm wtedy jeszcze, gdy warunki, które go wywołały i czyniły pożądanym, oddawna nie istnieją. Niegdyś szlacheckiego syna uczył ksiądz na alwarze i książce do nabożeństwa, a późniéj na dokończenie edukacyi oddawano go na dwór pański; ten tryb wsunął się dosyć głęboko w następującą epokę, kiedy się z alwara głośno już śmiano, a z wychowania u pańskiéj klamki żadna korzyść wyniknąć nie mogła.

. . . .

Jak w czasie powodzi szukamy ratunku w miejscach, których żywioł niszczący dosięgnąć nie jest w stanie, tak i w tym razie oczy rodziców zwrócić się winny ku stanowiskom zabezpieczonym, niezależnym od zmian i kaprysów fali. Takie stanowiska dla dzieci swoich znaleść oni mogą w sferze rzemiosł, handlu, rolnictwa. Nie myślimy tu wcale powtarzać prawd znanych i już oklepanych, które pomimo to nie przyjęły się dotąd u nas, o równości wszelkich stanów, o tém, że żadna praca nie krzywdzi. Nie. Najzupełniéj rozumiemy ambicyą rodzicielską, chcącą widziéć syna na stanowisku, otoczoném słusznym szacunkiem, pojmujemy i oceniamy dążenie młodzieńca do wyższych światów; ale tu nie ma wyboru, to nie doktryna ale konieczność, nie chodzi o przekonywanie, ale pokazanie tego, co jest. Nieprzełamana fatalność i tak nas wepchnie w te sfery, z których się nam wydobyć nie wolno. Im prędzéj zrozumiemy istotny stan rzeczy, im bardziéj się przeciwko niemu zabezpieczemy, z im większą świadomością wyjdziemy na jego spotkanie—tém lepiéj. Wdzieranie się na niedostępne wyżyny po to tylko, aby po trudach i upokorzeniach przekonać się, iż próżne były wszelkie wysiłki, jest z punktu interesów osobistych szkodliwą stratą czasu. Nie mniéj źle odbija się to i na sprawach społecznyh. Wyższe wykształcenie nie uchroni od moralnego upadku; gdy dostatek kusi a biéda popycha, człowiek może, a często musi nawet, wejść na bezdroża i upodlić się.

. . . .

Niepodobna jest nakreślić wzoru najwłaściwszéj drogi wychowania, wiele zależy od warunków szczególnych, ale wielka już stąd wyniknie korzyść, gdy ogół zrozumié, że dotychczasowa rutyna jest złą. Usuwać dzieci od średniego wykształcenia byłoby błędem i szkodą fatalną; ale wiele się zmieni, jeżeli to wykształcenie za cel nie będzie miało praw i przywilejów, z których nie można skorzystać. Nie wszystkie szkoły są tak niegościnne, że od drzwi swoich odtrącają dobijających się; mamy już nieco zakładów profesyonal-

nych, technicznych, rzemieślniczych, gdy zapotrzebowanie ich ze strony społeczeństwa wzrośnie, wzrośnie i liczba ich zapewne. Obfitszy napływ nowego pierwiastku do warsztatów niewątpliwie wpłynął by dodatnio na rolę społeczną stanu rzemieślniczego i na same rzemiosła. Spotężniało by w nim poczucie godności własnéj i zamiłowanie swego zawodu. Z martwą rutyną połączyła by się myśl badawcza lub twórcza. Pieniądze, wydawane dziś na przesunięcie dziecka i młodzieńca przez ucho igielne wymagań szkolnych, wystarczyłyby na założenie warsztatu.

W ostatnich czasach dużo mówimy o Niemcach i rozpatrujemy stan i sprawowanie się kolonistów niemieckich, ich rządność, wzrost zamożności i tak daléj. Jest-to krzyczący dowód niedołęstwa, że potrafimy tylko biadać i zazdrościć, że posuwamy się nawet aż do wzywania sił obcych na pomoc, zamiast korzystać z przykładu i pracą własną, współzawodnictwem w cnotach postawić tamę zalewowi. Nasz wieśniak często nie dorówna osadnikowi zachodniemu, bo mu brak i świadomości technicznéj, brak żywszéj myśli. Czyżby inteligencya nasza nie mogła dostarczyć pewnéj liczby rzutkich przedsiębiorców, którzy, nie mogąc znaleźć gdzieindziéj pola do pracy, sprobowali by sił i uzdolnienia swego, obrabiając ziemię, a w ten sposób podnosząc kulturę roli i rolników?

Jeszcze raz powtarzamy, nie chcemy rozstrzygać trudnéj téj i zawiłéj kwestyi, ale czas już wielki, aby na nią zwrócono uwagę i zastanowiono się głęboko (1).

Mówiąc o wykształceniu publicznèm, niepodobna jest nie przypomnieć sobie szczególnéj pieczołowitości, jaką władze pruskie otaczają szkoły w Wielkiém Księstwie, w Prusach zachodnich i na Szląsku. W ubiegłym miesiącu sam p. minister oświecenia, Gosler, zwiedzał osobiście wszelkie zakłady naukowe. Cel téj wizyty nie był wcale ukryty: chodziło o ostateczne zamienienie szkoły w narzędzie germanizacyjne. Prusacy doszli do ostatecznéj granicy téj brutalności, jaka odznacza ludzi ufnych, że nikt im w sile kułaka nie sprosta, a wskutek tego nie widzących potrzeby krępować się w wypowiadaniu zamiarów. Nikt w Europie nigdy tak daleko nie zaszedł. Wszędzie czują jeszcze potrzebę z grecką przewrotnością osłaniać frazesami istotną akcyą. Szkoły poznańskie są już wzorowo zniemczone, zgadnąć więc trudno, co daléj wymyśli pan minister. Chociaż wątpić niepodobna, że wymyśli; wiemy wszyscy z gorzkiego

(1) Przypominamy czytelnikom naszym broszurę p. Teodora Kalksteina i zdający z niéj sprawę artykuł p. Kirszrota-Prawnickiego w zeszycie czerwcowym „Ateneum“ r. b. (str. 548—554); zasługują one ze wszech miar na poważne zastanowienie.

doświadczenia, że siła twórcza myśli ludzkiéj w szkodzeniu bliźniemu granic nie ma. Biedni poznańczycy będą musieli posyłać dzieci swoje po naukę tam, gdzie ta nauka ma wyraźnie na celu psucie i tylko psucie.

Podobno używanie języka polskiego w ziemiach, pod rządem pruskim znajdujących się, już nie tylko w szkole, ale i w miejscach publicznych uważane jest za wykroczenie. Z dworca poznańskiego kazano wyjść podoficerowi za to, że ośmielił podrażnić uszy germańskie swoją mową rodzinną. W warsztatach kolejowych również kary spotykają tych, co poważą się odezwać wyklętym językiem.

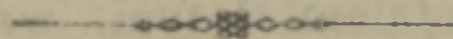
Jednocześnie, jak w chmurną noc, żaden promyk światła nie zabłyśnie w nieszczęśliwéj krainie. Komisya kolonizacyjna kupuje dziesiątkami tysięcy morgów polskiéj ziemi. Zdaje się, że nawet nadzieje twórców projektu kolonizacyjnego pozostały w tyle po za tém co przyniosła rzeczywistość. Niemcy już kupować nie chcą, na taki nawał sprzedaży przygotowani nie byli.

. . . .

Z inicyatywy komisyi fizyograficznéj Akademii Umiejętności zawiązało się w Krakowie „*Towarzystwo przyrodnicze.*“ Statuty, opracowane przez prof. Rostafińskiego i przedstawione członkom założycielom na jedném z wstępnych posiedzeń, odesłane zostały do potwierdzenia namiestnictwu. Nowe towarzystwo położyło sobie za cel zaznajomienie społeczeństwa z naturą kraju, szerzenie wiadomości przyrodniczych, oraz wydawanie popularnego pisma. „Wszechświat więc znajdzie współzawodnika, a to obudzi zapewne większy ruch i większe zainteresowanie się kwestyami przyrodniczemi, i bezwątpienia wyjdzie naszemu tygodnikowi na dobre. Korzystając ze sposobności, dodać musimy, że w roku bieżącym „Wszechświat“ bardzo zyskał pod względem wewnętrznéj wartości. Podobno także nareszcie powodzenie materyalne przyświecać zaczęło ciężkiéj pracy redakcyi.

. . . .

Ludwik Straszewicz.



NEKROLOGIA.

† **Wojciech Biberstein Kazimirski** urodzony w Lubelskiém roku 1808, nauki uniwersyteckie odbywał w Warszawie na wydziale filozoficznym i już wtedy dał się poznać z artykułu w *Dzienniku Warszawskim*. Po r. 1831 wyszedł do Francyi i oddał się studyom języków i literatur wschodnich. Owocem tych studyów były: „Słownik arabsko-francuski", „Enis el Djelis" (wyjątek z Tysiąca i jednéj nocy, po arabsku i francusku), przekład Koranu na język francuski. Prace te dały poznać Kazimirskiego we Francyi; został tu tłómaczem ministeryum spraw zagranicznyeh, był dragomanem poselstw w Persyi, gdzie długo przebywał, w 1858 otrzymał urząd naczelnika wydziału w ministeryum. W języku ojczystym pozostawił prac niewiele; odznaczają się one sumiennością i gruntownością. W pierwszych latach emigracyi ułożył i wydał słownik francusko-polski, wielokrotnie potém przedrukowywany. W 1876 nakładem Biblioteki Kórnickiéj wyszło jego tłómaczeuie jednego z najcelniejszych utworów literutury perskiéj, tj. „Gulistanu" Saadego wraz ze wstępem i objaśnieniami. Zmarł w Paryżu w początkach lipca r. b.

† **Agaton Giller** urodzony r. 1831 w Opatówku (w Królestwie Polskiém), studya swe naukowe kończył w uniwersytecie jagiellońskim, zarabiając na swe utrzymanie już-to lekcyami już-to pracami literackiemi. Zmarł po 3-dniowéj chorobie (zapalenia płuc) 18 lipca r. b. Z pism jego dość licznych wymieniamy niektóre: „Podróż do Syberyi", „Opisanie zabajkalskiéj krainy", „Pamiętniki i wspomnienia", „Polska w walce", niedokończona Historya ostatnich ruchów, rzecz o Słowaczyznie, „Wieniec pamiątkowy". Pogrzeb odbył się kosztem gminy miasta Stanisławowa.

† **Józef Mikołaj Wiślicki**, urodzony w 1805 r. we wsi Parczach Górnych, pod Olkuszem. Działalność swą literacką rozpoczął od spółpracownictwa w „Gazecie Warszawskiéj" i „Gazecie Codziennéj". Przed czterema dziesiątkami lat wydał kilka powieści historycznych, jak „Starosta Rabsztyński" (1841), „Zborowscy" (1843), „Pani Orzelska" (1847). Następnie zabrał się do „Opisu Królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym" itd., która to praca, drukowana od r. 1850 do 1853, w sześciu zeszytach, zawiera opisanie gubernii Kieleckiéj oraz dwóch powiatów Sandomierskiéj.—J. M. Wiślicki zakończył życie w Warszawie, 23 lipca r. b.

† **Franciszek Gruszczyński**, lekarz, zmarły w Widawie, urodził się w Zduńskiéj woli w r. 1833. Nauki pobierał w Sieradzu i w Piotrkowie. Od r. 1851 studyował medycynę w akademii petersburskiéj, po ukończeniu któréj z medalem złotym, wrócił do kraju, gdzie zajął się praktyką lekarską. Spostrzeżenia, których mu ona dostarczała, ogłaszał w naszych czasopismach specyalnych.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI
nadesłane do redakcyi „Ateneum“
w ciągu m. Lipca 1887 r.

---

1. **Stanowisko Waleryana Kalinki** w historyografii polskiéj. Studyum *Władysława Smoleńskiego.* Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1887, 8-o, str. 44 (cena kop. 40).
2. *Antoni Juliusz Barilli.* **Jak sen**. Powieść. Przełożyła z oryginału włoskiego *Emilia K.* (Biblioteczka „Życia“. Wybór powieści obcych). Warsz. w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1887, str. 172 (cena kop. 50).
3. *Percy Bysshe Shelley.* **Prometeusz rozpętany**. Dramat w czterech aktach. Przełożył z oryginału angielskiego *Feliks Jezierski.* (Biblioteczka „Życia“. Arcydzieła Poezyi Wszechświatowéj) Warsz. w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1887, str. 135 (cena kop. 50).
4. **Mechanika** przez *J. Łubieńskiego*, Inżyniera, (wydawnictwo redakcyi „Gazety Rzemieślniczéj“). Warsz. 1887, 8-o, zeszyt 2-gi tomu I-go (od str. 49 do 96).
5. **Prace przygotowawcze do prawa o rejestrze firmowym** z oryginalnych materyałów przełożył i opracował *Kazimierz Nowakowski.* Warsz. nakł. redakcyi „Biblioteki umiej. prawn.“ 1887. Część pierwsza, str. 363 i IX.
6. **Kwartalnik historyczny**. Organ Towarzystwa historycznego pod redakcyą Xawerego Liskego. Rocznik I. Zeszyt 3. 1887, Lwów, 8-o, (od str. 385 do 560).
7. **Sprawozdania z posiedzeń Komisyi historyi sztuki** za czas od 3 Lutego do 3 Marca 1887. Kraków, 1887. wielkie 4-o. str. VIII.
8. **Sprawozdanie Towarzystwa opieki** nad ubogiemi matkami oraz ich dziećmi w Warszawie. Rok 1885 i 1886. Warszawa, 1887, 8-o, str. 32.
9. **O żywieniu się i pokarmach**. Przez D-rów *Henryka Nussbauma* i *Leona Nenckiego.* Warsz. 1887, 8-o, str. 55.
10. **Czém i jak należy dezinfekować** w warunkach zwykłych i wobec chorób zaraźliwych. Opracowali: *D-r Leon Nencki, Stanisław Prauss* i *Maksymilijan Flaum.* Warsz. 1887, 8-o, str. 36.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznej lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczej.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Іюля 1887 г.